

 **TOM CLANCY'S**
THE DIVISION

**SKORO
ŚWIT**



ALEX IRVINE

OFICJALNA POWIEŚĆ GRY *THE DIVISION 2*



TOM CLANCY'S
THE DIVISION®
SKORO
SWIT

ALEX IRVINE

przekład
DARIA KUCZYŃSKA-SZYMALA

 **insignis**

Tytuł oryginału
Tom Clancy's The Division: Broken Dawn

First published in 2019

Copyright © 2019 Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.

Tom Clancy's The Division®, The Division logo, Ubisoft and the Ubisoft logo are registered or unregistered trademarks of Ubisoft Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorów i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiegokolwiek oprawie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.

Przekład

Daria Kuczyńska-Szymala

Redakcja

Julia Diduch

Korekta

Marcin Piątek

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Insignis Media, Kraków 2019

ISBN pełnej wersji 978-83-66360-04-4



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Snapshot: insignis_media

Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1.Violet

Rozdział 2.Aurelio

Rozdział 3.April

Rozdział 4.Violet

Rozdział 5.April

Rozdział 6.Aurelio

Rozdział 7.Violet

Rozdział 8.Aurelio

Rozdział 9.April

Rozdział 10.Aurelio

Rozdział 11.Violet

Rozdział 12.April

Rozdział 13.Violet

Rozdział 14.April

Rozdział 15.Ike

Rozdział 16.Aurelio

Rozdział 17.Violet

Rozdział 18.Aurelio

Rozdział 19.April

Rozdział 20.Violet

Rozdział 21.Aurelio

Rozdział 22.Ike

Rozdział 23.Violet

Rozdział 24.Aurelio

Rozdział 25.Ike

Rozdział 26.April

Rozdział 27.Violet

Rozdział 28.Aurelio

Rozdział 29.April

Rozdział 30.Ike

Rozdział 32.Violet

Rozdział 32.Aurelio

Rozdział 33.April

Rozdział 34.Violet

Rozdział 35.April

Rozdział 36.Aurelio

Rozdział 37.Ike

Rozdział 38.April

Rozdział 39.Aurelio

Rozdział 40.April

Rozdział 41.Aurelio

Rozdział 42.Violet

Rozdział 43.April

Podziękowania

*Wszystkim Aureliom Diazom świata
w uznaniu dla poświęceń, jakich dokonują,
by czynić ten świat lepszym miejscem*

Rozdział 1

VIOLET

Violet wbiła czubek buta w ziemię na skraju zalanej strefy. Około stu pięćdziesięciu metrów wody dzieliło ją od hotelu, w którym przez jakiś czas przebywała wraz z przyjaciółmi tuż po tym, jak Dolarowa Grypa czy też Zielona Truczna – jak zwał, tak zwał – zaczęła zabijać. W budynku hotelu władze urządziły obóz dla uchodźców pod nadzorem JTF. Violet nie wiedziała, co oznacza ten skrót, ale to byli ludzie, którzy zajmowali się sprawami wojskowymi. Rozdawali też jedzenie i lekarstwa. W hotelu sytuacja była dość stabilna... Przynajmniej od czasu, gdy umarli już wszyscy, którzy mieli umrzeć. A wśród nich rodzice Violet.

Nie miała jednak zamiaru teraz o tym myśleć.

– Tęsknię za tamtym miejscem – stwierdziła cichym głosem.

Jej przyjaciele stali wokół niej.

– Tja... – odpowiedział Saeed. – Ja też.

Bliźnięta Murtaugh, Noah i Wiley, pokiwali głowami. Pozostała trójka dzieciaków z grupy – Shelby, Ivan i Amelia – tylko się przyglądała. Ivan trzymał się blisko Amelii. Była jego starszą siostrą. Czasem Violet bardzo zazdrościła tym mieszkańcom osady, którzy wciąż posiadali rodzeństwo albo rodziców.

Mieli teraz zbierać zioła i jadalne rośliny, ale zamiast tego woleli popatrzeć na hotel, w którym nie mogli już mieszkać. Agenci rządowi przenieśli ich tam, gdy tylko wybuchła zaraza. Kiedy minęło najgorsze, Violet i reszta dzieci pomagali stworzyć na hotelowym dziedzińcu ogród.

Teraz ich sadzonki znalazły się prawdopodobnie pod wodą, która zalała wszystko dokoła.

Ale i tak przyjscie tutaj i grupowe uzalanie się nad sobą były lepsze niż poszukiwanie jadalnych roślin w zarośniętych częściach parku National Mall, czym powinni się teraz zajmować. Mieli dzięki nim uzupełnić istniejące już uprawy w ogrodach Zamku. Choć może lepiej byłoby pójść do innego parku czy podobnego miejsca i trzymać się z daleka od National Mall. Po dawnych muzeach i ich otoczeniu kręcili się teraz źli ludzie. Wszyscy na Zamku by to zrozumieli.

Ale Violet i tak się denerwowała. Starła się raczej przestrzegać zasad, bo widziała straszne rzeczy, gdy Zielona Truczna szalała w Waszyngtonie. Wszyscy je widzieli. Było ich siedmioro, mieli od dziewięciu do jedenastu lat i każde straciło przynajmniej jedno z rodziców. Między innymi to ich połączyło. Efekt był taki, że inni mieszkańcy osady traktowali ich jak jedną grupę pod nazwą Dzieciaki, Którymi Trzeba się Opiekować... Było to irytujące, ale jednocześnie na swój sposób miłe. Większość dzieci w osadzie unikała ich, jakby sieroctwem można się było zarazić.

Do czasu powodzi mieszkali z około setką ludzi na niższych piętrach Mandarin Oriental. Hotel był ufortyfikowany, okna zabito deskami, a żołnierze JTF często tam zaglądali, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wodę czerpali z beczek na deszczówkę. To było dość bezpieczne miejsce w porównaniu z innymi. A przynajmniej tak się wydawało, tak samo jak można było odnieść wrażenie, że w Waszyngtonie sytuacja była teraz lepsza niż zimą. Może dlatego, że łatwiej było poczuć się lepiej, gdy wokół kwitły kwiaty i wszystko się zieleniło.

I właśnie wtedy, na początku kwietnia, rzeka wystąpiła z brzegów i musieli opuścić hotel.

Teraz mieszkali w starym Zamku Smithsonian. Było tam dość tłoczno, bo do Zamku przeniosła się większość ludzi z hotelu. Inni przebywali ponoć gdzieś po drugiej stronie National Mall. Kilka grup postanowiło wyruszyć na wschód, mając nadzieję, że sytuacja w pobliżu bazy wojskowej będzie

stabilniejsza. Violet nie mogła sobie przypomnieć jej nazwy.

– Saeed – powiedziała. – Jak się nazywa ta baza wojskowa nad rzeką? Nie nad Potomakiem, tylko nad tą drugą.

– Połączona Baza Anacostia-Bolling – odpowiedział. Zawsze wiedział takie rzeczy. Tak samo jak wiedział, że JTF to skrót od Joint Task Force, czyli Połączonej Grupy Zadaniowej. Mógłby opowiedzieć wszystko o JTF powstałym, gdy członkowie oddziałów wojskowych i służb ratowniczych ginęli tak licznie, że tych ocalałych przeorganizowano pod nową nazwą. Wiedział też, że Dolarowa Grypa to była tak naprawdę czarna ospa, która przysła z Nowego Jorku. Violet była zadowolona, że Saeed jest z nimi. Był jak internet, choć internetu – jak wszystkiego innego – już dawno nie było.

Violet zastanawiała się, czy rzeczywiście w pobliżu rzeki Anacostia jest bezpieczniej. Problem polegał na tym, że pomiędzy tymi dwoma miejscami kręcili się źli ludzie. Cały obszar wokół budynku Kapitolu stanowił strefę zakazaną dla dzieci. Wszyscy w osadzie byli co do tego zgodni. Tak było jeszcze przed powodzią, a i teraz niemal każdego ranka ktoś im o tym przypominał. Jakby nie przetrwali wielkiej zarazy i całego związanego z nią zła. Dorośli nie rozumieli, że dzieci potrafią kombinować, jak przetrwać, równie dobrze, jak oni sami.

Pozwalali jednak dzieciom w miarę swobodnie biegać w grupie – oczywiście w ramach pewnych ograniczeń. I dziś dzieci te ograniczenia testowały. Zamiast zbierać rośliny na obrzeżach National Mall, ruszyły w przeciwną stronę. Siódmą na południe do Hancock Park, gdzie od stacji metra tory kolejki wiodły powyżej poziomu ulicy. Szli torami, aż zrównały się z ziemią, a potem zniknęły na skraju zalanej strefy. Wokół nich wznosiły się puste biurowce. Na południu, wzdłuż dawnego brzegu rzeki, wystawały z wody wysokie, wąskie budynki mieszkalne. Woda w rzece była błotnista i wzburzona, a drobiny piany przypominały plamki lukru. Violet podniosła kołnierz i ustawiła się tyłem do wiatru. Nad samą rzeką czuło się chłód.

– Jak myślicie, kiedy ta woda opadnie? – zapytała Shelby. Była z nich najmłodsza.

– Myślę, że nadal się podnosi – odpowiedziała Amelia. – Ostatnim razem, jak tu byliśmy, dało się podejść bliżej hotelu.

Violet też była tego zdania. O ile się jeszcze podniesie? Pomyślała, że Zamek jest położony tylko trochę wyżej. Czy będą musieli znowu się przenieść?

Wtedy Wiley i Noah jednocześnie powiedzieli:

– Powinniśmy już iść.

Nie byli bliźniętami jednojajowymi, jednak byli do siebie bardzo podobni. I przydarzały im się dziwne rzeczy, zupełnie jak bliźniętom jednojajowym, na przykład w tej samej chwili wpadali na identyczny pomysł.

– Pewnie tak – odparła Amelia. – Ale naprawdę powinniśmy zebrać jakieś rośliny, zanim wrócimy na Zamek. – Dorośli nie kontrolowali ściśle, co robią, ale oczekiwali, że Violet i reszta będą słuchać ich poleceń.

– Racja – powiedziała Violet. – Moglibyśmy przeszukać okolicę Mauzoleum Lincolna.

– Ale to kawał drogi – stwierdził Ivan. Shelby go poparła.

Zgodzili się na Ogrody Konstytucji, w połowie drogi między Pomnikiem Waszyngtona a Mauzoleum Lincolna. Najpierw jednak musieli obejść zalany teren aż do Independence Avenue. Przeszli szeroką, pustą ulicą do parku i przystanęli, wypatrując obcych. O ile grudzień i styczeń były straszne, a luty i marzec całkiem niezłe, to kwiecień sytuował się gdzieś pośrodku. Nie było jak zimą, kiedy wszędzie leżały trupy i nieustannie rozlegały się strzały. Ale nie panował jednak taki spokój, jak przez jakiś czas w marcu, gdy dorośli w hotelu zaczęli myśleć, że może jednak rząd nadal działa i że wszystko się jakoś ułoży.

Violet zastanawiała się, kto był teraz prezydentem. Rozeszły się pogłoski, że prezydent Mendez umarł, a czy to nie oznaczało, że powinni wybrać kolejnego? Może i wybrali, ale nikt o tym nie wiedział. Nie było już internetu ani telefonów. Violet i pozostałe dzieci wiedzieli tylko tyle, ile podsłuchali z rozmów dorosłych.

– Violet, idziesz? – Saeed obejrzał się na nią. Reszta grupy już go wyprzedziła, pędząc wzdłuż południowego skraju National Mall.

Ruszyła biegiem, by ich dogonić. W parku czuła się dziwnie. Wszystko tu przypominało muzeum. Nie tylko same muzea. Wszystko. Punkty informacji turystycznej, toalety Służby Parków Narodowych... Wszystko wyglądało tak, jakby powstało w zupełnie innym świecie. Violet miała dopiero jedenaście lat, ale zdawała sobie sprawę, że przeżyła coś tak przełomowego, że świat potem już zawsze będzie inny od świata przedtem.

Ivan uważnie obserwował park. Zawsze był czujny i wypatrywał ludzi, którzy mogli stanowić zagrożenie. Terapeuta powiedział im, że mnóstwo dzieci po traumie tak robi. To się nazywa „nadmierna czujność”. Trochę to było uciążliwe, ale też przydatne. W Waszyngtonie nadal przebywało mnóstwo złych ludzi. Rządu nie było, armii nie było, policji też nie było. Powodzie dokuczyły każdemu. Ledwo co gdzieś osiedli i zaczęli przyzwyczajać się do sytuacji, a tu nagle musieli się znowu przenosić.

Każdy musiał zadbać o siebie. Agenci Division nie mogli robić wszystkiego.

Gdy dogoniła grupę, Saeed nawet na nią nie spojrział.

– Wiem – powiedziała, gdy napotkała wreszcie jego wzrok. – Chcesz pójść do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej.

Kiwnął głową.

Saeed chciał zostać astronautą. Violet pamiętała wycieczkę do tego muzeum dwa lata wcześniej, gdy była w czwartej klasie, ale nie przypominała sobie statku kosmicznego. Kosmos niezbyt ją interesował. Bardziej biologia. Chciała zostać weterynarzem. Albo poetką.

Za to pamiętała kapsułę Apollo 11 w olbrzymim holu i wiszące wokół niej samoloty. Zastanawiała się, czy nadal tam są. Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej było jednym z zakazanych miejsc. Zajęli je ponoć jacyś źli ludzie.

– O co chodzi, Vi? – Ivan szturchnął ją w ramię. – Martwisz się czymś?

Myśl o muzeum sprawiła, że przyszły jej do głowy te wszystkie rzeczy,

które ludzie dawniej wystawiali w muzeach, by je zapamiętano. Teraz wspomnieniem był obraz świata sprzed zarazy. Wycieczki szkolne, weekendowe wyjścia z rodzicami, wszystkie te codzienne czynności, które się kiedyś wykonywało.

 Nie zamierzała rozplakać się przy Iwanie.

 – Chodźmy – powiedziała. – I znajdziemy coś na sałatkę.

AURELIO

Agent Division Aurelio Diaz wypatrył samotnego cywila, który wszedł do Strefy Mroku tuż po dwunastej w południe. Aurelio stał na dachu, z którego roztaczał się widok na Pięćdziesiątą Ósmą i Piątą Aleję, naprzeciwko pomnika Williama Tecumseha Shermana. Zatrzymywał się tu codziennie podczas rutynowego patrolu, o ile bieżące zadania nie kierowały go w inne rejony miasta. Budynek był na tyle niski, że Diaz mógł w razie potrzeby szybko znaleźć się na poziomie ulicy, a jednocześnie wystarczająco wysoki, żeby zapewnić widok na barykady, które miały uniemożliwić wdarcie się do Strefy Mroku.

Cywilem była kobieta.

Przeskoczyła barykady i zatrzymała się za nimi, obserwując otoczenie. W pierwszym odruchu Diaz chciał sprawdzić ją w bazie rozpoznawania twarzy ISAK-a, używając specjalistycznego wyposażenia, które mieli przy sobie wszyscy agenci Division: zaawansowanych technologicznie soczewek kontaktowych, by utrwalić obraz; zegarka SHD, by zsynchronizować obrazy z soczewek oraz zamienić je w trójwymiarową projekcję oraz tak zwanej kostki ISAK-a, czyli przekaźnika komunikacyjnego umieszczonego na plecaku. Przekażnik łączył Diaza – i wszystkich innych agentów Division – z ISAK-iem, zastrzeżoną siecią sztucznej inteligencji.

Problem polegał na tym, że kobieta przemieszczała się pod kątem w stosunku do niego i nie mógł złapać odpowiedniego obrazu jej twarzy. W każdym razie zaintrygowała go. Agenci Division mogli wchodzić

i wychodzić ze strefy przez punkty kontrolne rozmieszczone wokół jej granicy, która biegła od południowo-zachodniego rogu Central Parku do Dwudziestej Trzeciej na Broadwayu, a potem dalej i z powrotem obok Grand Central Station aż do Sześćdziesiątej Piątej. W teorii nikomu innemu nie wolno było wchodzić do strefy ani z niej wychodzić pod żadnym pozorem. Strefa Mroku była jednym z pierwszych obszarów w mieście objętych kwarantanną, gdy wybuchła Zielona Trucizna, a bezradne wobec epidemii jednostki JTF odgrodziły ten teren, próbując uratować resztę miasta.

Teraz, pięć miesięcy po wybuchu zarazy, Strefa Mroku była spokojniejsza, ale nadal nie było to odpowiednie miejsce dla samotnego cywila. Często nie było to miejsce odpowiednie nawet dla samotnego agenta Division. Inne części Nowego Jorku niemal nadawały się do zamieszkania, lecz na terenie Strefy Mroku panowało kompletne bezprawie. Gorzej – strefa ta zdawała się przyciągać najbardziej świriętych i niebezpiecznych ludzi w mieście. Gromadzili się szczególnie na jej północnym skraju, bo działania Division i JTF rozciągały się z południa na północ. Niektóre południowe okolice Strefy Mroku prawie powróciły do normalności, ale na północy nadal była to strefa wojny. A nawet gorzej niż wojny. Był to raczej rodzaj masowego psychotycznego załamania, przy czym każdy psychol był solidnie uzbrojony. Nie wspominając o wszechobecnym zagrożeniu – przyczajonym wirusie, który mógł wywołać nową falę śmiertelnych infekcji.

I oto samotna kobieta przeskakuje barykadę, by dostać się do środka. Diaz patrzył, jak przemieszcza się Sześćdziesiątą na wschód. Była spokojna i skupiona. Wiedziała, dokąd zmierza – a przynajmniej chciała, by takie wrażenie odnieśli ci, którzy ją obserwowali.

Zeskoczył na poziom ulicy i ruszył jej śladem. *Wkraczasz do Strefy Mroku*, oznajmił ISAK. „Tja – pomyślał Diaz – wiem o tym”. Wokół widział tylko błakających się śmieciarzy.

Wcześniej tego ranka Diaz stwierdził, że odbębni patrol, a potem porozmawia z dowództwem JTF w bazie operacyjnej na Poczcie, czy nadal go tutaj potrzebują. Oczywiście w każdej chwili miał prawo zrezygnować.

Agenci Division na podstawie prezydenckiej Dyrektywy 51 mogli działać z niemal nieograniczoną swobodą. Nie obowiązywały ich zasady dotyczące użycia siły i nie odpowiadali przed żadnym szczeblem w wojskowej hierarchii dowodzenia. Rekrutacja i szkolenie agentów przebiegały w sekrecie, a mobilizowano ich tylko w momentach krytycznych, gdy rządowi amerykańskiemu albo porządkowi społecznemu groził upadek. Przed Dolarową Grypą Diaz był nauczycielem WF-u w Waszyngtonie i miał dwoje dzieci oraz żonę, która pracowała w banku.

Wszystko to zmieniło się w Czarny Piątek, gdy jakiś szaleniec wypuścił w świat zmodyfikowanego wirusa czarnej ospy. Zrobił to właśnie tutaj, w Nowym Jorku. W ciągu paru tygodni zaraza opanowała cały glob... Żona Diaza, Graciela, umarła. Być może dotknęła dwudziestodolarowego banknotu, które zainfekowano wirusem – stąd nazwy Zielona Trucizna, Dolarowa Grypa i tak dalej – a może złapała od kogoś innego. W sumie to nieistotne. Umarła razem z milionami innych osób.

Teraz, pięć miesięcy później, nadal nie przywrócono w Nowym Jorku porządku, lecz wiosna niosła nową nadzieję. Diaz uważał, że niedługo będzie mógł opuścić miasto i wrócić do domu, gdzie czekały jego dzieci. Gdy zmobilizowano go w Waszyngtonie, przybył do Nowego Jorku tuż po tym, jak pierwsza fala agentów Division została zabita lub zbuntowała się w pełnym przemocy chaosie po wybuchu epidemii. W tamtym momencie Nowy Jork potrzebował pomocy, a sytuacja w Waszyngtonie wydawała się stosunkowo stabilna. Nie był pewien, czy tak jest nadal... W każdym razie zbyt długo przebywał z dala od Ivana i Amelii. JTF miało się nimi zająć, jednak Diaz wołałby mieć pewność.

Nadal planował wrócić do Waszyngtonu, ale zanim się odmelduje w kryjówce JTF przy Czterdziestej Piątej i Broadway i opuści Strefę Mroku, musi sprawdzić, dokąd zmierza ta kobieta i po co. Nie mógł tak po prostu pozwolić jej się tutaj kręcić w pojedynkę.

Doszła Sześćdziesiątą do Madison i skręciła na południe. W tej części Madison szalały pożary i okolica była właściwie opustoszała.

W przeciwieństwie do Piątej i Park Avenue – tam łowcy i bandyci pozaznaczali i poogradzali swoje terytoria mniej więcej pomiędzy ulicami Pięćdziesiątą Drugą a Sześćdziesiątą. Granice te były płynne.

Podążając za kobietą, Diaz uświadomił sobie nagle, że wybiera ona trasę tak, by ominąć niebezpieczny odcinek Piątej i Park Avenue. Znała tę część Strefy Mroku. To wzbudziło jego ciekawość. Zainteresowała go też strzelba śrutowa Benelli Super 90 wisząca na jej prawym ramieniu obok plecaka, który wyglądał jak plecaki Division... Potężna superdziewięćdziesiątka też była ulubioną bronią agentów. Ale kobieta nie miała zegarka ani ISAK-a na plecaku. Nie była agentem. W takim razie kim?

Skreśliła na zachód w Pięćdziesiątą Piątą, a u Diaza włączył się sygnał alarmowy. Na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej znajdował się Kościół Prezbiteriański zajmowany przez gang wyznawców apokaliptycznego kultu. Jeśli tam dojdzie, rzucą się na nią jak stado piranii. Przyśpieszył kroku, zbliżając się na niecałe trzydzieści metrów, zanim go usłyszała i obejrzała się przez ramię. „Niezła czujność” – pomyślał. Spozrzegł, że rzut oka na wyposażenie Division wystarczył, by skategoryzowała go jako brak zagrożenia. Ciekawe. To znaczyło, że wie, że nie robi nic, czym mogłaby wywołać konflikt z agentem Division.

Nawet jeśli tak, to nadal zmierzała prosto do świątyni wyznawców kultu.

Żeby ją wyprzedzić, Diaz przeciął biegiem Madison, a potem ruszył na zachód Pięćdziesiątą Szóstą. Przedarł się przez ruiny restauracji, która spłonęła po wybuchu epidemii. Za nimi znajdowała się wąska alejka prowadząca między kościołem a wysokim wieżowcem na północy. Przeskoczył płot i stanął przed wejściem do kościoła.

Świeże zwłoki wisiąły na szubienicy na dziedzińcu świątyni. Diaz odnotował w głowie, że on, albo inny agent Division, będzie musiał się tym zająć. Dziś miał jednak inną misję. Ciężkie drewniane drzwi wychodzące na Piątą Aleję otwarły się i grupa wyznawców kultu zauważyła go. Stał naprzeciwko, z lufą G36 skierowaną w dół, generalnie w ich kierunku, ale nie celując w nikogo w szczególności.

– Spokojnie – powiedział.

Minęli go wzrokiem i zobaczyli kobietę. Ona także ich zobaczyła... I dostrzegła Aurelia.

Jej reakcja zaintrygowała go jeszcze bardziej. Przecięła ulicę, by zapewnić sobie przestrzeń, ale nie spanikowała, nie zaczęła biec. Nie była zwykłym cywilem, tego Aurelio był pewien. Doszła do następnej przecznicy, trzymając się Pięćdziesiątej Piątej w kierunku Szóstej Alei. Aurelio cofnął się w stronę ulicy. Wyznawcy kultu wyszli na schody kościoła, wwiercając w niego wzrok. Widział już takie spojrzenia. Chcieli, żeby on również zawisł na ich szubienicy. „Naciśnięcie spustu G36 oszczędziłoby mnóstwa problemów” – pomyślał... Ale dopóki nie wykonali wrogiego gestu, nie byłby w stanie tego uzasadnić. Zgodnie z Dyrektywą 51 mógłby skosić całą ich grupę i nikt by słowa nie powiedział, ale Aurelio Diaz – podobnie jak i Strategic Homeland Division, w skrócie SHD – wyznawał inne poglądy. Wycofał się do prowadzącej na kościelny dziedziniec bramy, otworzył ją i wyszedł na chodnik.

– Zachowałeś spokój – stwierdził, ruszając dalej.

Nikt nie poszedł jego śladem. Gdy dotarł na róg, zobaczył kobietę na drugim końcu ulicy, niemal przy Szóstej Alei. Skręciła na północ – to go zaskoczyło. Najwyraźniej wybierała okrężną drogę do swojego celu, gdziekolwiek ten się znajdował. Choć ominięcie Piątej Alei było jak najbardziej rozsądne, to chyba nie miała pełnej informacji o terenie, bo nie zbliżyłaby się do tego kościoła.

Dokąd zmierzała?

Okazało się, że na Pięćdziesiątą Ósmą. Gdy tam dotarła, stała dłuższą chwilę, patrząc na pozbawioną znaków szczególnych frontową ścianę po północnej stronie ulicy obok garażu podziemnego. Nad otwartą fasadą powiewała poszarpana markiza. Wnętrze wyglądało tak, jakby w środku prowadzono prace budowlane. Niewiele mógł dostrzec.

Kobieta przeszła przez ulicę i weszła do środka. Diaz pomyślał, że nie kojarzy, by coś znajdowało się w tym budynku. Albo w garażu obok. Nad

dawnym sklepem było kilka pięter zwykłych okien. Wydało mu się, że widzi światło w jednym z nich, ale nie był pewien, czy to nie odbicie innej szyby w wysokościowcu przy tej samej ulicy.

Diaz postanowił zostać w tym miejscu przez kilka minut i zobaczyć, co się wydarzy. Potrafił wyczuć złe zamiary u innych – bez tego nie przetrwałby w zdewastowanym Nowym Jorku – i nie wyczuwał ich u tej kobiety. Mimo wszystko przemierzyła około półtora kilometra od wejścia do Strefy Mroku, choć od celu dzieliło ją niecałe dwieście metrów. To jeszcze wzmogło jego ciekawość.

Jeśli wkrótce wyjdzie, podąży za nią aż do wyjścia ze Strefy Mroku. Po części dlatego, że uważał, że może jej się przydać eskorta, ale był też zaintrygowany. Zwykle ludzie starali się opuścić Strefę Mroku, a nie do niej wejść. Co ona tu robiła?

Rozdział 3

APRIL

Spędziła wiosnę na przeszukiwaniu Strefy Mroku, kierując się wskazówkami, które poskładała zimą. Przez ostatnie tygodnie zaznajomiła się z każdym odcinkiem bariery separującej strefę od reszty miasta. Wiedziała, gdzie są luki oraz skąd i dokąd prowadzą podziemne przejścia pomiędzy budynkami. Owe luki i tunele nigdy nie istniały zbyt długo. Albo zamykało je JTF, albo przejmowali je kryminaliści i wtedy korzystanie z nich stawało się zbyt niebezpieczne. Lecz równie szybko jak znikwały stare przejścia, pojawiały się nowe. Utrzymanie obszaru wielkości Strefy Mroku w całkowitej izolacji było niemożliwe.

Problem polegał na tym, że miejsce, do którego musiała dotrzeć, znajdowało się w najgorszej części Strefy Mroku – tuż przed Central Parkiem. Po południowych obszarach łatwiej się było poruszać. Tam też było niebezpiecznie, jednak główna baza JTF znajdowała się bliżej południowego krańca strefy. Przez kilka miesięcy po ataku Dolarowej Grypy, która spustoszyła Nowy Jork, JTF i Division zaczęły przywracać namiastkę porządku od mniej więcej Trzydziestej Czwartej na południe. Ale nie na północ. Tam agenci Division pojawiali się rzadziej, a obecność JTF ograniczała się do ufortyfikowanych kryjówek rozrzuconych wokół granic Central Parku i okolicznych ulic. Nauczyła się oceniać, jak niebezpieczna jest dana okolica w oparciu o to, jak często widziała charakterystyczne cechy agenta Division: pomarańczowe kółko na plecaku, sprzęt optyczny i audio, a przede wszystkim typową dla nich niezależność. Chodzili, gdzie chcieli,

nie ograniczały ich żadne zasady użycia siły, mieli mandat, żeby robić wszystko, co konieczne, by powstrzymać całkowity upadek cywilizacji. Im więcej ich widziała w okolicy, tym niebezpieczniejszy był dany obszar – a okolice, gdzie poruszali się zespołami, a nie w pojedynkę, były najgorsze.

Północy sektor Strefy Mroku był jednym z takich obszarów.

Obserwowała więc, zachowując spokój i korzystając z nadarzających się okazji. Wchodziła do strefy tylko w ciągu dnia, trzymając się grup, którym ufała, i wymykając się, gdy tylko robiło się gorąco. W niektóre dni do Strefy Mroku nie można się było dostać. Albo zawracali ją agenci Division czy patrole JTF, albo miały miejsce strzelaniny, albo rozpętywały się pożary. Całe kwartały były wypalone przez apokaliptyczne gangi, które wyrastały jak grzyby po deszczu po wybuchu epidemii. Nawet jeśli zdołała wejść do strefy i miała szansę, by zbliżyć się do budynku, który był jej celem, to wpadała wtedy w tarapaty. Najczęściej udawało jej się uniknąć rozlewu krwi, a trzy lub cztery razy życie uratowali jej agenci Division. Kilka razy musiała kogoś zastrzelić. Choć wiedziała, że nie dało się tym śmierciom zapobiec, czuła ich ciężar. Nie chciała żyć w świecie, w którym zabójstwa są na porządku dziennym.

Ale taki właśnie był w tym momencie świat, a przynajmniej taki był Nowy Jork. Lepszy niż wcześniej, ale na pewno daleki od normalności. Zresztą nie miała pojęcia, jak miałyby teraz normalność wyglądać, skoro miliony ludzi umarły, rząd upadł, komunikacja nie działała, wielkie miasta opustoszały, ziemia uprawna leżała odłogiem... Po pewnym czasie normalne było tylko to, że budzisz się rano. Ludzie musieli się jakoś dostosować. Jej się to udało.

Po części dlatego, że zaraza i jej skutki pokazały, że ma odporność, jakiej się po sobie nie spodziewała. Gdy pół roku temu siedziała przed komputerem, nie przyszłoby jej do głowy, że będzie wspinać się po niszczonej barykadzie do objętego kwarantanną piekła. Ale miała misję. Czy raczej obsesję, która zapłonęła w jej wnętrzu, gdy przetrwała zarazę i morderczy chaos, jaki po niej nastąpił. Utrzymywała ją przy życiu podczas

mroźnych nocy i wypełnionych głodem dni, zapewniała koncentrację, dawała cel w życiu. Najważniejszą wskazówką był adres:

58. Zachodnia 117

Dziś wreszcie tu dotarła. Po części dlatego, że udało jej się pociągnąć za sobą agenta Division. Zauważyła go na dachu już na rogu Central Parku i wybrała punkt wejścia do Strefy Mroku w nadziei, że albo zagrozi jej drogę, albo ruszy jej śladem. Mając go za plecami, mogła skupić się na podążaniu naprzód i dotrzeć tu szybciej. Podziękowała mu w myślach, choć nie wiedziała, jak się nazywa.

Fasada budynku nr 177 przy Pięćdziesiątej Ósmej Zachodniej była otwarta, jakby był w trakcie budowy lub remontu, gdy uderzyła Dolarowa Grypa. Zagracone wnętrze sugerowało, że mieścił się tu kiedyś sklep z rowerami. Weszła do środka, próbując uspokoić oddech. To tutaj.

Zanim poszła dalej, nadstawiła uszu. Obecność ludzi w budynku mogła się manifestować na różne sposoby. Nie tylko poprzez dźwięki, gwałtowne wciągnięcie powietrza czy niemal niesłyszalny szelest przestępowania z nogi na nogę – nie, czyjaś obecność można było wyczuć poza świadomością. Puste budynki emanowały pustką. W którymś momencie nauczyła się to odróżniać.

Przed nią, na tyłach dawnego sklepu, znajdowały się schody, a obok otwarte drzwi przeciwpożarowe. Przez nie dostrzegła korytarz prowadzący do wnętrza budynku. Po prawej znajdował się inny, krótszy korytarz, z wyważonymi drzwiami na końcu. Kiedy włączyła latarkę, zobaczyła za nimi schody prowadzące w dół.

58. Zachodnia 117 piwnica

Powoli schodziła schodami, intensywnie nasłuchując. Nie usłyszała jednak niczego poza delikatnym szuraniem taśmy bezpieczeństwa na każdym stopniu pod jej stopami. Gdy dotarła na sam dół, również nic nie

usłyszała. Piwnica stanowiła labirynt wąskich korytarzy, dochodzących do ciepłowni, pomieszczeń serwisowych, paneli elektrycznych, całego wewnętrznego systemu krążenia i układu nerwowego nowoczesnego wieżowca. Zajrzała pobieżnie do każdego z tych miejsc i ruszyła dalej. Dotarła do większego pomieszczenia i zatrzymała się w progu.

W najbliższym rogu stała wielka szafa serwerowni, ciemna i wygasła. Po podłodze walały się koce i pogniecione kartonowe pudła oraz opakowania po jedzeniu i papierosy. Te ostatnie przyciągnęły jej uwagę. Były cenne, a skoro nadal tu leżały, to znaczy, że od dawna nikogo tutaj nie było.

A to znaczyło...

Przerwała ciąg myśli i kontynuowała przegląd pomieszczenia, choć czuła, jak serce tłucze się jej między żebrami. Pośrodku pomieszczenia stał rozkładany stolik z mapą Manhattanu pokrytą zapisanymi skrawkami papieru. Na przeciwległej ścianie wisiała biała tablica z listą nazwisk. Każdemu przyporządkowano zestaw współrzędnych, szerokość i długość geograficzną.

Jedno z nazwisk należało do niej.

To jest to miejsce. Albo raczej nim było, gdyż nie znalazła tu mężczyzny, którego szukała. Sądząc po zapachu i zatęchłym powietrzu, odgadła, że nie było go tu od dawna. Nie dostrzegła również żadnych śladów walki, krwi na podłodze czy dziur po kulach w ścianach. Pod jej stopami nie zabręczała żadna łuska.

A więc nie ma go tutaj, domyślała się jednak, że musi być niedaleko. Po co wysyłać zaproszenie, jeśli nie zamierza się przyjąć gościa?

April, ukrywam się, przyjdź 58. Zachodnia 117 piwnica

Tak właśnie zrobiła. A teraz patrzyła na ostatni element układanki. „Okej” – pomyślała. „Najpierw robimy to, co oczywiste”.

Powoli ruszyła z powrotem na parter, wypatrując jakiegoś ruchu. Weszła po schodach i zatrzymała się.

Budynek – a przynajmniej ta jego część – wydawał się pusty. Poszła dalej przez pozostałości sklepu. Za wyłamanymi drzwiami przeciwpożarowymi ciągnął się wyłożony wykładziną korytarz, w którym cuchnęło pleśnią i uryną. Na jego końcu znajdowały się kolejne przeciwpożarowe drzwi. Zawróciła do sklepu i spojrzała na schody prowadzące w górę. Zanim zaczęła po nich wchodzić, zsunęła strzelbę z ramienia i skierowała lufę nisko przed siebie. Nadal żadnych dźwięków, żadnego poczucia, że jest obserwowana.

Weszła na piętro i wyjrzała z klatki schodowej, nasłuchując jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności.

Nic. Ale musiał gdzieś tu być. Weszła na kolejne piętro.

Gdy wyjrzała z klatki na trzecie piętro, wyczuła, że ktoś tam mieszka. Niektóre drzwi były otwarte, cichy szum jakiegoś elektrycznego urządzenia dochodził z tych w połowie korytarza po lewej. Prąd nie pochodził z sieci w budynku. Widziała przepalane panele. A więc ktoś podłączył się do jakiejś nielegalnej sieci. Czyli miał wsparcie. Tylko czyje? Nieobecność wartowników sugerowała, że nie gangu kryminalistów. Oni lubili afiszować się ze swoją siłą.

„A więc może to ktoś pod opieką Division? Ukryty tu, w Strefie Mroku?” To pasowałoby do tego, co wiedziała... Ale rodziło też kolejne pytania.

Podeszła do drzwi i zatrzymała się. Szukał tego miejsca przez wiele miesięcy. Jeśli się myli...

Wiedziała, że nie ma takiej możliwości. Przeszła przez próg, trzymając superdziewięćdziesiątkę opartą o biodro.

Przed Dolarową Grypą był tu gabinet lekarski. Pod jedną ścianą stał sprzęt medyczny, a naprzeciwko dwa biurka przy wychodzącym na południową stronę oknie. Jasne wiosenne słońce przedzierało się pomiędzy wysokościami od południa. Ścianę między sprzętem medycznym a oknem zajmowały półki na książki. Wśród rzędów tytułów poświęconych epidemiologii, biologii komórki i genetyce wirusów jedna książka zwróciła

jej uwagę: *Upadek Nowego Jorku*.

Zgubiła swój egzemplarz, ten, który dał jej Bill. Używała go, by utrzymać się przy życiu, na marginesach prowadziła zapiski w tygodniach, które nastąpiły po wybuchu zarazy. Gdy je potem wielokrotnie czytała, odkrywała ukryte wskazówki, a te doprowadziły ją do tego miejsca i mężczyzny, który siedział przy jednym z biurk. Miał około sześćdziesięciu lat, falę włosów w kolorze pieprzu i soli i nisko opuszczone na nosie okulary do czytania. Pisał coś w notesie, zerkając na ekran komputera.

Odezwała się z progu.

– Roger Koopman?

Spojrzał, a ona zauważyła, że zanim popatrzył jej w twarz, dostrzegł strzelbę.

– Nie mam nic wartościowego – oznajmił.

– Może powinnam zapytać: Warren Merchant? – odparła.

Zmierzył ją wzrokiem i jego twarz przybrała dziwny wyraz – jakby zobaczył kogoś, kogo nigdy nie spodziewał się ujrzeć, i nie był pewien, jakie to wywołuje w nim odczucia.

– Jestem April Kelleher – dodała. – Od dawna pana szukam.

Rozdział 4

VIOLET

Późnym popołudniem byli głodni i zmęczeni, nieśli jednak torby wypełnione liśćmi mlecza. Wokół stawów w Ogrodach Konstytucji znaleźli też mnóstwo pałki. Żadne z nich nigdy by nie pomyślało, że można jeść szuwary, ale to wcale nie było takie złe. Jedna z kobiet w hotelu, Luiza, nauczyła dzieciaki, czego szukać. Obierała potem kłacza pałki i obtaczała w mące. Rogożowe naleśniki były teraz stałym elementem menu na Zamku.

Więc może i nie poszli tam, dokąd mieli iść, ale wracali z lepszymi zbiorami niż Luiza i inni mogli się spodziewać.

Niebo nad rzeką zasnuły chmury. Zbierało się na deszcz.

– Wracajmy do domu – powiedziała Amelia. – I tak już więcej nie uniesiemy.

Przecinając National Mall przy Lustrzanym Stawie, minęli Pomnik Waszyngtona i trzymali się południowej strony parku. Wokół budynków na północ od Ogródów Konstytucji kręciły się gangi szaleńców. Krążyły plotki, że czasem porywają dzieci. Trzymali się też z dala od Białego Domu. Tam zawsze byli jacyś ludzie z bronią. Może chronili prezydenta, a może prezydent nadal był gdzieś indziej. Tego nie wiedzieli. Saeed i Ivan zawsze twierdzili, że potrafią odróżnić JTF od innych grup, ale dla Violet wszyscy wyglądali po prostu jak ludzie z bronią – głównie mężczyźni.

Byli też agenci Division z pomarańczowymi kólkami na swoim spręcie. Nie wyglądali na członków którejkolwiek grupy. Ivan i Amelia mówili, że ich tata jest agentem Division, jednak Violet nie wiedziała, czy im wierzyć.

Wszystkie dzieci straciły rodziców i wszystkie wymyślały o nich jakieś historyjki, żeby poczuć się lepiej. Nawet Violet to robiła, a przecież wiedziała, że jej rodzice nie żyją. Widziała, jak umierali.

Ale teraz nie zamierzała o tym myśleć.

Gdy dotarli do Independence Avenue i mijali budynek Departamentu Rolnictwa, zauważyli nadbiegającego z południa agenta Division. Zobaczył, że zacierają do skrzyżowania z Dwunastą i pomachał, żeby zwrócić ich uwagę.

– Wynoście się stąd! – krzyknął.

Zamarli, nie wiedząc, co robić. Wynosić się stąd? Dokąd?

– Ojacie – powiedział Wiley. – Spójrzcie na to.

Wskazał na południe, a gdy Violet popatrzyła w tamtą stronę, zobaczyła żółtą chmurę kłębiącą się nad Hancock Park.

Żółty proszek. Słyszeli o nim. Nie wiedzieli, czym jest, ale wiedzieli, że jest groźny.

– Jacie – powiedział Wiley. Agent Division zmierzał w ich kierunku. – Dopiero co tam byliśmy. Już byśmy...

Nie musiał dopowiadać, że już by nie żyli. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

– Teraz tam nie pójdziecie – stwierdził agent. – Dokąd zmierzacie?

Zdjął hełm i otarł rękawem pot z czoła i brody. Violet przypomniała się broda ojca. Agent Division był wysokim, szczupłym białym z ciemnymi włosami i nitkami siwizny w brodzie, zupełnie jak jej tata.

– Idziemy do Zamku – odpowiedziała Shelby.

– Do Zamku Smithsonian?

– No – potwierdził Noah. – Mieszkaliśmy w tamtym hotelu, ale jest zalany.

Agent Division pokiwał głową.

– Tak, to było dobre miejsce. Kto wie, może będziecie mogli tam wrócić, gdy woda w rzece opadnie.

– Myśli pan, że opadnie?

– Prędeziej czy później tak. – Agent założył z powrotem hełm i popatrzył na zachód. – Wkrótce się ściemni. Powinniście dotrzeć do domu. Po zmroku nie jest tu bezpiecznie. I pamiętajcie. W żadnym razie nie idźcie tamtędy.

– Już nigdy? – zapytał Saeed. – To jest radioaktywne czy coś? Czytałem kiedyś, że koncentrat uranowy jest żółty.

– Nie, nie o to chodzi. I nie wiem, czy nigdy, ale powiedzmy, że na razie tamtędy nie chodźcie. Spróbuję ściągnąć tu JTF, żeby wyznaczyli strefę bezpieczeństwa, ale mają mnóstwo roboty.

Agent jakby się zamyślił. Po chwili Violet zorientowała się, że słucha czegoś przez słuchawkę.

– Muszę lecieć, dzieciaki – oznajmił. – I serio, wracajcie do domu.

– Tak zrobimy – powiedziała Violet. Przełożyła torbę pełną palki i mleczu do drugiej ręki i rozprostowała palce.

– Hej, proszę pana... To znaczy, agencie – odezwał się Ivan.

– O co chodzi?

– Zna pan mojego tatę?

– A jak się nazywa?

– Aurelio Diaz. On też jest agentem Division.

Agent się uśmiechnął.

– Owszem, znam go. Byliśmy razem na paru misjach, gdy wszystko się sypało. Pojechał do Nowego Jorku chyba w styczniu... A może w lutym. Tam było o wiele gorzej niż tutaj. Z tego, co wiem, nadal tam jest.

– Czyli żyje.

– Chłopcze, niczego nie mogę obiecać. Ale gdy ostatni raz go widziałem, żył i miał się dobrze, a potem o niczym innym nie słyszałem. – Agent objął ich wszystkich wzrokiem. – Trzymajcie się razem, dzieciaki.

Pobiegł truchtem na północny zachód, w kierunku, z którego nadeszły dzieci.

– Widzicie? – powiedział Ivan. – Mówiłem, że nasz tata to agent Division.

– Jacie, ale ekstra – stwierdził Wiley.

Amelia patrzyła za agentem.

– On naprawdę żyje. – Choć się starała, nie udało jej się nie rozpłakać.

Violet stłumiła poczucie żalu.

– Chodź – powiedziała. – Musimy wracać do domu.

Junie – jedna ze starszych kobiet, które prowadziły osadę w Zamku – zobaczyła ich, gdy byli jeszcze w ogrodzie. Zamek Smithsonian wznosił się przed nimi, a dwa muzea otaczały ogród z obu stron. Większość skweru została przekopana i zamieniona w warzywnik. Kury gdały dokoła, dziobiąc robaki i co tam kury lubią jeść.

– Zaczynałam się już zastanawiać, czy wrócicie – powiedziała Junie. – Ale wygląda na to, że macie to, po co wyruszyliście. Zabierzmy to wszystko do kuchni. Ooo, pałka – dodała, gdy przyjrzała się zawartości ich toreb.

– Spotkaliśmy agenta Division! – zawołał Ivan. – Powiedział, że zna naszego tatę.

– Agent Division? – Junie spojrzała ponad ogrodem na południe. – Czyżby w związku z tamtą żółtą chmurą?

Wszyscy popatrzyli we wskazanym kierunku. Chmury już nie było. Violet zastanawiała się, czy żółty proszek jest niebezpieczny, nawet jeśli spadło na ciebie tylko kilka cząsteczek. Wiatr wiał wzdłuż rzeki, więc może tutaj nic nie docierało, ale poczuła nagłą potrzebę kąpieli i zmiany ubrania.

Junie uważnie się jej przyglądała.

– Co się dzieje, Violet?

– Agent Division powiedział nam, że żółty proszek jest niebezpieczny. I że nie wolno nam już tamtędy chodzić. Jakby wszystko tam było zatrute czy coś. – Violet nie potrafiła się powstrzymać. – A my tam właśnie byliśmy! – krzyknęła i się rozpłakała.

– Hej, spokojnie, hej – Junie objęła Violet swoimi miękkim ramionami starszej pani. Reszta dzieci zbiła się w kupkę wokół nich. – Niełatwo jest teraz być dzieckiem – powiedziała Junie. – Do diabła, nikim nie jest łatwo być. Ale wy świetnie sobie radzicie.

Pozwoliła Violet się wypłakać. To nie trwało długo. Violet nie lubiła okazywać emocji. Jednak teraz było tego zbyt wiele nawet dla niej. Choć tak naprawdę nie stało się nic złego, widok hotelu, a potem ten żółty proszek... I ta świadomość – coraz intensywniejsza – że są miejsca, do których nie mogą pójść, bo stanie im się krzywda. Czuła, jakby coś się wokół nich zamykało, jakby wkrótce nie mieli już w ogóle dokąd się udać.

Nie mogła jednak tego wszystkiego powiedzieć, więc zapanowała nad sobą i otarła oczy. Junie puściła ją.

– Może zabierzecie tę całą zieleninę do kuchni, co? – zaproponowała. – Powinniście też dostać coś do jedzenia. Założę się, że jesteście głodni po całym dniu biegania.

– Tak – potwierdziła Shelby. Dzieci pobiegły gromadą do Zamku i weszły do środka. Violet zauważyła, że wciąż ją otaczają, jakby ją chroniły. Nie chciała, żeby czuły się do tego zobowiązane, ale to było miłe. Dbali o siebie nawzajem.

Rozdział 5

APRIL

– April Kelleher – powtórzył Koopman. Uśmiechnął się szeroko. Jeden z jego przednich zębów odbarwił się na brązowo. – Oczywiście. – Wstał i wyciągnął do niej rękę. – To ogromna przyjemność, a jednocześnie niespodzianka, że panią wreszcie poznaję.

– Aż taka niespodzianka to chyba nie jest – odparła. – Pan mnie przecież tutaj zaprosił.

– To było... kiedy, trzy miesiące temu? Już straciłem nadzieję.

Koopman usiadł z powrotem za biurkiem. Wyłączył komputer i zamknął notes, w którym pisał. A potem wskazał April krzesło.

– Proszę usiąść. Jestem pewien, że mamy mnóstwo do omówienia. Przepraszam za to miejsce. Wiem, że trudno tu dotrzeć. Mam swoje powody, żeby przebywać właśnie tutaj, ale czuję się niekomfortowo, że sprawiłem pani trudność.

Przyciągnęła sobie biurowe krzesło i usiadła.

– Nie było tak źle. Musiałam tylko obserwować wejścia do Strefy Mroku przez parę miesięcy, ustalić najlepszy sposób, by uniknąć paru kulek, i hokus-pokus. Oto jestem. – Po chwili dodała. – I mam kilka pytań.

Koopman rozłożył dłonie i odparł:

– Proszę strzelać.

– Po pierwsze, skąd pan wiedział, żeby rozwiesić ten plakat o poszukiwaniu? – Wyjęła ogłoszenie z torby i rozłożyła je. Kiepska fotografia jej twarzy, a pod nią pytanie: WIDZIAŁEŚ TĘ KOBIETĘ?

Poniżej numer telefonu. Omal nie dostała zawału, gdy pierwszy raz je zobaczyła i uświadomiła sobie, że ktoś obserwował jej pogoń śladem wskazówek z *Upadku Nowego Jorku*. A gdy rozwiązała zagadkę z numerem telefonu, zrozumiała, że nie obserwuje jej byle kto, tylko sam autor. Warren Merchant. Który tak naprawdę nazywa się Roger Koopman.

– Obserwowałem panią – odpowiedział natychmiast. – Miałem ludzi, którzy monitorowali pewne miejsca. Wiedziałem, że przyjdą tam jedynie ci, którzy odkryją pewne tropy pozostawione w książce. Zauważono tylko panią. Wtedy zacząłem panią obserwować, ale to nie było łatwe. Ciągłe się pani kręciła, a do tego to niefortunne zdarzenie w pani bloku.

Niefortunne zdarzenie. Miał na myśli to, jak April i dwoje jej przyjaciół – Miko i Drew – zostali porwani przez skazańców, którzy zbiegli z Rikers Island. Znalazł ich i uwolnił agent Division, który tropił kryminalistów, jednak Miko i Drew zginęli w strzelaninie. I agent też. To nie jedyne kiepskie doświadczenie April, odkąd Dolarowa Grypa zaczęła szaleć po Nowym Jorku... Ale chyba najgorsze. No może drugie od końca.

– Nazywał się Doug Sutton – powiedział Koopman. – Ten agent, który was uratował.

– Doug Sutton – powtórzyła. – Miał rodzinę?

– Nie wiem. – Koopman wyraźnie czuł się niezręcznie, jakby nie chciał myśleć o agentach Division jak o ludziach, którzy mają rodziny. April czekała, co dalej powie.

Gdy się nie odzywał, poprosiła:

– Proszę opowiedzieć mi o Billu.

Bill. William Gibson Kelleher. Od sześciu lat jej mąż, od pięciu miesięcy nie żył. Bill, którego kochała i z którym zaczęła budować życie, a potem zobaczyła, jak zostaje zastrzelony na ulicy. Bill, który dał jej *Upadek Nowego Jorku* – książkę, która utrzymywała ją przy życiu podczas pierwszych tygodni Dolarowej Grypy, a teraz doprowadziła ją tutaj. Prawie nigdy nie wymawiała na głos jego imienia, bo niosło ze sobą wszystkie wspomnienia, i za każdym razem, gdy je słyszała, bała się, że zacznie o nim

opowiadać i nigdy nie przestanie. To wszystko robiła dla niego – ryzykowała życie, idąc za wskazówkami i wymyślając sposoby na zbadanie Strefy Mroku. W dniu, w którym ogłoszono kwarantannę, wyruszyła na poszukiwanie męża i widziała, jak zabijają go na ulicy przed firmą biotechnologiczną, w której pracował. To był najgorszy moment w jej życiu. Od tamtej pory znalezienie Koopmana i poznanie prawdy o tym, co stało się z Billem, były dwoma aspektami tego samego poszukiwania. Pragnęła odpowiedzi.

Koopman westchnął i wysunął zuchwę, jakby rozmowa szła w kierunku, który mu się nie podoba.

– To znaczy: dlaczego został zabity?

Jakby mogło chodzić o cokolwiek innego, pomyślała.

– Tak. Co on robił, że go zabili? Czy to miało coś wspólnego z wirusem?

– W pewnym sensie, ale nie tak, jak mogłaby się pani spodziewać. Bill był członkiem zespołu, który eksperymentował z pomysłem nowej szczepionki. Nie jestem wirusologiem, więc nie będę udawać, że znam szczegóły, ale efekt był taki, że nowa szczepionka radziła sobie z większą liczbą zmutowanych wersji wirusa. Takie szczepionki nazywa się antywirusami o szerokim spektrum działania, w skrócie BSAV. – Koopman otworzył z powrotem notes i pokazał April notatki oraz rysunki. Domyśliła się jedynie, że to modele cząsteczek jakichś związków. – Zanim zająłem się zarządzaniem, też pracowałem w laboratorium naukowym, badałem jakość wody. Śledzę więc temat jak człowiek niemalże z branży. Firma pani męża, SBGx, prowadziła bardzo zaawansowane prace nad antywirusem o szerokim spektrum. To jest właśnie uproszczony zarys pracy, jaką wykonali inni naukowcy, którzy wykorzystali osiągnięcia SBGx, by stworzyć projekt prototypu antywirusa będącego w stanie zwalczyć wirus Amhersta.

– Amherst – powtórzyła April. – To on stworzył wirusa? Jeden człowiek?

– Trudno w to uwierzyć, ale tak. Sprawny wirusolog wyposażony w odpowiednie narzędzia może albo zdziałać cuda, albo wywołać katastrofę.

Amherst był bardzo sprawny. Na szczęście przeżyli naukowcy, którzy są równie utalentowani. I całe szczęście, bo wirus Amhersta może zmutować tak, że znów zacznie się rozprzestrzeniać. Właśnie po to został zaprojektowany, więc nie wyeliminuje go trwale żadne pojedyncza szczepionka.

„Kolejna epidemia” – pomyślała April. „Ta pierwsza doprowadziła świat na skraj zagłady. A druga, albo trzecia, albo i kolejna – z całą pewnością dokończą dzieła”.

– Widzi pani, jak ważne są te prace – powiedział Koopman po chwili.

– A więc Bill pracował nad antywirusem. Myśli pan, że dlatego go zabili?

– Nie wiem tego na pewno – odparł Koopman. – Może Amherst i Tschernenko zacierali za sobą ślady, a może próbowali spowolnić produkcję szczepionki. Panował wtedy chaos.

– Czy zabito też innych? – April od miesięcy zadawała sobie takie pytania, odkąd tylko zorientowała się, że ta książka to coś więcej niż zwykły poradnik przetrwania. Cały czas wyobrażała sobie człowieka kryjącego się pod pseudonimem i zastanawiała się, o co zapyta, gdy w końcu go odnajdzie.

– Powinna pani wiedzieć – powiedział Koopman – że ja też uciekałem. Napisałem tę książkę, bo wiedziałem, że Amherst coś planuje. Sam zaprojektował wirusa, ale nie da się zrobić czegoś takiego, nie przyciągając uwagi innych apokaliptycznych typów. Oni często wchodzą na te same strony internetowe i tak dalej. Tacy megalomani nie potrafią powstrzymać się przed przechwałkami, choćby drobnymi. Stąd wzięły się moje podejrzenia. Nikt nie wiedział dokładnie, co on robi, ale sporo ludzi miało świadomość, że coś robi, i to aprobowało. Zabiliby mnie od razu, gdybym napomknął o tym słówkiem. Miałem nadzieję, że tropy porozrzucane w książce zostaną podjęte i ktoś wreszcie dowie się prawdy o tym, co się wydarzyło. – Uśmiechnął się do niej. – A gdy dowiedziałem się, że przedziera się pani przez te zagadki, trochę pani pomogłem.

– Ogłoszenie o poszukiwaniu.

Pokiwał głową.

– Pomyślałem, że chciałyby pani wiedzieć, że jest na właściwej ścieżce. Ale po tym, jak widziałem, co się stało z Billem i innymi, nie mogłem ryzykować bezpośredniego kontaktu. Musiałem poczekać, aż sama mnie pani znajdzie. I cieszę się, że się to pani udało.

April natomiast nie wyglądała na ucieszoną. Milczała, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby rozzłościć Koopmana albo go do niej zniechęcić. Przynajmniej dopóki nie dowie się wszystkiego, po co tu przyszła.

– Skoro pani tu jest – kontynuował Koopman – to mam dla pani wieści. Ten antywirus o szerokim spektrum, którego prototyp pomagał opracować Bill... On istnieje.

– Istnieje? Jak to możliwe? Gdzie? Dlaczego nikt go nie produkuje?

– Na razie to tylko kilka dawek. Niewiele zostało miejsc, w których można by wytwarzać szczepionkę. Jednak doktor Jessica Kandel, która pracuje w laboratorium JTF tu, w Nowym Jorku, stworzyła prototyp szczepionki na obecny szczep *variola chimera*, czyli Zieloną Truciznę. Udało jej się zabrać prototyp do ocalałego laboratorium w Ann Arbor, w Michigan. Tam z kolei wykorzystano go, wraz z pracami pani męża nad antywirusami o szerokim spektrum, do zaprojektowania szczepionki, która będzie zwalczać zmutowane szczepy Zielonej Trucizny. Szczepionka działa na wszystkie zaobserwowane dotąd mutacje tej choroby... A przynajmniej tyle udało mi się dowiedzieć. – Koopman rozłożył ręce, wskazując na przestrzeń wokół siebie. Ten gest miał podkreślić jego izolację wewnątrz Strefy Mroku. – JTF niewiele mi przekazuje i z pewnością nie jestem w stanie na bieżąco śledzić tego, co robią w Michigan. Ale plotki rozchodzą się szybko i z wielu źródeł słyszę, że szczepionka istnieje, a przynajmniej kilka jej dawek.

– W Ann Arbor.

Koopman skinął głową i zamknął notes.

– W laboratorium w Ann Arbor mieli trochę czasu, żeby się

przygotować, zanim wirus zaczął się rozprzestrzeniać, więc niektórzy laboranci odizolowali się na tyle skutecznie, że mogli kontynuować prace.

Myśl o szczepionce była wyjątkowo kusząca. Czy to prawda? I co z nią robią? Czy w Ann Arbor jest o wiele spokojniej niż w Nowym Jorku? Jeśli tak, to dlaczego JTF trzyma ludzi w kwarantannie w Nowym Jorku? April uświadomiła sobie nagle, jak odległe stały się inne części kraju. Nie miała pojęcia, co dzieje się w Hoboken, a co dopiero w Ann Arbor, Denver czy San Francisco. Nie wiedziała, kto jest teraz prezydentem ani czy w ogóle jest jakiś prezydent. Albo czy nadal istnieje Kongres... I wreszcie: czy nadal istnieją Stany Zjednoczone...

– I ci ludzie są w Ann Arbor – powiedziała. – Czy oni znali Billa? Czy mogą wiedzieć, dlaczego zginął?

Koopman wzruszył ramionami.

– Możliwe. Pracowali dla SBGx. Nie byłbym zaskoczony, gdyby go znali, być może sami padli ofiarą ataków. Tyle że ja nawet nie mam pewności, czy te plotki to prawda. Może to tylko pobożne życzenia. Może antywirus o szerokim spektrum wcale nie istnieje.

Słowa popłynęły z ust April, zanim zdążyła pomyśleć:

– Ruszam do Ann Arbor.

Koopman był na tyle uprzejmy, że się nie roześmiał. Rzucił jej tylko długie, pełne zadumy spojrzenie, a potem powiedział:

– Proszę mi wybaczyć to, co powiem, April. Możemy przejść na ty?

– Pewnie, wszystko jedno.

– W takim razie... To szaleństwo. Nie możesz wyruszyć do Ann Arbor. Przecież to... ile? Sześćset mil stąd? Masz pojęcie, co się wydarzyło w tych wszystkich stanach?

– Nie. A ty?

Koopman w końcu nerwowo zachichotał.

– Nie wiem nawet, co się dzieje na Czternastej.

– Racja – odparła April. – Czyli tam może być lepiej niż tutaj. Może dlatego cały czas mamy kwarantannę.

– Nie mam żadnych sygnałów, które by to potwierdzały – stwierdził Koopman.

– Ale przed chwilą powiedziałaś, że JTF nie przekazuje ci informacji. Więc tak naprawdę nie wiesz. – April wstała i poprawiła plecak. – Zastanawiałam się nad tym, przeżywając najgorsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. A teraz jest wiosna, wirus już się nie rozprzestrzenia, więc zamierzam doprowadzić sprawę do końca.

Zwykle nie podejmowała decyzji pod wpływem impulsu, ale tym razem czuła, że ma rację. Teraz już wiedziała, gdzie dowie się prawdy o pracy Billa i o jego śmierci. W Ann Arbor. Wiedziała o tym mieście tylko to, że był tam Uniwersytet Michigan.

„Sześćset mil drogi – pomyślała. – Ale w większości pustej. I prawdopodobnie o wiele mniej niebezpiecznej niż te dziesięć przecznic Strefy Mroku, które minęłam, by znaleźć się tutaj”.

– Wiesz... – powiedział Koopman. – Gdy pisałem tę książkę, nie myślałem, że ktokolwiek dzięki moim wskazówkom zdoła dotrzeć aż do samego końca.

– A wiesz, co ja myślę o tej książce? – odpowiedziała pytaniem April. – Prawdopodobnie dzięki niej przeżyłam. Wiesz, że Bill dał mi ją w prezencie na rocznicę ślubu? W ramach żartu, ale ona uratowała mi życie. Więc chyba powinnam podziękować. Ale gdybyś jej nie napisał, gdybyś to po prostu komuś powiedział, nie potrzebowałabym tej przeklętej książki w ogóle. I nawet gdyby cię zabili, wielu ludzi by przeżyło.

Koopman rozważał jej słowa przez dłuższą chwilę.

– Z pewnej perspektywy można to uznać za tchórzostwo. I ja to rozumiem. Ale ty też musisz coś zrozumieć, o ile nie wyraziłem tego jeszcze dość jasno. Dzięki moim kontaktom w kręgach wywiadowczych podejrzewałem, że zawiązano spisek, by wypuścić poddany inżynierii biologicznej wirus. Ale nie wiedziałem nic ponadto, żadnych wskazówek, kto to robił ani kiedy ma się to wydarzyć. Wiedziałem tylko, że istnieje spisek i że niektórzy w rządzie też to podejrzewają, a część z nich go

popiera, choć trudno w to uwierzyć. Ogłoszenie tego publicznie wywołałoby panikę, która zasadniczo nie wpłynęłaby na plan Amhersta. Mógłby się przenieść, ukryć w innym laboratorium. Istniało też spore prawdopodobieństwo, że... cóż, wiesz, co stało się z Billem. Nie był jedynym. Jak już mówiłem, niektórzy w rządzie i w wojsku upatrywali w ewentualnej katastrofie okazji do zdobycia władzy i mogło się to dla mnie bardzo źle skończyć. Użyłem więc innego sposobu, mając nadzieję, że ktoś będzie na tyle zainteresowany, by podążyć za prawdą. Ale wtedy wypuszczono wirusa i wielu ludzi u władzy, którzy domyślali się planu Amhersta, zaczęło umierać, więc... Cóż, ukryłem się, tak jak ci powiedziałem. Tam, gdzie najciemniej, w Strefie Mroku. O miejscu mojego pobytu wiedziało tylko parę osób z Division... oraz ci, którzy odgadli wskazówki, jakie zostawiłem w książce. Tak jak ty.

– Pięć miesięcy za późno – odpowiedziała April. – I miliony straconych istnień...

Koopman milczał przez dłuższy czas, po czym odparł:

– Cóż, nie sądzę, bym był w stanie to zmienić. Ale przynajmniej próbowałem coś zrobić.

April obserwowała go z mieszanymi uczuciami. Zapadający na zewnątrz mrok jakby pogłębił cienie pod jego oczami i wzdłuż policzków. Przyjmowała to, co mówił, ale tylko umysłem. W sercu go obwiniała: za śmierć Billa, za jej nędzną pogoń przez umierające miasto za wskazówkami, które prowadziły do niejakiego Warrena Merchanta, za swoją wiarę w to, że dzięki spotkaniu z nim odkryje tajemnicę, która stoi za Dolarową Grypą.

Lecz jej uczucia się nie liczyły. April dostała od Koopmana to, czego chciała. Trochę odpowiedzi i trochę nowych pytań oraz wytyczoną ścieżkę. Wstała i zawahała się, czując, że powinna jeszcze coś powiedzieć. Książka połączyła ich oboje w jakiś intymny sposób. Tyle że on tak samo zdawał sobie z tego sprawę.

Zapytała więc tylko:

– Wiesz, jak mogłabym się wydostać z Manhattanu?

– Mogę poprosić kogoś o pomoc – odparł po długim milczeniu, myślała, że powie nie. – Ale dopiero rano. – Na zewnątrz zapadł już zmierzch. – Posłuchaj – dodał Koopman. – Choć jesteś bardzo zdeterminowana i sprytna, to mimo wszystko nie chcesz przebywać w tej okolicy po ciemku. Zostań tu na noc. A rano, jeśli nadal będziesz chciała wyruszyć, skontaktuję cię z kimś, kto może pomóc.

AURELIO

Aurelio obserwował otwartą fasadę budynku przy Pięćdziesiątej Ósmej aż do zapadnięcia zmroku. Kobieta stamtąd nie wyszła. Dwa razy widział ludzi, którzy zatrzymywali się przed obiektem, jakby zastanawiając się, czy wejść do środka. Gdyby to zrobili, ruszyliby za nimi, ale za każdym razem ostatecznie mijali budynek. Przecnicę dalej na północ, niedaleko barykad oddzielających Strefę Mroku od południowego krańca Central Parku, rozległy się odgłosy strzelaniny. Zaraz potem słychać było kolejne strzały – tym razem ze strzelby.

Skontaktował się z najbliższą kryjówką JTF, przy Madison Avenue.

– Tu Diaz. Strzały przy barykadzie wzdłuż Pięćdziesiątej Dziewiątej. To ktoś z JTF?

– Brak potwierdzenia. – Diaz rozpoznał głos Eda Trana, oficera wywiadu z tamtej kryjówki. – W tym obszarze nie ma jednostek JTF.

– Przyjęte, Ed. Rozłączam się.

Spojrzał na parter budynku, a potem przeniósł wzrok na wyższe kondygnacje. Na trzecim piętrze widać było słaby blask, jakby w jednym z pokoi na tyłach świeciło się światło.

Coś w tej całej sytuacji go niepokoiło, ale nie był w stanie określić co. Znowu wywołał kryjówkę.

– Ed, możesz sprawdzić dla mnie adres? Pięćdziesiąta Ósma Zachodnia sto siedemnaście.

JTF prowadziło skrupulatny rejestr wszystkich lokalizacji, w których

miało swoje zasoby: naukowe, techniczne czy logistyczne. Ulokowanie zasobów JTF w Strefie Mroku byłoby co najmniej nietypowe, ale tylko to wyjaśniałoby, dlaczego ktoś mieszkający tutaj nie miał widocznej ochrony. Wewnątrz mógł się kryć wartownik albo był tam zainstalowany inny środek aktywnej ochrony.

– Zarejestrowany jest tam Roger Koopman – odpowiedział Ed. – Status niejasny. Nie wiem, kim jest ani dlaczego go rejestrujemy.

– Możesz się dowiedzieć?

– Pewnie.

– Dzięki, Ed. Odezwę się.

Diaz zmienił pozycję i rozważył dostępne opcje. Usłyszał kolejny strzał od strony barykady. Czasem jakieś przypadkowe łachudry – pijane pędzonym domowymi sposobami bimbrem albo naćpane przemysłowymi rozpuszczalnikami – strzelały w powietrze... Jednak zazwyczaj odgłosy strzałów oznaczały problemy.

Kimkolwiek była kobieta w budynku, z pewnością nie zamierzała kręcić się nocą w pojedynkę po Strefie Mroku. Diaz domyślił się tego po jej zachowaniu, kiedy przechodziła przez okolicę w ciągu dnia. Wiedziała, że jest niebezpiecznie, i wiedziała, co robić. Zadekuje się pewnie i przekima u tego Rogera Koopmana do rana.

„A jeśli nie” – pomyślał Diaz, słysząc kolejny strzał ze strzelby, „to będzie zdana na siebie”. Nie mógł tak sobie tutaj stać, obserwując wejście, skoro tuż obok trwała strzelanina.

Wychynął z kryjówki i skręcił za róg na Szóstą, przemieszczając się szybkim krokiem i trzymając nisko lufę G36. Kolejne strzały dobiegły zza następnego rogu po zachodniej stronie Pięćdziesiątej Dziewiątej.

Gdy dotarł do narożnika, spojrzął w lewo. Wyświetlacz HUD w jego soczewkach pokazał człowieka biegnącego na zachód. Mężczyzna, raczej nieuzbrojony. Aurelio instynktownie w niego wycelował, ale odpuścił. Nie miał jak sprawdzić, czy i w jaki sposób jest w tę strzelaninę zaangażowany.

Na ulicy tuż pod murem Strefy Mroku leżały ciała. Jedno z nich opierało

się o betonowe bariery, stanowiące podstawę muru, który wyżej zbudowany był z płyt wiórowych i blachy falistej i wykończony drutem żyltkowym. Inne odcinki barykady wokół Strefy Mroku zbudowano z ustawionych na sobie kontenerów towarowych albo materiałów budowlanych. Wszystko zależało od tego, co było dostępne dla JTF, gdy odgradzali w grudniu Strefę Mroku.

Dwa inne ciała leżały obok siebie pośrodku ulicy. Trzecie kilka metrów od nich, przerzucone przez krawężnik przed spalonym hotelem. Aurelio wydało się, że dostrzega tam jakiś ruch. Ruszył do przodu, myśląc o tym, że nie ma przy sobie polowego wyposażenia medycznego, niezbędnego do opatrzenia poważnej rany postrzałowej. Nawet jeśli, to i tak musiał sprawdzić, czy nie da się czegoś zrobić. A jeśli ranny – a właściwie ranna, bo Aurelio był już na tyle blisko, żeby zorientować się, że to kobieta – przetrwa, może powie mu, co się tutaj wydarzyło. Przypadkowe akty przemocy ulicznej nie były głównym zmartwieniem Division, jednak nowo powstały gang albo zbrojna milicja to zupełnie inna historia.

Gdy zbliżył się do kobiety na odległość kilku metrów, usłyszał za sobą na chodniku ciche szurnięcie. Zdążył zaledwie skulić głowę i przechylić się nieco w lewo, gdy coś mocno uderzyło go wysoko po prawej stronie pleców. Część siły uderzeniowej zamortyzował plecak, ale Aurelio i tak osunął się na kolana. Przeturlał się na prawo, instynktownie zakładając, że napastnik jest praworęczny, więc przetoczenie się w tę stronę pozwoli uniknąć kolejnego ciosu. Miał rację. Na chodniku – tam, gdzie klęczał jeszcze przed chwilą – rozległ się metaliczny brzdęk. Aurelio podniósł wzrok. Pochyliła się nad nim góra łysej i brodatej nienawiści, czyli jeden z zamieszkujących Strefę Mroku socjopatów. Trzymał w dłoniach łom i właśnie brał kolejny zamach.

Znajdujący się wciąż na ziemi Aurelio uniósł G36. Puścił krótką serię, pozwalając, by odrzut przesunął linię strzału z nóg celu w górę. Łom po raz drugi uderzył o chodnik, wypadając napastnikowi z ręki. Olbrzym złożył się wpół i padł tam, gdzie stał.

Aurelio podniósł się i rozejrzał. Wyświetlacz HUD nie pokazał już

żadnych ludzi na ulicy. Zerknął na mężczyznę, którego właśnie zastrzelił, by upewnić się, że na pewno nie wstanie. Nie było co do tego wątpliwości. Dwie postrzępione rany wylotowe na plecach mówiły wszystko, a nawet gdyby mimo tego przeżył, pierwsza kula Aurelia przeszła mu lewą nogę tuż nad kolaniem.

To nie był ten mężczyzna, który uciekał w przeciwnym kierunku. Był za wielki, a poza tym tamten człowiek nie byłby w stanie obieć całego kwartału i pojawić się za plecami Aurelia tak szybko. A więc był przynajmniej jeszcze jeden świadek tego, co się tutaj wydarzyło, lecz Aurelio odłożył tę kwestię na później. Podszedł do kobiety i przykucnął obok niej.

Nie żyła. Lewa strona jej tułowia, pod skórzaną kurtką i flanelową koszulą, została podziurawiona śrutem jak sito. Niedaleko, w odpływie przy krawężniku, leżał mały czarny automat.

Odwrócił się, żeby obejrzyć pozostałe zwłoki. Żaden z trupów nie miał na sobie munduru. Dwóch leżących na ulicy zwróconych było twarzami do siebie. Jeden z nich miał strzelbę, a drugi glocka, który wyglądał na policyjny. Na pierwszy rzut oka sprawiało to wrażenie, jakby pozabijali się nawzajem. Trzeci trup, oparty o podstawę barykady otaczającej Strefę Mroku, zawdzięczał przejście na tamten świat temu samemu łomowi, który niemal trafił Aurelia w potylicę. Dwie głębokie doliny w czaszce, jedna po lewej stronie tuż nad uchem, druga po prawej – na ciemieniu. Każdy z tych ciosów mógł być śmiertelny.

Najwyraźniej było to spotkanie dwóch wrogich sobie grup mieszkańców Strefy Mroku. To się zdarzało cały czas. Gdyby dotarł tu dwie minuty wcześniej, może coś by działo – jednak z drugiej strony mógł też zginąć, a wyglądało na to, że obie grupy to najprawdopodobniej dilerzy narkotyków albo handlarze ludźmi.

Czasem Strefa Mroku działała na Aurelia depresyjnie. Na pozostałym obszarze miasta widział, że działania i poświęcenie Division przynoszą efekty. Tu jednak nie odnosił takiego wrażenia.

Ruszył z powrotem Pięćdziesiątą Dziewiątą i przeszedł przez kontrolę na

północ od pomnika, przy wschodnim krańcu Central Parku.

– Masz pękniętą obudowę ISAK-a – zwrócił uwagę jeden z wartowników JTF.

– Dzięki – odparł Aurelio. – Sprawdzę to.

Trzydzieści minut później był w kryjówce JTF w budynku, w którym kiedyś mieściło się stowarzyszenie YMHA przy Dziewięćdziesiątej Drugiej. Z zawodowej kurtuazji zajrzał do dyżurującego oficera JTF i wziął sobie coś do jedzenia. Potem wyczyścił G36 i przyjrzał się swojemu ISAK-owi. Obudowa rzeczywiście była pęknięta – to za sprawą łomu – ale mimo wszystko trzymała.

Diaz głośno westchnął. Minęło szesnaście godzin, odkąd wyruszył z kryjówki JTF w dzielnicy Murray Hill. Myślał o kobiecie, która odwiedziła Rogera Koopmana. Zastanawiał się też nad mężczyzną uciekającym ze strzelaniny. Był ciekaw, jak radzą sobie Ivan i Amelia. Miał zamiar wkrótce wrócić do Waszyngtonu.

To była jego ostatnia myśl tego dnia, bo zaraz potem zdjął buty, wyciągnął się na pryczy i zasnął.

Rozdział 7

VIOLET

Kolację na Zamku jedzono bez ustalonego porządku – niewielkie grupki zbierały się przy małych stolikach albo siadały na podłodze wokół talerzy. Główne miejsce spotkań znajdowało się na pierwszym piętrze, w olbrzymim holu z mnóstwem okien. Violet i reszta dzieci zbierali się z boku, w pewnym oddaleniu od większych grup dorosłych, ale na tyle blisko, by z grubsza słyszeć, o czym rozmawiają. Wiedzieli już, że dzięki temu dowiedzą się o tym, o czym dorośli woleliby im nie mówić.

Dziś na kolację były wojskowe racje żywnościowe z nadwyżek z dodatkiem gorzkawej sałatki z mniszka lekarskiego, która nie smakowała żadnemu z dzieci. Mimo to opróżniły talerze do czysta. W pierwszych tygodniach po wybuchu Dolarowej Grypy poznały, co to głód. Niektóre z nich może wcześniej grymasiły przy jedzeniu, ale teraz już im się to nie zdarzało.

Junie siedziała przy stole pod jednym z wielkich okien holu, pogrążona w rozmowie z trzema innymi dorosłymi. Jednym z nich był Mike Walker, który przeprowadził grupę z hotelu Mandarin do Zamku po powodzi. „Od tamtej pory minęły już prawie trzy tygodnie” – uświadomiła sobie Violet. A ona już zaczęła myśleć o Zamku jak o domu.

– Musimy być ostrożni – mówił właśnie Mike. – Nacierają na Kapitol z drugiej strony, zajęli też Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej. Niedługo dotrą tutaj.

– Może tak, a może nie – stwierdziła Junie. – Nie mamy niczego, na

czym by im zależało.

– To nie są zwykli bandyci, Junie. Oni nie chcą nam czegoś ukraść. To szaleńcy, którzy pragną władzy. Więc będą szukać ludzi, nad którymi mogliby tę władzę mieć. – Mike mówił jak nauczyciel, zawsze wyjaśniając wszystko krok po kroku. To wkurzało Violet i pomyślała, że wkurza też Junie.

– Wiem, kim są, Mike. I myślę, że lepiej się nie wychylać, tylko zająć własnymi sprawami. Powinniśmy ufać, że JTF nad tym zapanuje. – Junie rzuciła okiem na dzieci. Violet szybko odwróciła wzrok, ale Junie na pewno zauważyła, że ich obserwuje. – W każdym razie to nie jest odpowiednia chwila na tę rozmowę.

Mike też spojrział na dzieci.

– Skoro tak uważasz – odparł. – Moim zdaniem powinni wiedzieć.

Junie gwałtownie odłożyła widelec.

– Już i tak wiedzą więcej, niż powinni. Jesteśmy dorośli. Powinniśmy je chronić.

– Junie, dwieście metrów za oknem są masowe groby. Przed czym mamy je chronić? – Mike nachylił się bliżej Junie, ale i tak zerkał na dzieci.

– Chodźmy gdzieś indziej – szepnęła Amelia. Wiley i Saeed zaczęli zbierać swoje talerze, pozostali poszli w ich ślady. Violet czekała najdłużej, jak się dało, ale Mike nic nie mówił, a Junie wbijała w niego wzrok. Violet widziała, że jest wściekła.

Choć rozmowa wzbudziła niepokój Violet – dzieci zawsze denerwują się, gdy ich rodzice się kłócą, choć oni już rodziców nie mieli – chciała zostać i dowiedzieć się więcej o tym, co dzieje się wokół nich. Przecież to oni zostaną przeniesieni w jakieś inne miejsce, jeśli tutaj przestanie być bezpiecznie. Wiedziała, że w mieście działają różne grupy i że ze sobą walczą. Niektóre z nich składały się z przypadkowych wariatów, którzy wszystko niszczyli, ale członkowie innych nosili mundury, a przynajmniej podobnie się ubierali. I mieli jeden cel – zdobycie władzy. Tak powiedział Mike. Violet znów zaczęła myśleć o prezydencie. Kto teraz rządził? Czy

ktoś w ogóle rządził?

Shelby pociągnęła ją za rękę.

– Chodź, Vi – powiedziała. – Idziemy na górę.

Wszystkie dzieci spały w jednej dużej sali na wschodnim krańcu drugiego piętra. Okna wychodziły na trzy strony: na Mall od północy, na Kapitol od wschodu i na L’Enfant Plaza od południa. Brakowało łóżek, ale mieli śpiwory i poduszki, a kamienną podłogę przykryli dywanami. Nie było źle. Przynajmniej przez jakiś czas. Violet kiedyś co noc zasypiała, myśląc o swoim dawnym pokoju przy School Street w Alexandrii, ale ostatnio zdarzało się to rzadziej. Jednak tego wieczoru nie mogła przestać o nim myśleć. Czy ktoś mieszka teraz w jej domu? Czy jakieś inne dziecko śpi w jej łóżku, bawi się jej pluszakami, które nadal przechowywała, choć tak naprawdę już się nimi nie bawiła?

Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie dom jest pusty, ma wybite szyby, a w pokojach panuje bałagan po grabieży. Kilka dni po tym, jak zaczęło dziać się źle, rodzice Violet zgłosili się na kwarantannę. Mama już była chora, a tata złapał Zieloną Truciznę zaraz potem. Oboje umarli dwa tygodnie po Czarnym Piątku. Ludzie prowadzący kwarantannę trzymali ją przez kolejne dwa tygodnie, razem z innymi dziećmi. Innymi sierotami. Starła się używać tego słowa, bo taka była prawda, a z prawdą trzeba się zmierzyć. Jej rodzice nie żyli.

Saeed też był w tamtej grupie dzieci. Niektóre zostały odebrane przez krewnych, ale Violet i Saeeda po wyłączeniu z kwarantanny przeniesiono do obozu w hotelu Mandarin. Tam spotkali pozostałe dzieciaki. Od tamtej pory trzymali się razem.

Bez słowa dokończyli jedzenie. Wszyscy myśleli o tym, co powiedzieli Mike i Junie, ale nikt z nich nie był jeszcze gotów poruszać tego tematu.

Noah zebrał puste talerze i odniósł je do kuchni, a potem wszyscy umyli zęby. Dorośli bardzo tego pilnowali. Brakowało dentystów, a ludzie ponoć umierali na infekcje zębów, choć Violet nigdy się z tym nie spotkała.

Zanim wszyscy skończyli z toaletą, było już całkiem ciemno. W sali

mieli kilka świeczek. Zasada była taka, że muszą gasić je, zanim się położą, bo w przeciwnym razie dorośli je zabiorą. Odpowiedzialna za to była Amelia, która poczekała, aż wszyscy otulą się kocami i śpiworami, a potem zdmuchnęła świece i wyciągnęła się na swojej kanapie.

I wtedy to już była tylko kwestia czasu. Violet nie przeszkadzało gadanie, ale nie chciała sama zaczynać. Więc ucieszyła się, gdy Ivan powiedział:

– Jeśli się przeniesiemy, tata nie będzie w stanie nas znaleźć.

– Oczywiście, że nas znajdzie – odparła Amelia. – Nie martw się.

– Ja myślę, że nie będziemy się przenosić – stwierdził Saeed. Zawsze wierzył w optymistyczną wersję zdarzeń. – A nawet jeśli, to będziemy mogli wrócić do hotelu, gdy woda opadnie.

– Z hotelu zostanie ruina – oznajmił Wiley. – Błoto po kolana i wszędzie pleśń. – Miał w Nowym Orleanie krewnych, którzy opowiadali mu o powodzi w czasie huraganu Katrina.

– To przeniesiemy się gdzieś indziej.

– Taa – powiedziała Shelby. – Tylko gdzie? – Jej rodzice byli chińskimi dyplomatami czy kimś takim. Czasem opowiadała o swoim wuju w Pekinie, który miał po nią przyjechać, ale wszyscy wiedzieli, że tak się nie stanie. Nie było paliwa dla samolotów i tylko od czasu do czasu widywali wojskowy odrzutowiec albo helikopter. Chiny równie dobrze mogły być na Księżycu.

– Myślisz, że robi się jeszcze bardziej niebezpiecznie, Vi? – To znowu Shelby. Zaczęła traktować Violet jak swoją starszą siostrę, co było całkiem w porządku, tyle że w tym momencie Violet nie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

– Nie wiem – powiedziała, myśląc o żółtym proszku i o tym, że strzały rozlegające się nad National Mall wydawały się teraz bliższe niż kilka tygodni temu. Wkoło kręciło się więcej żołnierzy JTF, co było dobre, bo starali się wszystkich chronić, ale z drugiej strony złe, bo to znaczyło, że zdaniem JTF potrzebują więcej ochrony. – Ale nawet jeśli tak – dodała Violet – to damy sobie radę. Będziemy trzymać się razem i damy radę.

Po tych słowach nikt już nie miał nic do powiedzenia. Wkrótce Violet usłyszała, że śpią – ich oddechy były regularne i głębokie. Przez jakiś czas nie zasypiała, jej umysł zaprzętały niechciane myśli. Wokół Kapitolu płonęły pożary, a ona zastanawiała się, czy rozprzestrzenia się w ich stronę. Dokąd wtedy pójda?

Nie wiedziała. Nikt z nich nie wiedział. Violet patrzyła na migoczące płomienie pożarów i się zastanawiała, czy kiedykolwiek znów będzie normalnie.

AURELIO

Aurelio wstał wcześniej i o siódmej był już po kąpieli i po jajecznicy. Cały czas myślał o tamtej kobiecie i o Rogerze Koopmanie. Zanim wyruszył, odbył odprawę – jak zwykle tereny na południe od Trzydziestej Czwartej były mniej więcej pod kontrolą, a im bliżej północnego skraju Strefy Mroku i otaczających go obszarów, tym większy panował chaos. Zwiadowcy zgłaszali, że północny kraniec Manhattan Island jest w miarę bezpieczny, głównie dlatego, że był niemal niezamieszkały. Odkąd siły JTF skupiły się wokół głównych baz przy Hudson Yards i Poczcie, większość tych, którzy przetrwali epidemię, przeniosła się w tamte rejony.

Wykonawszy kilka misji w okolicach Harlemu i Washington Heights, Aurelio uznał, że ta ostatnia ocena jest nieco na wyrost. Opierał się jednak tylko na swoim doświadczeniu i możliwe, że zwiadowcy JTF i inni agenci Division lepiej od niego orientowali się w sytuacji. Zachował więc swoją opinię dla siebie, a po odprawie poszedł poszukać Eda Trana.

Znalazł go tam, gdzie zazwyczaj, czyli w węźle operacyjnym na pierwszym piętrze w otoczeniu sprzętu komunikacyjnego i ekranów komputerów. Grube kable elektryczne wychodziły z miejsca jego pracy i ciągnęły się korytarzem aż na tył budynku, gdzie prawdopodobnie na dachu lub na schodach przeciwpożarowych pomrukiwał generator. Ed spojrzał na Aurelia, gdy ten wchodził do pomieszczenia.

- Nadal szukasz informacji na temat tego człowieka? Jak mu było?
- Koopman, tak. – Aurelio czekał, aż Ed przeszuka różne bazy danych

JTF.

– To nazwisko pojawia się tu i tam – odparł Ed po chwili. – Głównie jako współautor lub redaktor prac naukowych, które Kandel i jej grupa wykorzystują do badań nad antywirusem. Ale nie widzę, żeby cokolwiek łączyło go z... o! Czekaj chwilę. – Ed żwawo przebierał palcami. – Jest notka w raporcie operacyjnym dotycząca tego adresu. To coś o instalacji pasywnego systemu bezpieczeństwa i dwudziestoczterogodzinnym monitoringu... Ha! – Odchylił się do tyłu. – Nie wiem, o co tu chodzi. To wykracza poza moje uprawnienia. Ale ktoś chciał mieć pewność, że ten gość będzie bezpieczny, mimo że ukrywa się w Strefie Mroku. Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

– Owszem. On jest naukowcem. Czy pracuje nad czymś razem z Kandel i jej ekipą?

– Nie sądzę. Przynajmniej nie bezpośrednio. Ale nie jestem w stanie wejść do raportów operacyjnych. Widzę tylko, że odwiedził jednego z badaczy Kandel, niejakiego doktora Liu, w laboratorium przy Poczcie. – Ed cały czas coś przeglądał, potem się jednak poddał. – To wszystko, co mam, stary. Przykro mi.

– Dzięki, Ed. – Aurelio sprawdził na tablicy misji, gdzie dziś jest gorąco. Baza satelitarna JTF przy moście Queensboro od strony Manhattanu zaobserwowała zwiększoną wrogą aktywność grupy próbującej opuścić wyspę. Tunel Śródmiejski, na samym końcu ulicy, zalała zimną wodą. Plotka głosiła, że to robota JTF, ponieważ mieli zbyt wiele punktów wyjścia ze Strefy do pilnowania. Podobnie jak z tunelami metra pod rzekami Hudson i East oraz tunelem Brooklyn-Battery. Tunel Holland nadal był czynny, by zapewnić dostęp dla nadziemnej trasy dostaw. To miało sens, bo wejście do tego tunelu od strony Manhattanu znajdowało się zaledwie kilka przecznic od głównej bazy JTF w Hudson Yards.

Ta sytuacja wydawała się opanowana, więc Aurelio sprawdzał dalej. Część jego umysłu nadal zajmowało to, czego ta nieznajoma kobieta chciała od Rogera Koopmana, że aż zdecydowała się przemierzać Strefę Mroku

w pojedynkę. Skoro Koopman był znanym zasobem JTF, to jej wizyta była tym bardziej intrygująca. Zanim Aurelio wróciłby do Strefy Mroku, jej już prawdopodobnie dawno by tam nie było. Mimo wszystko chciał tam pójść i zapytać Koopmana, o co w tym wszystkim chodzi. Z drugiej strony miasto Nowy Jork oferowało mnóstwo pilniejszych spraw. Roger Koopman nikogo nie mordował. Ostatecznie Aurelio postanowił odpuścić. Nie mógł pogodzić chęci zaspokojenia ciekawości z misją ratowania życia. Ludzie robili różne dziwne rzeczy. Zapewne zawsze tak było, a teraz po wirusie mieli chyba jeszcze mniej hamulców.

– Jeśli szukasz sobie jakiegoś zajęcia – zawołał Ed przez salę – to mam pakiet z dokumentami, który trzeba dostarczyć dzisiaj do Latarni!

– To coś ważnego? – Aurelio nie miał ochoty spędzić dnia jako kurier, podczas gdy inni agenci działali na linii ognia, chyba że rzeczony dokumenty dotyczyły sprawy życia i śmierci. A skoro skierowano je do głównej bazy operacyjnej JTF na Poczcie, zwanej Latarnią, to prawdopodobnie były niezwykle istotne.

– Owszem. To dane wywiadowcze z wczorajszej misji. Nasi przechwycili paramilitarną grupę, która próbowała dostać się na wyspę spod Triborough Bridge. Ważniaki na górze chcą to jak najszybciej zobaczyć, a agent, który te dane dostarczył, nie da rady. – Ed uniósł zapieczętowaną grubą foliową kopertę.

– Dlaczego? – zapytał Aurelio, sięgając po kopertę.

– Zmarł zeszłej nocy – odpowiedział Ed. Dopiero wtedy Aurelio zauważył ślady zaschniętej krwi na kopercie, jakby ktoś niedbale próbował ją z niej zetrzeć.

– Kto to był?

– Laila Khan. Znałeś ją?

Aurelio pokręcił głową.

– Nie.

Ale znał wielu agentów, którzy zginęli. Podczas działań grupy uderzeniowej ISAK śledził funkcje życiowe każdego członka i wysyłał

sygnał, gdy któryś umierał, by sanitariusz w zespole mógł udzielić pomocy. A jeśli było na to za późno, ISAK też na swój specyficzny sposób informował członków zespołu, że jeden z nich nie żyje. *Stwierdzono krytyczne obrażenia*, oznajmiał zwykle głos sztucznej inteligencji.

Aurelio wsunął kopertę do plecaka i powiadomił ISAK-a, że wyrusza z misją do Latarni. Wyświetlacz HUD na jego soczewkach pokazał wysokiej rozdzielczości mapę z optymalną trasą, przez Central Park i prosto Ósmą Aleją. Baza znajdowała się w starym budynku poczty, naprzeciwko Madison Square Garden, gdzie Aurelio wykonał jedną ze swoich pierwszych misji w Nowym Jorku. Mieścił się tam wtedy szpital polowy, a gdy wybuchły zamieszki, JTF wezwał pomoc, by wydostać stamtąd swój personel medyczny. Aurelio był w Nowym Jorku zaledwie od kilku dni, ale pomógł stworzyć bezpieczne przejście do Latarni dla ewakuowanej kadry. Zastanawiał się, czy Jessica Kandel była jednym z lekarzy, których pomógł wtedy uratować. Pod koniec akcji był tak wykończony, że ani nie zapytał o ich nazwiska, ani nie zapamiętał, jak wyglądali. Prawdopodobnie nie poznałby Jessiki Kandel, nawet gdyby wpadł na nią na ulicy.

Gdy o niej pomyślał, przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć do skrzydła medycznego i sprawdzić, co doktor Kandel mogłaby mu powiedzieć o Rogerze Koopmanie. Ale najpierw musiał dostarczyć dokumenty tam, gdzie trzeba.

Napełnił wodą butelki, sprawdził ekwipunek i ruszył w słoneczny wiosenny poranek Dziewięćdziesiątą Drugą. Bezpieczeństwo wynikające z obecności JTF w okolicy przyciągało foodtrunki i stragany, więc przez większość dni wokół Cooper Hewitt Museum i na brzegach stawu tworzyło się niewielkie targowisko. Aurelio przeciął je na skos, wdychając apetyczne zapachy. Wyczuł aromat świeżo pieczonego chleba i zatrzymał się przy stoisku.

– Ale pachnie. – Pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu czegoś, co piekarz przyjąłby w zamian za bochenek chleba. Od wielu miesięcy nikt na Manhattanie nie używał pieniędzy.

– Ach – powiedział piekarz, spojrzawszy na wyposażenie Aurelia. – Rycerz Pomarańczowego Kręgu. – Wybrał bochenek i podał mu go, uśmiechając się sponad obsypanej mąką czarnej brody. – Na koszt firmy. Ale proszę nie mówić kolegom, dobrze?

– Dzięki – odpowiedział Aurelio z uśmiechem. Nie lubił przyjmować prezentów, ale miał świadomość, że to też pewnego rodzaju zobowiązanie. Jeśli większość dni spędzasz na interakcjach z ludźmi, którzy próbują cię zabić, łatwo zapomnieć, że świat jest pełen dobra i hojności. Ludzie, którzy wiedzieli, co robią agenci Division, byli im wdzięczni, a Aurelio rozumiał już, jak ważne jest przyjmowanie wyrazów takiej wdzięczności i jej nienadużywanie.

– Coś panu powiem – odezwał się Aurelio, odrywając kawałek pieczywa i wachając go. – Następnym razem, jak będę przechodził, coś panu przyniosę. Czego pan potrzebuje?

– Czego potrzebuję? Och, wie pan. Stałego źródła prądu, lodów i koszykówki w telewizji. Ale powiem panu, za czym tak naprawdę tęsknię. Kiedyś co tydzień przechodziłem przez most Brookliński. Ale jak to wszystko się zaczęło, nie dotarłem dalej na południe niż na Union Square. Jeśli natrafiłby pan na coś z napisem „Most Brookliński”, znak drogowy albo cokolwiek, to od razu bym to sobie tutaj powiesił. – Piekarz poklepał markizę, którą rozstawił nad swoim straganem. – A pan miałby chleb za darmo do końca życia.

– Niezły układ – odparł Aurelio. – Zobaczę, co da się zrobić. – Spróbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz był w okolicach Ratusza albo gdziekolwiek w pobliżu mostu Brooklińskiego. Chyba w lutym.

Uniósł kawałek chleba w geście pożegnania. Zaczął go przeżuwać, gdy mijał południowy brzeg stawu, skręciwszy w przecznicę prowadzącą od Osiemdziesiątej Szóstej do Central Park West. Większość Central Parku zajmowała mozaika masowych grobów, ale gdzieś tam ludzie zaczęli uprawiać ogródki. Aurelio minął nawet zagrodę pełną kóz przy ścieżce do jazdy konnej. Skąd oni wytrzasnęli kozy? Nowy Jork był pełen tajemnic.

Kolejne targowisko znajdowało się przed Muzeum Historii Naturalnej, a potem okolica pustoszała, im bardziej zbliżał się do północno-zachodniego rogu Strefy Mroku przy Columbus Circle. Rozprostował palce na uchwycie G36, pozostając rozluźnionym, ale czujnym. ISAK nie wykrył żadnych wrogów, ale ISAK nie widział wszystkiego. Polegał na rozpoznawaniu twarzy i wykrywaniu umundurowania w powiązaniu z uaktualnionymi bazami danych JTF ze znanymi lokalizacjami wrogich gangów, grup związanych z kultami i tak dalej. W sumie ISAK nieźle sobie radził, przedstawiając agentowi ogólny obraz danej okolicy, ale w ostatecznym rozrachunku nic nie mogło zastąpić obserwacji i świadomości otoczenia. Własnych oczu i uszu.

Za Columbus Circle, tuż przed miejscem, gdzie skręcał mur odgradzający Strefę Mroku, napotkał patrole JTF. Szły Broadway Street, natomiast Aurelio trzymał się Ósmej. Urząd Portowy otaczały wypalone autobusy i włóczędzy o pustych oczach. Wystarczyło, że na niego spojrzeli, by trzymać się z daleka.

Gdy dotarł na smagany wiatrem plac przed Madison Square Garden, zobaczył kolejne tętniące życiem targowisko. To było najbezpieczniejsze miejsce w całym mieście, właśnie tu znajdowała się baza operacyjna JTF. Wszystkie budynki przy okolicznych przecznicach zostały zajęte przez ludzi, którzy skupili się tutaj, by poczuć się bezpiecznie. Było to miejsce, w którym – w porównaniu z innymi dzielnicami Nowego Jorku – można się było poczuć prawie normalnie. Mimo to niemal nikt nie wychodził po zmroku, a Aurelio zdawał sobie sprawę, że wielu sprzedawców czy przechodniów jest uzbrojonych. To były tylko pozory cywilizacji.

Na widok wyposażenia agenta Division strażnicy przy Poczcie zaprosili go gestem do środka i Aurelio zaczął szukać oficera dyżurnego, którym według strażnika była porucznik Hendricks. Znalazł ją w skrzydle bezpieczeństwa. Była to ciemnoskóra kobieta po pięćdziesiątce o poważnym wyglądzie, z krótkimi, przetykanymi siwizną dreadami i bardzo ograniczoną cierpliwością wobec osób, które odciągały ją od bieżącego zadania, czyli

mapy operacyjnej i jakiejś listy do odhaczenia.

– Co mogę dla pana zrobić, agencie? – zapytała krótko, obrzucając go spojrzeniem, zanim z powrotem skupiła uwagę na mapie.

– Idę prosto z YMHA przy Dziewięćdziesiątej Drugiej – odpowiedział, pokazując kopertę. – Mam to doręczyć oficerowi wywiadu.

Aurelio widział, że porucznik dostrzegła ślady krwi.

– Ktoś się nieźle natrudził, by to zdobyć – stwierdziła.

– Bardziej się chyba nie da – zgodził się Aurelio.

Po chwili milczenia Hendricks wyciągnęła dłoń.

– Ma pan to dostarczyć osobiście czy mogę przekazać?

Ed nic nie mówił o osobistym doręczeniu, więc Aurelio podał jej kopertę.

– Dopilnuję, by jak najszybciej znalazła się gdzie trzeba – powiedziała porucznik.

Aurelio patrzył, jak przechodzi do wewnętrznego biura. Pewnego dnia postawią pomnik tym wszystkim agentom Division, którzy zginęli, zabezpieczając Stany Zjednoczone Ameryki przed rozpadem po Zielonej Truciźnie.

Miał nadzieję, że jego nazwiska na nim nie będzie.

Rozdział 9

APRIL

April spała do późna, a nie zdarzyło jej się to od czasu wprowadzenia kwarantanny. Nie pamiętała, żeby coś jej się śniło, i obudziła się z poczuciem pewnej sztywności wynikającym z leżenia w jednej pozycji przez wiele godzin. Tak chyba wygląda pożegnanie z obsesją. Mogła tylko zgadywać. Dotychczas żadnej nie miała.

Teraz zresztą też nie, a przynajmniej nie takiej prawdziwej. Nadal jednak miała cel. Zamierzała udać się do Ann Arbor i poznać prawdę o antywirusie o szerokim spektrum oraz prawdę o Billu, o ile ktokolwiek ją tam znał. W każdym razie uznała, że taką wyprawą uczci jego pamięć i domknie krąg jego obecności w swoim życiu, poznając ostateczny efekt jego pracy. Dobrze się czuła z tą decyzją.

Była w pokoju, który kiedyś stanowił niewielkie biuro, naprzeciwko pomieszczenia, w którym spał i pracował Koopman. Wstała, przeciągnęła się i poczuła trzeszczenie stawów. Ojacie, ale mocno spała.

Jej rzeczy były dokładnie tam, gdzie je zostawiła. Na wszelki wypadek wysunęła magazynek z superdziewięćdziesiątki i sprawdziła, czy jest naładowany. Wszystko w porządku. Nie lubiła nosić broni, ale świat był, jaki był. Poza tym przywiązała się emocjonalnie do tej giwery. Znalazła ją obok ciała agenta Division, który zginął, ratując jej życie. Doug Sutton. Kim był przed wirusem? Czy przeżyła jego rodzina, ukochana albo ktokolwiek inny, kto doceniłby jego poświęcenie, oprócz April? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie.

Trochę przygnębiający był ten ciąg myśli jak na poranek, więc April spróbowała oczyścić umysł. Gdy wyszła na korytarz, zobaczyła Koopmana przez otwarte drzwi naprzeciwko.

– Dzień dobry – powiedział. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś. Łazienka jest na końcu korytarza.

„Dzięki niech będą Bogu za grawitację” – pomyślała April, spuszczać wodę w toalecie. Nowojorski system wodociągowy był oparty na grawitacji, więc większość mniejszych budynków w mieście wciąż miała wodę. Nie mogła sobie wyobrazić, skąd ludzie w innych częściach kraju brali wodę... Ale wkrótce będzie miała okazję się dowiedzieć, prawda?

Gdy wróciła do gabinetu Koopmana, właśnie stawiał na biurku dzbanek z kawą i dwa kubki.

– Mój Boże – powiedziała April. – Skąd wytrzasnąłeś kawę?

– Mam trochę kontaktów w JTF, a i niektórzy w mieście wiedzą, jak się załatwia takie sprawy. Od czasu do czasu te kontakty skutkują drobnymi przyjemnościami.

April wdychała zapach kawy, czując, jak zalewa ją fala wspomnień, wywołanych aromatem i parą znad kubka otulającą jej twarz. „Wtedy to było coś zwyczajnego, ale jednocześnie pożądanego” – pomyślała. „To było coś, co robiłam codziennie i codziennie też tego wyczekiwałam. A teraz jest niczym cud, bo Bóg jeden wie, kiedy się znowu zdarzy”.

Wypiła łyk i omal nie zaczęła płakać, bo kawa smakowała wyśmienicie, a jednocześnie była dla niej niczym symbol tego wszystkiego, co utraciła z powodu Amhersta i jego apokaliptycznego szaleństwa. Lecz zamiast się rozpłakać, wypila kolejny łyk i powiedziała:

– Dziękuję. To... Cóż, bardzo miła niespodzianka.

– Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność – odparł Koopman. – Sporo przeszłaś.

– Nie aż tyle, co niektórzy – odpowiedziała, myśląc o Dougu Suttonie, ale również o Miko i Drew, i o wszystkich tych, których śmierć widziała w ciągu ostatnich miesięcy. I o Billu.

– A więc... – zaczęła. – Wspomniałeś, że znasz kogoś, kto może pomóc mi przedostać się przez rzekę Hudson.

Koopman odstawił kubek i odchrząknął.

– Wiesz, że to koszmarny pomysł.

– Wiem, że zrobię to tak czy inaczej, bez względu na twoją opinię. – April starała się nie podnosić głosu.

Potrzebowała pomocy Koopmana już tylko w tej jednej sprawie, więc musiała ostrożnie balansować pomiędzy upieraniem się przy swoim a zirytowaniem go. Popijała kawę, ponownie oddając się prostej zmysłowej przyjemności.

– Cóż... – odparł po chwili Koopman. – Na pewno mogę przekazać wiadomość Templariuszom z Riverside.

Okazało się, że Koopman miał na myśli list, który napisze i da April do przekazania.

– Są podejrzliwi, ale to dobrzy ludzie – wyjaśnił.

– Jeśli zastrzelą mnie, zanim zobaczą ten list, nie będzie miało znaczenia, czy są dobrzy – zaproponowała.

– Obiecuję, że tego nie zrobią. – Koopman dokończył list, złożył kartkę na trzy i wręczył ją April. – Pamiętam, jak powiedziałem, że to koszmarny pomysł, i nadal tak uważam. Ale uważam też, że może ci się udać. Ten list powinien pomóc na samym początku. – Po chwili dodał: – Zapewnię też, żeby punkt kontrolny JTF za rogiem wiedział, że ma cię wypuścić.

Dokończyła kawę i nadeszła pora, by ruszać. April zawsze nosiła przy sobie wszystko, czego potrzebowała. Miała swój pokój w śródmieściu, na tyłach dawnego sklepu z pamiątkami przy Dwudziestej Ósmej, ale nie było potrzeby tam teraz wracać. Założyła plecak i poprawiła paski. Zanim wyszła, musiała jeszcze pozbyć się pewnego ciężaru z serca.

– Merch – powiedziała. To było przezwisko, jakie wymyśliła dla Koopmana, gdy prowadziła długie wewnętrzne konwersacje z autorem *Upadku Nowego*

Jorku, próbując zrozumieć zagadki w książce, a dzięki nim motywacje autora. Nazwał sam siebie Warrenem Merchantem i ten pseudonim stanowił jedną z ostatnich wskazówek. *Koopman* to niderlandzkie słowo oznaczające kupca, czyli po angielsku *merchant*. Przebrnęła przez stopy książek w nowojorskiej bibliotece publicznej, żeby się tego dowiedzieć.

Koopman siedział już przy swoim biurku i pisał coś w notesie, zerkając na ekran komputera. Spojrzał na nią i zapytał:

– Merch?

– Skrót od Merchant. Nadałam ci przydomek, gdy przedzierałam się przez książkę. – Zawahała się, próbując dobrać odpowiednie słowa. – Proszę, posłuchaj. Chcę, żebyś wiedział, że jestem ci wdzięczna. Twoja książka uratowała mi życie, a gdy zaczęłam rozumieć, że kryje się w niej coś więcej niż porady dotyczące survivalu, dała mi cel. Nie wiem, czy Bill by żył, gdybyś zadzwonił do CNN, zamiast pisać tę książkę. Chyba nigdy się nie dowiem. Ale wiem, że mnie by tutaj nie było. Więc dziękuję.

Wstał i pochylił głowę, jakby się kłaniał. W jego zachowaniu była pewna kurtuazja.

– To ja powinienem dziękować tobie – odpowiedział. – Wszystko, co zrobiłaś, by się tutaj dostać, stanowi potwierdzenie zasadności tego, co próbowałem osiągnąć w książce. Życzę ci powodzenia, April Kelleher. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Koopman skierował ją do punktu kontrolnego JTF najbliższej jego kryjówki, tam, gdzie Szósta Aleja kończyła się przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Przemieszczając się szybko i z dobrze widoczną superdziewięćdziesiątką, April dotarła tam bez problemu. Punkt kontrolny składał się z obłożonego workami z piaskiem stanowiska na kontenerze towarowym nad bramą, w luce bariery odgradzającej Strefę Mroku. Wartownicy JTF zawołali do niej, gdy była jeszcze w połowie ulicy.

– Nie zbliżać się! Będziemy strzelać!

Puściła strzelbę i wyciągnęła ręce przed siebie.

– Nazywam się April Kelleher – zaczęła. – Powiedziano mi, żeby przejść

przez ten punkt.

– Kto tak powiedział?

– Roger Koopman. Kilka minut temu.

– Zbliżyć się powoli.

Zrobiła to, patrząc na obu strażników. Jeden z nich powiedział:

– Pasuje do opisu.

Drugi wartownik spojrział w dół, na drugą stronę bariery i powiedział:

– Otwórzcie bramę.

Brama zaskrzypiała, a April podeszła bliżej i prześlizgnęła się przez nią, gdy tylko szpara była wystarczająco szeroka. Po drugiej stronie u podstawy muru stało dwóch kolejnych żołnierzy JTF. Trzymali wymierzoną w nią broń, gdy przechodziła, a potem zamknęli za nią bramę. April skręciła na zachód wzdłuż południowej granicy Central Parku i pomyślała o innych swoich wejściach i wyjściach ze Strefy Mroku. Jeśli jej się poszczęści, nigdy już nie będzie musiała tego robić.

Zjadła szybkie śniadanie na bazarku przed Muzeum Historii Naturalnej, a potem kontynuowała drogę na północ, trzymając się skraju parku aż do Sto Dziesiątej, którą przeszła do Riverside Drive, żeby dalej zmierzać ku północnemu krańcowi wyspy Manhattan. Im bliżej rzeki, tym częściej napotykało się patrole JTF. April chciała, żeby ją zauważyli, na wypadek gdyby wpadła w tarapaty.

Ale nie wpadła i godzinę później minęła stację metra przy Sto Dziewięćdziesiątej, i ruszyła krętą drogą przez park Fort Tryon. To była piękna część Manhattanu, a April była tu dotąd tylko raz. Wysokie, zalesione skarpy opadały po jej lewej ku rzece Hudson. Po drugiej stronie widziała skalne klify Palisades of New Jersey, upstrzone mieszkalnymi wysokościami. Henry Hudson Parkway poniżej, nad brzegiem rzeki, była pusta i cicha. April minęła stary fort i kilka minut później uświadomiła sobie, że ktoś za nią idzie.

Gdy się odwróciła, zobaczyła, że jest ich trzech. Byli na parkowej drodze niecałe pięćdziesiąt metrów za nią. Zatrzymała się i przyjrzała się im. Trzech

mężczyzn. Dwóch białych, jeden czarny. Długie brody, dobrze skrojone ręcznie tkane tuniki z symbolem przypominającym średniowieczny krzyż. Każdy z nich miał karabin.

– Pani nietutejsza? – zapytał ten czarny.

– Nie – odpowiedziała.

– Tak mi się wydawało. Inaczej wiedziałyby pani, żeby tu nie przychodzić. To święte miejsce. I nie ma odwiedzin. Chyba że chce pani do nas dołączyć, to inna historia. Wtedy trzeba porozmawiać z Mistrzem. – Wskazał głową za nią, w stronę, jak przypuszczała, wieży Cloisters, dokąd właśnie zmierzała.

– Nie chcę dołączać – powiedziała. – Dziękuję. Ale muszę porozmawiać z Mistrzem.

– Jestem brat Michael. To ja decyduję, kto spotka się z Mistrzem. Pani w jakiej sprawie?

Zaczęła zsuwać plecak, ale zmieniła zdanie. Z krótkiego opisu Koopmana wynikało, że zaskakiwanie Templariuszy z Riverside może nie być dobrym pomysłem. W związku z tym powiedziała tylko:

– Mam list do niego.

Brat Michael uniósł brew.

– List? Od kogo?

Jest przeznaczony dla Mistrza – odparła April. – Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Wytrzymał jej spojrzenie, a potem powiedział:

– W porządku.

Jeden z białych odebrał jej strzelbę, a drugi delikatnie obszukał, czy nie ma innej broni. Potem ruszyli po obu jej stronach, w ślad za bratem Michaeliem, który prowadził w kierunku Cloisters.

Po raz pierwszy odwiedziła to miejsce tuż po przeprowadzce do Nowego Jorku po ukończeniu college'u. Łapczywie chłonęła wszystkie widoki. To był spokojny dzień jak na Nowy Jork – z Hudson Parkway dochodził przytłumiony przez drzewa szum samochodów, a odwiedzający urządzali pikniki, wyprowadzali psy albo zwiedzali park w ramach zorganizowanej

wycieczki. Teraz nie było ani samochodów, ani ludzi, zaś jedynym dźwiękiem były ich kroki na tle ptasiego śpiewu i liści szeleszczących na wietrze.

Cloisters to kompleks muzeów zbudowany ponad sto lat temu z fragmentów różnych średniowiecznych klasztorów. Tyle zapamiętała z tamtej wycieczki. Teraz wyglądało na to, że miejsce odrodziło się jako prawdziwy monastyr, choć Templariusze z Riverside nie tworzyli zakonu kontemplacyjnego, którego członkowie spędzają całe dni na przepisywaniu manuskryptów czy śpiewaniu nieszporów. Widziała, jak pracują na terenach wokół muzeum. Budowali fortyfikacje, ćwiczili walkę wręcz, rozsyłali patrole. Choć dostrzegła kilka kobiet, przeważali mężczyźni. „Nic dziwnego, że tak tu spokojnie” – pomyślała April. „Każdy przestępczy gang czy banda złodziei nieźle by się nacięli, atakując Templariuszy”.

Brat Michael wprowadził ją przez wejście, skinąwszy głową strzegącym go wartownikom. April przypomniała sobie, że gdzieś w tym budynku była kawiarnia, ale nie zauważyła jej, gdy wchodzili coraz głębiej, aż wyszli na dziedziniec. Ogród był wypielegnowany, a kamienne ścieżki zamiecione.

Mistrz stał pośrodku dziedzińca i wpatrywał się w nieruchomą wodę w dużej niecce. Był wysoki i szczupły, miał ogoloną głowę i gęstą siwą brodę kontrastującą z ciemnobrązowym odcieniem skóry.

– Bracie Michaelu, kto to? – zapytał, gdy podeszła do niego April oraz jej eskorta.

– Twierdzi, że ma list do was, Mistrzu – odpowiedział brat Michael.

Mistrz nie nawiązał kontaktu wzrokowego z żadnym z nich.

– Więc niech go pokaże.

April położyła plecak na kamieniach i wyjęła list. Brat Michael wysunął go z jej palców i przekazał Mistrzowi, który otworzył go i przeczytał.

– Dziękuję, bracie Michaelu – powiedział. – Porozmawiam z nią.

Po raz pierwszy spojrzął na nich i zauważył, że jeden z Templariuszy trzyma dwie sztuki broni.

– Czy jedna z nich należy do niej, bracie Javierze?

– Tak.

– Możesz ją jej zwrócić.

Brat Javier podał April superdziewięćdziesiątkę, trzymając broń za pasek. Ta odebrała strzelbę i przerzuciła ją przez ramię, starając się przy tym, by nawet przez sekundę nie sprawić wrażenia, że mierzy w kierunku Mistrza.

– Wybaczcie nam, bracia – powiedział Mistrz.

Trzej templariusze pochylili głowy i zawrócili do wnętrza budynku.

Mistrz znów spojrzał na list.

– Roger Koopman – powiedział. – Skąd go pani zna, panno Kelleher?

– Wystarczy April – odpowiedziała. – Jak mam się do pana zwracać? – Nie miała zbytnej cierpliwości do formalnych tytułów w żadnych okolicznościach, a cały ten wojowniczo-mnisi performans zaczynał jej działać na nerwy. Może potrzebowali tego wszystkiego, żeby trzymać się razem, ale ona nie miała ochoty w tym uczestniczyć.

– Nazywam się Andrew Bartholomew Rhodes – oznajmił Mistrz. – Pułkownik marines, emeryt. Doktor. Zrobiłem w trakcie służby doktorat z historii średniowiecznej Europy.

„To co nieco wyjaśnia” – pomyślała April. „Emerytowany oficer marines zainteresowany średniowieczem w obliczu upadku cywilizacji. Czemu nie miałyby zrobić tego, co robili Europejczycy w średniowieczu, czyli założyć zakonu, który chroniłby to, co mogłoby zostać utracone?”

– To mam mówić doktorze Rhodes czy pułkowniku Rhodes? – zapytała.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Na razie wystarczy Andrew – odparł. – Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie – dodał. Nie powtórzył go jednak.

– Roger Koopman znał istotne szczegóły dotyczące okoliczności śmierci mojego męża Billa – odpowiedziała. – Odnalazłam go, żeby dowiedzieć się, co na ten temat wie. Teraz muszę odnaleźć innych ludzi, a żeby to zrobić, muszę dostać się na drugą stronę rzeki.

– To wyjaśnił mi list – odparł Mistrz. – Może powiem ci, dlaczego zaproponował, żebyś zwróciła się w tej sprawie do nas. My, Templariusze

z Riverside, mamy na celu ochronę niewinnych, podczas gdy Stany Zjednoczone Ameryki zastanawiają się, czy nadal istnieją czy może już nie. Wpływy JTF rzadko sięgają tak daleko na północ, więc bez nas cały obszar na północ od mostu Jerzego Waszyngtona stanowiłby ugór bezprawia.

To pasowało do dotychczasowych domysłów April.

– Nieźle wam to wychodzi – stwierdziła. – Bardzo tu spokojnie.

Pokiwał głową.

– Dbamy o to – odparł. – Rozumiemy też, że niektóre z działań JTF powodują komplikacje dla niewinnych, których mamy obowiązek chronić. Ludzie potrzebują żywności i lekarstw, owszem, ale potrzebują też wiadomości od swoich bliskich, którzy znajdują się poza tą wyspą. A bardzo często potrzebują też, jak powiedziałaś, przedostać się na drugą stronę rzeki.

„Wojownicy-mnisi, którzy jednocześnie są przemytnikami” – pomyślała April. „Dolarowa Grypa stworzyła dziwny świat”.

– Rozumiem – powiedziała.

– Tak przypuszczam – odparł Mistrz. – Koopman w swoim liście wyraźnie cię docenia, a raczej nie ma tego w zwyczaju.

Złożył list i wsunął go w fałdę tuniki, następnie spojrzął w niebo. Ciężkie deszczowe chmury wisiały nad New Jersey, a pierwsze krople już zaczynały rozpryskiwać się na kamiennych ścieżkach i tworzyć bąble na powierzchni wody w kamiennej niecce.

– Do zachodu słońca pozostało pięć godzin – stwierdził. – Przerzucimy cię na drugi brzeg, ale dopiero po zmroku. Tymczasem pozwól ugościć się Templariuszom z Riverside. Jesteś tu mile widziana. Odpocznij, zjedz coś. Weź kąpiel, jeśli masz ochotę. – Spojrzął za April. Odwróciła się i zobaczyła, że brat Michael powrócił.

– Zaprowadź naszego gościa do jednego z pokoi, bracie Michaelu – powiedział Mistrz. – I zadbaj, by niczego jej nie brakowało.

Po czym zwrócił się do April:

– Ktoś przyjdzie po ciebie około dziesiątej wieczorem. To ważne, byś była gotowa.

– Dziękuję – odpowiedziała i ruszyła za bratem Michael'em do środka.

Rozdział 10

AURELIO

Gdy późnym popołudniem tego dnia rozpadał się deszcz, Aurelio uczestniczył właśnie w unieszkodliwianiu grupy przemytników w budynku mieszkalnym w Meatpacking District. Spocił się, biegając po schodach, cały był zakurzony od chmur tynku wylatującego w powietrze podczas walki i kulał, bo dostał rykoszetem w prawą kostkę. Kula straciła już niemal cały impet, więc nawet nie przebiła mu buta, jednak mimo wszystko czuł się tak, jakby ktoś przywalił mu w stopę kijem bejsbolowym.

Ale i tak był w lepszym stanie niż przemytnicy.

Aurelio osobiście nie miał problemu z odrobiną czarnorynkowego handlu na Manhattanie. Ludzie musieli jakoś zdobywać potrzebne im dobra, więc tuziny sprzedawców oferowały jedzenie, leki i różne przedmioty codziennego użytku. W opinii Aurelia nikogo nie krzywdzili. Jednak były też grupy, które sprowadzały broń i twarde narkotyki. Inne oferowały przemyt ludzi, obiecując, że zdołają ich wyprowadzić z kwarantanny. Ten gang specjalizował się w wyciskaniu wszystkiego ze zdesperowanych ludzi, którzy chcieli dostać się do Jersey albo innych miejsc na zachodzie. A potem ci ludzie kończyli w rzece. Nikt się o tym nie dowiadywał, bo ci, którzy chcieli się wydostać, nie planowali przecież powrotu, ale patrole JTF zaczęły znajdować ciała z poderżniętymi gardłami. Zbadano sprawę i po nitce do kłębka trafiono do wieżowca na zachodnim krańcu Czternastej.

Pierwszy zespół uderzeniowy JTF wpadł w kłopoty i wezwał wsparcie. Aurelio, który właśnie doręczył pakiet dokumentów do rąk porucznik

Hendricks, ruszył parkiem High Line, by sprawdzić, czy może w jakiś sposób pomóc. Na południe od Czternastej High Line przebiegał tuż pod właściwym budynkiem, tworząc niewielki placzyk na podwyższeniu. Aurelio wszedł do środka, ostrzeliwując się, zabezpieczył klatkę schodową prowadzącą do lokali zajmowanych przez szmuglerów i wykopał drzwi przeciwpożarowe akurat w ostatniej chwili, by uratować drużynę JTF przed wpadnięciem w krzyżowy ogień. Byli zajęci grupą na samym końcu korytarza, a gdy Aurelio wypadł z klatki schodowej, czterech przemytników wyskoczyło nagle z drzwi obok. Patrzyli w inną stronę, w kierunku zajętego walką zespołu JTF, więc Aurelio położył ich w mgnieniu oka. Schował się w drzwiach, którymi weszli, żeby wymienić magazynek w G36, i wtedy zauważył, że przemytnicy poprzebijali ściany w bloku.

Przebiegł tymi prowizorycznymi otworami równoległe wzdłuż całego korytarza i znalazł się w narożnym mieszkaniu. Dziura w ścianie znajdowała się w łazience. Przeszedł przez nią i trafił do sypialni, gdzie trzech przerażonych cywilów tuliło się do ściany za łóżkiem. Aurelio pokazał im gestem, by zostali na miejscu. ISAK powiadomił go, że wrogowie są przed drzwiami mieszkania, po drugiej stronie dużego, otwartego salonu.

Gdy tam zajrzał, zobaczył sześciu szmuglerów skoncentrowanych na ekipie JTF, która przeskakiwała od drzwi do drzwi korytarzem w ich kierunku. Aurelio cofnął się do sypialni, wyciągnął zawleczkę z granatu i wrzucił go przez drzwi sypialni do salonu.

Usłyszał, jak granat ląduje na drewnianej podłodze. Jeden z przemytników krzyknął:

– Co do, k...!

I granat wybuchł.

Z dzwonieniem w uszach znów wszedł do salonu. Pośród dymu dostrzegł, że czterech przemytników leży bez ruchu. ISAK wyszedł dwóch kolejnych. Pierwszy przykucnął w korytarzu, by uchronić się przed wybuchem, przez to wystawił się jednak drużynie JTF, która skrzętnie wykorzystała tę okazję.

Ostatni szmugler wyskoczył z garderoby po drugiej stronie drzwi

mieszkania. Strzelił na oślep z czegoś przypominającego TEC-9 i Aurelio poczuł, jak lewa noga ucieka mu spod tułowia.

Gdy uderzał o podłogę, już strzelał – długa seria rozbiła w drzazgi framugę garderoby i posłała do tyłu przemytnika, który uderzył o ścianę i osunął się na podłogę. Był martwy, zanim jego tyłek na nią opadł.

Aurelio poderwał się do góry.

– Wróg unieszkodliwiony! – zawołał na korytarz. Sprawdził nogę. Bolała, nie miał czucia po zewnętrznej stronie stopy, ale utrzymywała jego ciężar.

Dwaj przemytnicy jeszcze się przemieszczali, ale sądząc po ilości krwi na podłodze i na ścianach, nie miało to długo potrwać. Aurelio postanowił, że pozostawi JTF decyzję, czy udzielić im pomocy medycznej czy nie.

– Podaj swoją tożsamość! – zawołał jeden z oficerów JTF. ISAK, kojarząc powiadomienia o statusie zaangażowania, podpowiedział Diazowi, że nazywa się Franklin.

– Agent Division Aurelio Diaz! – zawołał w jego stronę. – Sierżant Franklin?

– Skąd, do diabła, wiesz? Zostań tam, gdzie jesteś. Wchodzimy.

Typowe, pomyślał Aurelio. Wzywają pomoc, a potem jak się zjawisz i pomożesz, robią się podejrzliwi.

– W sypialni jest trzech cywili – powiedział Aurelio, gdy Franklin wszedł do mieszkania, mierząc w niego z grubsza z M4. Aurelio próbował nie zwracać na to uwagi. Ludzie robią się nerwowi po wymianie ognia.

Pokazał za siebie i rzucił:

– Tamtędy.

Franklin opuścił lufę M4 i popatrzył na ciała przemytników. Jeden z nich jeszcze oddychał, ale z trudem. Sierżant spojrział znów na Aurelia.

– To wszyscy?

– Przy wejściu od High Line było dwóch na warcie, pilnowali też klatki – odpowiedział Aurelio. – Jest już czysto. Kolejnych czterech po drugiej stronie korytarza. Zająłem się nimi. A potem tymi.

Pozwolił, by jego słowa wybrzmiały. Jedyne w myślach dodał: „Właśnie

usmażyłem tuzin wrogów, podczas gdy wy próbowaliście minąć troje drzwi na korytarzu. Może moglibyście okazać trochę szacunku”.

– Rozumiem – powiedział Franklin. Zawołał w stronę korytarza: – Cywile w środku! Dajcie tu sanitariusza! – Gdy spojrzął znowu na Aurelia, dodał:

– Zajmiemy się już tym. Dzięki za pomoc.

– *De nada* – odparł Aurelio. Począł, aż ratownik JTF minie go w drodze do sypialni, ignorując charczącego przemytnika. A potem wykuśtykał z mieszkania, zszedł po schodach i znalazł się na deszczu. Po drodze minął dwóch martwych żołnierzy JTF.

W mgnieniu oka przemókł, stojąc przez chwilę na pasie zdziczałego parku High Lane, który ciągnął się od Gansevoort Street aż po Javits Center. JTF starało się dbać o bezpieczeństwo i funkcjonowanie tego komunikacyjnego pasa zieleni, bo pozwalał na szybki dostęp do całego odcinka zachodniej strony Manhattanu od Hudson Yards aż po Greenwich Village, zapewniając po drodze doskonały widok na biegnące w osi wschód–zachód ulice w dole. Problem z parkiem High Line polegał na tym, że otaczały go wysokościowce. Działając na jego obszarze, drużyny JTF znajdowały się zwykle pod ogniem snajperskim. Deszcz i wiatr poprawiały sytuację, więc Aurelio czuł się stosunkowo bezpiecznie, gdy oparł się o poręcz i spojrzął w dół na pusty kanion Czternastej. Za Ósmą Aleją ulica rozmywała się w deszczu.

Rozprostował stopę. Czucie wróciło i wydawało mu się, że nie ma żadnych złamań, ale jeśli zdejmie but, to potem bardzo długo go już nie założy. Kostka z pewnością spuchnie.

Tym zajmie się później. Myślał o trzech cywilach w lokalu przemytników. Jednym z nich była dwunasto- albo trzynastoletnia dziewczynka. Doszedł do wniosku, że to musiała być rodzina. Mało prawdopodobne, by jako rodzina przetrwali razem Zieloną Truciznę, ale musieli się później odnaleźć. A teraz próbowali się wydostać i gdyby Aurelio się nie zjawił – oraz oczywiście

JTF – cała trójka jeszcze tego samego dnia pływałyby twarzami do dołu w rzece Hudson.

Jego córka Amelia za miesiąc – 3 czerwca – skończy dwanaście lat.

Coś jakby w nim zaskoczyło, gdy sobie o tym przypomniał, i postanowił, że będzie przy niej w dniu jej urodzin. Ivan w sierpniu skończy dziesięć lat. Aurelio też zamierzał być z tej okazji w Waszyngtonie.

Pora wracać do domu. W Nowym Jorku zawsze będzie zajęcie dla agenta Division, ale w Waszyngtonie też było mnóstwo roboty. Podслуchał czyjąś rozmowę na Pocztę, że rząd nadal jest w rozsypce. Aurelio wiedział, że prezydent Waller nie żyje. Według raportów już w styczniu wykończył go wirus. Wiceprezydent Mendez miał być ponoć w Waszyngtonie, próbując jakoś zapanować nad sytuacją, ale plotki głosiły, że ciężko mu to idzie. Zbyt wiele sprzecznych interesów, zbyt wiele osób dostrzegających w epidemii szansę na zdobycie władzy.

Kolejny powód, by wrócić do Waszyngtonu. Zima się skończyła, ludzie zaczynali się adaptować, przystosowywać, odbudowywać jakoś życie... Pora zadbać o to, by stolica kraju była stabilna i bezpieczna. Taki był cel Division. A przy okazji mógłby dopilnować Ivana i Amelii.

Odepchnął się od poręczy i ruszył na północ. Dotarł do Trzynastej, gdzie park High Line skręcał na zachód, więc zszedł na dół na ulicę. Minął dwa długie odcinki między przecznicami, kierując się na wschód, skręcił w lewo w Ósmą Aleję i około dziewiętnastej znalazł się w budynku Poczty.

Najpierw odwiesił kurtkę do wyschnięcia w dawnej sortowni, która teraz pełniła funkcję prowizorycznych koszar. Potem wytarł się ręcznikiem i poszedł poszukać porucznik Hendricks w skrzydle bezpieczeństwa.

Właśnie kończyła służbę, ale poprosił, by poświęciła mu pięć minut. Porucznik usiadła z nim przy swoim biurku.

– Pomyślałem, że z czystej uprzejmości – powiedział – powiadomię panią o mojej decyzji dotyczącej powrotu do Waszyngtonu. Z tego, co słyszałem, sytuacja się tam pogarsza, a tutaj wydaje się dość stabilna. Relatywnie.

– Cóż – odpowiedziała – może relatywnie. Oboje wiemy, że nie mogę panu

mówić, co ma pan robić, agencie Diaz. Ale bardzo bym doceniła, gdyby został pan jeszcze trzy dni. JTF planuje dużą operację w celu odzyskania terenów wokół Ratusza i dojścia do mostu Brooklińskiego. Będziemy potrzebować każdego, kogo zdołamy zwerbować, w tym pana i pańskich kolegów z Division.

Aurelio rozumiał symboliczne znaczenie odzyskania Ratusza. Może to inna skala, ale dla mieszkańców Nowego Jorku stabilny samorząd oznaczałby niemal to samo, co stabilny Biały Dom i Kongres.

„Trzy dni” – pomyślał. Był w Nowym Jorku od czterech miesięcy.

– Okej – powiedział. – Chyba że...

– Wiem – przerwała mu porucznik. – Chyba że uzna pan, że jest coś ważniejszego. Ja też czytałam Dyrektywę 51, agencie Diaz.

Wstał.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, pani porucznik – powiedział. – Ta operacja ma się za trzy dni rozpocząć czy zakończyć?

– Aktualny plan przewiduje rozpoczęcie za... – zerknęła na zegarek. – Pięćdziesiąt dziewięć godzin i trzydzieści minut.

– Rozumiem – odparł Aurelio. – Jeszcze jedno. Czy ma pani dostęp do rejestrów z Waszyngtonu?

– Nie do wszystkich. A czego pan szuka?

– Amelii i Ivana Diazów – odpowiedział. – Zostali zakwaterowani w hotelu Mandarin Oriental, gdy JTF zamieniło go w obóz dla uchodźców. Chciałbym wiedzieć, czy nadal tam są.

– To pańskie dzieci?

Aurelio skinął głową.

– W porządku. – Porucznik Hendricks przebiegła palcami po tablecie, przesuując kolejne wyświetlające się okna. A potem zatrzymała palec nad ekranem, gdy odczytywała uzyskane wyniki. – Cała ta część miasta jest obecnie pod wodą – oznajmiła. – Potomac wylał trzy tygodnie temu. Z notatek operacyjnych logistyki z Waszyngtonu wynika, że większość mieszkańców Mandarin przeniosła się do innej osady, do Zamku

Smithsonian. Pozostali wyruszyli na północ, do innych osad. – Spojrzała na niego. – Obawiam się, że nie ma tu informacji, gdzie kto konkretnie trafił.

Aurelio z trudem zapanował nad impulsem, by zerwać się, chwycić ekwipunek i natychmiast wyruszyć do Waszyngtonu. Zaczepnął głęboko powietrza, ochłonął i zapytał:

– Jak dokładne są raporty o stratach wśród mieszkańców osad?

– Przykro mi, agencie Diaz – odparła Hendricks. – Niczym takim nie dysponuję. Poza tym, że raporty rozmieszczenia JTF nie wykazują jakichś intensywnych kontaktów z wrogami przy Mandarin czy przy Zamku Smithsonian. Mam nadzieję, że... – Odłożyła tablet i westchnęła, zamykając oczy na dłuższą chwilę. – Przykro mi. To wszystko, co mam.

Aurelio domyślił się, że są spore szanse, że z Amelią i Ivanem wszystko w porządku. Wiedział, że przeżyli pierwsze uderzenie wirusa, a nie było żadnych informacji o masowych ofiarach ataków w którymkolwiek z miejsc, w których od tamtej pory przebywali.

To musiało mu na razie wystarczyć.

„Jeszcze tylko trzy dni” – pomyślał. A potem być może kolejne trzy, by dotrzeć do Waszyngtonu, w zależności od tego, jaką część drogi będzie musiał pokonać pieszo.

I wtedy znajdzie się w Waszyngtonie, by bronić republiki przed wszystkimi wrogami, zewnętrznymi i wewnętrznymi. A robiąc to, odszuka swoje dzieci.

Była za dwadzieścia ósma. Pora coś zjeść, przespać się i przygotować na to, co może zdarzyć się jutro. Aurelio wrócił na swoją pryczę. Kurtka wciąż ociekała w kącie. Usiadł na pryczy, głodny i obolały. Jedyne, czego pragnął, to spojrzeć swoim dzieciom w oczy i powiedzieć, że wrócił.

Ale otrząsnął się. Trzy dni. Miał robotę do wykonania.

Rozdział 11

VIOLET

Padło cały dzień – niekończąca się ulewa, która zaczęła się przed świtem i nie ustała aż do wieczora. Violet miała wrażenie, jakby padało bez przerwy od ostatniej śnieżycy w lutym. Razem z resztą dzieciaków tkwiła w budynku przez cały dzień, wykonując różne prace, które zlecała im Junie, aż skończyły jej się pomysły. Potem spędzili popołudnie w swojej sali, wymyślając nowe gry w karty i starając się nie rozmawiać o tym, o czym wszyscy myśleli.

W środku nocy, tuż zanim się rozpadało, wszystkich obudziła potężna eksplozja. Podbiegli do okien i zobaczyli rozbłyski i ogień niedaleko budynków muzealnych po drugiej stronie National Mall. Violet wiedziała, że jeden z nich – chyba Muzeum Sztuki – należy do muzeów Smithsonian. A może było to Muzeum Historii Naturalnej? Nie miała pewności, który budynek jest który. Ale wszędzie wokół niego widać było płomienie i rozlegały się wybuchy. Trwało to ponad dwie godziny, aż nadeszła ulewa. Wtedy walczący uznali, że żadna strona nie wygra, więc doszli do wniosku, że mogą iść się wysuszyć i w National Mall zapanował spokój.

Na terenie Zamku pod ich oknami zobaczyli uzbrojonych dorosłych, którzy obserwowali, czy walka nie rozpocznie się na nowo. A to znaczyło, że martwią się, czy nie przeniesie się bliżej nich.

– Co robimy? – zapytała Shelby.

Mieli plan ewakuacyjny. Junie powiedziała im, że jeśli kiedykolwiek znajdą się w tarapatkach na terenie Zamku, to mają uciec najbliższym wyjściem

i zebrać się w galerii sztuki na zachodnim krańcu ogrodów. Przeprowadziła ich wtedy przez Zamek, pokazując wszystkie schody i drzwi. Każdy znał ten plan, ale nadal niektóre dręczące pytania pozostawały bez odpowiedzi. A co, jeśli najbliższym wyjściem będzie to, którym wejdą źli ludzie? Wtedy musieliby wyjść innym. Ale jeśli nie będą mogli przedrzeć się przez ogrody? Junie westchnęła wtedy i powiedziała:

– Wiem, wiem. Nie da się wszystkiego przewidzieć. Ważne, żebyście mieli podstawowy cel: wydostać się szybko i pomyśleć o zebraniu się razem, jak już będziecie bezpieczni.

O tym właśnie myśleli, patrząc na ogień po drugiej stronie National Mall, w odległości mniej więcej dwóch długości boiska piłkarskiego.

– Czy to na tyle blisko, że trzeba uciekać? – Saeed ścisnął małą pluszową zebkę, którą dostał kiedyś w zoo. Sympatia do maskotki nie była dla niego powodem do wstydu, choć kończył latem jedenaście lat. Między innymi za to Violet go lubiła.

– Nie wydaje mi się – odparła.

– Mnie też nie – zgodziła się Amelia. Wciąż miała aparat na zębach, więc trudno ją było zrozumieć. – Myślę, że jeśli zobaczymy, jak ludzie... No wiecie, zaczną strzelać w obronie, to wtedy uciekniemy.

– Właśnie tak – powiedzieli Noah i Wiley.

Violet też uważała, że to ma sens.

Ktoś przekręcił gałkę drzwi. Zebrane przy wychodzącym na północ oknie dzieci odwróciły się jednocześnie. Przez uchylone drzwi zajrzała Junie.

– Hm... – mruknęła. – Miałam nadzieję, że to przespaliście, choć to raczej nie było niemożliwe.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Okej, wracajcie wszyscy do łóżek.

– Co się tam dzieje? – zapytał Wiley.

– Strzelają – odpowiedziała Junie. – Nic więcej nie wiem. Nie wiem, czy to JTF, czy bandyci, czy ta milicja, która kręciła się wokół Kapitolu. Albo jakakolwiek inna banda szaleńców. Mnóstwo ludzi w tym mieście

powariowało. Pewnie w każdym innym tak samo. I czasem w tym szale rzucają się na siebie. – Mówiąc to, podchodziła do każdego dziecka po kolei, pomagając im ułożyć się w śpiworze czy na sofie, wygładzając okrycie i głaszcząc ich po głowach, zanim przeszła do następnego. – Tak już jest i nie ma co udawać, że jest inaczej. Ale cokolwiek to było, już się skończyło i nie dotarło do nas.

Właśnie otulała kocem Amelię, gdy to mówiła.

– A jeśli dotrze? – zapytała Amelia.

– Pamiętacie plan ewakuacji? – odpowiedziała pytaniem Junie.

Amelia pokiwała głową.

– Wszyscy? – dodała Junie, patrząc na nich wszystkich po kolei.

Przytaknęli.

– W takim razie wiecie, co robić. Nie sądzę, żeby tym szaleńcom chodziło o nas.

Saeed pisnął cichutko:

– Ale Mike mówił przy kolacji coś innego.

Junie westchnęła.

– Zamorduję go. – I szybko dodała: – Ale nie naprawdę. To tylko taka przerośnia, tak? Wiecie, co to przerośnia?

– Wiemy – odpowiedział Saeed.

– Są różne opinie na temat tego, co powinniśmy zrobić. Wiecie dlaczego? Bo nikt z nas nigdy nie był w podobnej sytuacji. Więc wszyscy musimy się uczyć. – Junie rozsiadła się w nogach długiej sofy, na której spała Shelby. – Mike i ja nie zawsze zgadzamy się co do tego, jakie kroki powinny zostać podjęte. To normalne. Ale oboje chcemy jak najlepiej dla wszystkich na Zamku. Zwłaszcza dla was, dzieci. Nie stworzyłyście tego świata, ale jesteście na niego skazane.

– Dziękujemy wam, drodzy dorośli – zakpił Wiley.

Violet podzielała to odczucie.

Junie milczała przez chwilę. Violet wsłuchiwała się w deszcz, rozmyślając, co jeszcze dzieje się tam w ciemnościach, czego ani nie widzą, ani nie

słyszają.

– Dobrze sobie radzicie, wiecie? – Junie przerwała ciszę. – Trzymacie się razem. Wszystko będzie dobrze. Słyszałam, że prezydent Mendez odzyskuje kontrolę. Wkrótce znów zbierze się Kongres. I będziemy mogli wrócić do jęczenia i narzekania na głupich polityków.

Posiedziała z nimi jeszcze trochę, co chwila ziewając. A potem wstała i zapytała:

– Mogę was zostawić?

Violet, Amelia i Saeed odpowiedzieli chórem, że tak. Reszta zdążyła już zasnąć.

– Okej. Późno już. Czy raczej wcześniej. Muszę się trochę przespać. I wy też powinniście.

Zostawiła ich, a oni leżeli otuleni kocami i śpiworami, słuchając deszczu i zastanawiając się, kiedy znowu wybuchnie strzelanina.

Zasnęli bardzo późno, więc rano zaspali. Gdy się obudzili, nadal padało. Cały dzień wydawał się jakiś rozbity, jakby już nadeszła pora kłaść się spać, choć dopiero wstali. Zajęcia zlecone przez Junie na chwilę zajęły ich myśli, podobnie jak gra w karty. Saeed i Amelia wymyślali nowe zasady. Violet sprawdzała je i sugerowała poprawki. Noah i Shelby głównie narzekali, że nikt nie chce grać w gry, w które oni chcą grać. Wiley i Ivan dostosowywali się, byli cicho i tak naprawdę się nie angażowali. Violet widziała, że są mocno przestraszeni tym, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Pod koniec dnia beczki na deszczówkę, które zbierały wodę z rynien Zamku, były już przepełnione. Junie posłała dzieci z kilkulitrowymi baniakami, żeby zebrały tyle, ile zdołają.

– To ostatnie zadanie – powiedziała. – Jeśli nadal będzie padać, beczki znowu szybko się napełnią. Możemy oszczędzić mnóstwo wody.

Na zewnątrz zrzedząca grupka dorosłych już przelewała deszczówkę z beczek do wielkich wiader i baniaków. Dzieci ustawiły się w kolejce,

przemoknięte i nieszczęśliwe, czekając na swoją turę. Violet cieszyła się, że to nie burza. Zwykle lubiła burze, ale w tym momencie uderzenie pioruna mogłoby zabrzmieć jak wybuch bomby albo wystrzał z broni. Nienawidziła tych, którzy strzelali, za to, że zamienili coś tak pięknego i cudownego jak grzmot burzy w coś, co ją przerażało. A potem poczuła się źle z tą nienawiścią. Rodzice zawsze mówili, by unikała tego uczucia. Może to była tylko złość. Złość była okej, dopóki się jej w sobie nie tłumilo. Ale na tym polegał problem. Gdy mówiło się o tym, co cię złości, dorośli nic nie rozumieli i zaczynali ci tłumaczyć, co powinieneś czuć. Więc dzieci rozmawiały o negatywnych emocjach tylko między sobą... A przynajmniej wtedy, gdy potrafiły nad tymi emocjami zapanować. Violet wciąż się wstydziała, że widząc żółty proszek, rozplakała się na oczach wszystkich.

I co to w końcu jest za proszek? Nikt chyba nie wiedział, ale wszyscy się zgadzali, że skoro agent Division ostrzegł ich, by tamtędy nie chodzić, to musi to być coś poważnego.

Nadeszła jej kolej, by napełnić baniaki. Zniosła je z powrotem do Zamku, aż na jego skraj, gdzie kiedyś na parterze znajdowała się główna galeria malarstwa. Na ścianach nadal wisiało trochę obrazów. Jeden z dorosłych z Zamku, Raúl – starszy, siwowłosa z wielkimi wąsami – ustawiał baniaki w rzędy. Odebrał jej pojemniki.

– Trochę ciężkie, jak na taką małą dziewczynkę – powiedział. Mrugnął do niej. Wiedziała, że nie miał na myśli nic złego.

Ale mimo wszystko Violet nie lubiła, gdy ktoś traktował ją z góry. Nie była na tyle przygnębiona, żeby nie zareagować.

– Wcale nie są ciężkie – odparła i poszła po kolejne dwa baniaki. Usłyszała, jak Raúl chichotał pod nosem, gdy odchodziła. „W porządku” – pomyślała. „Niech się śmieje. Nie ma pojęcia, jak twarde potrafią być małe dziewczynki”.

Rozdział 12

APRIL

Równo o dziesiątej wieczorem ktoś zapukał do drzwi pokoju April. Była gotowa. Wykąpała się, przebrała, zjadła, przepakowała swoje rzeczy i nawet uzupełniła dziennik. Już dawno skończyły się wolne marginesy w *Upadku Nowego Jorku*, którego używała jako pamiętnika w pierwszych tygodniach po wprowadzeniu kwarantanny. Pierwszy raz zrobiła to przypadkiem, bo była samotna i przerażona, a zapisywanie słów ją uspokajało. Teraz to kontynuowała, bo pomagało uporządkować myśli i skupić się na celu. Pod wieloma względami nie była już tą samą osobą, która w grudniu naskrobała pierwsze linijki w książce. Była lepiej zorganizowana, bardziej pewna siebie. Kilka razy spojrzała w twarz temu, co najgorsze w człowieku, i widziała też to, co w ludziach najlepsze. Chyba udało jej się też pomóc paru osobom.

Przez jakiś czas snuła swoje rozważania w dzienniku, aż słońce zaszło za Palisades po drugiej stronie rzeki. Wtedy dokonała ostatnich przygotowań, a gdy otworzyła drzwi bratu Michaelowi, była gotowa do drogi.

Poprowadził ją przez Inwood Hill Park w deszczu, nie oświetlając drogi, dopóki nie dotarli do stromego stoku, którym zeszli na równię pływową nad ujściem Spuyten Duyvil Creek. Wtedy znowu wyłączył latarkę i poczekali, aż ich oczy przyzwyczają się z powrotem do ciemności.

– Przy tamtej stoczni remontowej jest punkt kontrolny JTF – powiedział, wskazując odpowiednie miejsce. April dostrzegła dobrze oświetlone skupisko ciężarówek obłożonych workami z piaskiem pod Henry Hudson Bridge od strony Manhattanu. Samo ujście rzeki miało w tym miejscu ze sto

pięćdziesiąt metrów szerokości.

– Proszę, nie mów, że mamy płynąć wplaw – powiedziała.

Dobrze pływała, ale niekoniecznie z plecakiem i strzelbą. Poza tym czytała w *Upadku Nowego Jorku*, że przepłynięcie przez którąkolwiek z rzek otaczających wyspę Manhattan jest niemal niemożliwe ze względu na zdradliwe prądy i wiry.

– Och, nie – odpowiedział. – Pokazuję ci go, bo musimy ominąć ten punkt brzegiem, aż dotrzemy do właściwego miejsca. Dobrze, że pada, deszcz tłumi dźwięki, ale trzeba teraz zachować ostrożność.

April skinęła głową.

– Okej. Prowadź.

Brat Michael ruszył przez niskie zarośla i znalazł ścieżkę, która wiodła równoległe do brzegu rzeki. Gdy zbliżyli się do punktu kontrolnego, usłyszeli na tle deszczu inne dźwięki. Generator, silnik ciężarówki. Trzask fal radiowych. Brat Michael szedł dalej, nawet nie patrząc na punkt kontrolny. April kroczyła tuż za nim. Czuła, że zjeżyły jej się włoski na karku, i musiała zwalczyć impuls, by nie zacząć biec.

Gdy znaleźli się pod mostem i już na nich nie kapąło, brat Michael zatrzymał się.

– Okej – powiedział głosem bliskim szeptu. – Idziemy dalej, aż do mostu kolejowego. JTF ma patrole rzeczne, więc będziemy musieli poczekać, aż jeden z nich nas minie. Wtedy się przedostaniemy. Na torach są czujniki ruchu, więc nie możemy sobie po nich tak po prostu przejść. Będziemy musieli się nagimnastykować, trzymając się zewnętrznej krawędzi.

April potrzebowała chwili, żeby to przetrwać. Widziała już kiedyś ten most. To był ruchomy most kolejowy przepuszczający jednostki pływające. Przejeżdżała kiedyś przez Henry Hudson Bridge i miała okazję zobaczyć, jak środkowa część mostu kolejowego obraca się, a prom pasażerski przepływa, terkocząc, w stronę rzeki Hudson.

– Robiłeś to już? – zapytała.

Brat Michael uśmiechnął się pod nosem.

– Owszem. Trzeba się sprawnie uwijać. Ale ostrożnie, bo w deszczu będzie ślisko.

– No nie mów. – April zdjęła czapkę i związała włosy w kucyk. – Dobra. Zróbmy to.

Wyszli spod Henry Hudson Bridge i szli dalej wzdłuż brzegu, aż dotarli do pustej przestrzeni blisko południowego krańca mostu kolejowego. Brzeg zawałony był tutaj olbrzymimi blokami granitu, które zrzucano wokół podstawy mostu, by ją wzmocnić. Sam most zbudowany był ze stalowych przęsł.

– Możemy się tu schować przed deszczem – powiedział brat Michael, przykucając pod jednym z przechylonych bloków.

April do niego dołączyła. Deszcz tutaj też kapał, ale nie tak mocno, a poza tym tak już przemokła, że było jej wszystko jedno.

– Jak często zjawiają się patrole JTF?

Patrzył pod mostem w stronę rzeki Hudson.

– To zależy – odparł. – Zimą mieli tu garnizon, ale zwinęli go w marcu. Chyba doszli do wniosku, że skoro wirus już się tak szybko nie rozprzestrzenia, to powinni skupić się na bardziej niebezpiecznych miejscach. Ale jak mówiłem, zostawili czujniki ruchu. No i patrole... – Wzruszył ramionami. – Ujmę to tak. Jeśli zobaczymy, że nas mija, będziemy mieć czas, żeby przejść, zanim pojawi się kolejny.

Minęła niemal godzina, zanim od południa nadpłynęła łódź patrolowa, przesuając światłem reflektora po brzegu rzeki i filarach mostu. Podpłynęła do mostu kolejowego, na tyle blisko, że nawet w deszczu April mogła rozróżnić sylwetki załogi. Jeden z żołnierzy patrzył przez lornetkę. „Jeśli mają termowizję, to jesteśmy w kropce” – pomyślała.

W tym samym momencie brat Michael powiedział:

– Schowaj się za skałami.

Zsunęli się oboje w dół w kierunku wody, znikając z widoku.

– Zwykle tak blisko nie podpływają – stwierdził brat Michael. – Musieli dojść do wniosku, że ktoś może wykorzystać deszcz jako przykrywkę.

Łódź zatrzymała się przy drugim końcu mostu na około minutę. Potem usłyszeli zwiększone obroty silnika. April zerknęła znad kamiennych bloków i zobaczyła, że reflektory łodzi znów skierowane są na rzekę. Patrol zawrócił na południe i po chwili zniknął w deszczu.

– Okej – powiedział brat Michael. – Idziemy.

April patrzyła, jak wspina się po kamiennych blokach, a potem chwyta zewnętrzny element konstrukcji mostu. Przesunął się kilka kroków do przodu i obejrzał na nią. – Widzisz?

Pokiwała głową i wspięła się jego śladem. Stał była raczej szorstka – albo zardzewiała, albo pokryta łuszczącymi się płatami farby antykorozyjnej. Nie było tak ślisko, jak się spodziewała po ostrzeżeniu brata Michaela.

– Znasz się na wspinaczce? – zapytał, gdy zaczęli przesuwać się nad wodą.

– Nie.

– Trzy punkty kontaktu – powiedział. – Przesuwaj na raz tylko jedną rękę albo jedną stopę. Pamiętaj o tym, a wszystko będzie okej.

April szybko złapała właściwy rytm. Przęsła kratownicowe mostu miały kształt zygzaka. Skośne metalowe słupy były na tyle blisko siebie, że mogła trzymać się jedną ręką jednego i dosięgać drugą do kolejnego... Ledwo co. Nauczyła się utrzymywać ciężar ciała nad płytą mostu, gdy sięgała od dźwigara do dźwigara, tak, że gdyby nie dosięgła, spadłaby na most, a nie do wody. Mniej więcej w połowie drogi dotarli do platformy, która podtrzymywała ruchomą część mostu.

– Odpocznijmy chwilkę – zaproponował brat Michael. Ucieszyła się. Ulewa łomotała o powierzchnię platformy, był to głośniejszy dźwięk niż cichy szum kropel na rzece. Ta myśl sprawiła, że April obejrzała się na punkt kontrolny JTF przy Henry Hudson Bridge. Ledwo dostrzegła jego zarys. Zaledwie parę rozmazanych świateł.

– Doskonale nam idzie – stwierdził brat Michael. – W tej ulewie pewnie nie zobaczyliby nas z punktu kontrolnego, nawet gdyby nas wypatrywali.

– A co by zrobili, gdyby nas zobaczyli? – zapytała April.

– Trochę za daleko, żeby zacząć strzelać, chyba że mają tam snajpera. Kto wie? – Brat Michael wzruszył ramionami. – Nigdy się tak nie stało.

Wydawał się dość pewny siebie. O wiele bardziej niż April.

– A ile razy już to robiłeś?

– To jest czwarty – odpowiedział. – Lepiej ruszajmy dalej.

Przedramiona i łydki drżały jej z wysiłku, gdy dotarli na drugą stronę i zeskoczyli w zarośla po stronie Bronxu. Potrząsnęła kończynami i rozprostowała przykurczone palce dłoni. I wtedy uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od niemal pięciu miesięcy znalazła się poza wyspą Manhattan. Spojrzała pod swoje stopy. Bronx. Uciekła z kwarantanny.

– Niezłe uczucie, co? – zapytał brat Michael.

April pokiwała głową.

– Owszem. Niezłe. Chyba już zapomniałam, jak to jest, gdy można się udać tam, dokąd się chce.

– A dokąd chcesz się udać?

– Do Michigan.

– Do Michigan? Kobieto, to kawał drogi. Mam nadzieję, że masz po drodze jakichś znajomych.

April nawet o tym nie pomyślała. Zakładała, że wszyscy, których znała – w Nowym Jorku czy gdzie indziej – już nie żyją. To było najbardziej prawdopodobne. Ale teraz, gdy podsunął jej tę myśl brat Michael, zaczęła rozważać różne możliwości. Była jedynaczką, a rodzice przenieśli się na emeryturę do Montany. Nie miała od nich wiadomości od wprowadzenia kwarantanny. Kilku jej znajomych z college’u mieszkało kiedyś w różnych miejscach po drodze – ktoś w Pittsburghu, a ktoś inny niedaleko Toledo. Może mogłaby, zależnie od okoliczności, zatrzymać się w obu tych miejscach i ich poszukać. Jeśli w Toledo czy Pittsburghu sytuacja wygląda tak samo źle jak w Nowym Jorku, ominie te miasta szerokim łukiem. Chyba najlepiej będzie trzymać się na uboczu, o ile tylko zdoła znaleźć wodę i jedzenie.

– Coś wymyślę – odpowiedziała.

– W porządku – powiedział brat Michael. – W tej chwili plan wygląda tak: wejdiesz na tamto wzgórze i będziesz trzymać się ścieżki przez około dwie mile. Dotrzesz do klubu jachtowego Riverdale. Zapytaj o Blake’a i daj mu to.

Ledwo widziała jego wyciągniętą rękę w deszczu i ciemności, ale wysunęła swoją. Włożył jej coś do dłoni i zacisnął jej palce. Wyczuła, że to jakaś figurka. Obracając ją w palcach, spróbowała rozpoznać szczegóły. Figurka człowieka?

– To jadeitowy Budda – powiedział brat Michael. – Dynastia Song.

– Ja nie mogę... – Nie miała nic, co mogłaby zaoferować w zamian. – Nic nie mogę ci za to dać.

– To prezent od Mistrza i Templariuszy z Riverside. – Brat Michael z powrotem wspiął się na most. Uniósł dłoń w geście pożegnania, a April pomyślała: „trzy punkty kontaktu”.

– Potraktuj to jak nasze błogosławieństwo – dodał. – Do Michigan daleka droga, April Kelleher. Lepiej już ruszaj.

Rozdział 13

VIOLET

Następnego ranka deszcz w końcu odpuścił i wszyscy mogli wyjść z Zamku. Wtedy właśnie Wiley został postrzelony.

Uciekali przed grupą rabusiów: siedmioro dzieci plus Junie oraz czworo innych dorosłych. Było ich w sumie dwanaścioro. Poszli wzdłuż skraju National Mall, kierując się Jefferson Drive na zachód, aż dotarli do zalanej strefy tuż za Pomnikiem Waszyngtona. Lustrzanego Stawu nie było widać pod błotnistą wodą zalewową, a rzeka chlupotała u dolnych stopni Mauzoleum Lincolna. Przebrnęli przez podmokły grunt do Ogrodów Konstytucji. Ostatnim razem zbiory były na tyle dobre, że Junie chciała sama sprawdzić to miejsce.

– Może jeśli sytuacja się jeszcze bardziej ustabilizuje, to moglibyśmy założyć tu gospodarstwo – stwierdziła. – Miło by było mieć je trochę bliżej, ale... – urwała. Violet i tak się domyśliła. Nikt nie zamierzał sadzić niczego na terenach National Mall wokół Zamku. To był jeden wielki grób.

Południowa strona ogrodowego stawu zmieniła się w bagno po deszczu, więc obeszli go od północy, wzdłuż Constitution Avenue. Wszystko tutaj mocno pozarastało. Z północnego brzegu stawu wychodził mostek prowadzący na wysepkę, a otoczenie przypominało dżunglę. Spłoszony królik wyskoczył przed nimi z zarośli. Junie była w siódmym niebie, bo gdzie nie spojrzała, dostrzegała jadalne rośliny. Nie tylko pałkę i mlecza, ale też inne gatunki. Violet nie miała pojęcia, że można zjeść czosnaczek pospolity, szczawik żółty albo... fiołki. Violet poczuła się w tym momencie

dumna ze swojego imienia. Junie kazała dzieciom je pozrywać i sama zabrała się za zbieranie, opowiadając o rozmaitych roślinach jadalnych, które rosą niemal na podwórkach, a nikt nie zwraca na nie uwagi.

Dobrze było spędzać czas w takiej dużej grupie i z dorosłymi. Violet lubiła przebywać z innymi dziećmi, ale wiedziała, że bezpieczniej jest z dorosłymi. Uspokajała ją również bliskość głównej bazy JTF w Białym Domu. Violet wyobrażała sobie, że prezydent – prezydent musiał przecież być, prawda? – ciężko pracuje, by postawić Amerykę na nogi. JTF rozstawiło wokół Białego Domu żołnierzy i jakieś pojazdy, od parku Elipsa aż po Lafayette Square. Będąc w pobliżu tego miejsca, czuła się bezpieczniejsza.

– Ciekawe, czy w tym stawie są jakieś ryby – powiedział Mike.

Inny dorosły stanął obok niego i wziął się pod boki.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale na pewno są żaby.

Violet zaczęła się zastanawiać, czy zjadłaby żabę.

Rozważała to właśnie, wyobrażając sobie, jak bardzo musiałaby być głodna, żeby skonsumować żabę, gdy zza niewielkiego budynku po drugiej stronie Constitution Avenue naprzeciwko stawu wyszli jacyś ludzie. Byli obdarci, mieli niedopasowane ubrania i każdy wyglądał inaczej. To nie była któraś z tych niebezpiecznych zorganizowanych grup. „To tylko banda śmieciarzy i złodziei” – pomyślała w pierwszej chwili Violet. Widziała już takie grupki. W Waszyngtonie było ich pełno. Przerażali ją, ale nie bardziej niż żółte cząsteczki unoszące się nad L’Enfant Plaza czy nieustające nocą trzaski wystrzałów nad National Mall. Nie w chwili, gdy była częścią dużej grupy, która liczyła pięcioro dorosłych.

I wtedy jeden z nich uniósł broń i zaczął strzelać.

Violet wiedziała, co robić. Schyliła się i spojrzała na resztę. Czy biegli? Jeśli tak, też powinna pobiec. Mike nauczył tego dzieci jeszcze w hotelu, a Violet wiedziała, że ta zasada obowiązuje także tutaj. Reszta dzieci również padła na ziemię, a Mike i pozostali dorośli chwycili broń i odpowiedzieli ogniem.

W pierwszej chwili pomyślała, że trzeba się stamtąd wydostać, biec i nie zatrzymywać się, aż znajdzie się z powrotem w ich sali na Zamku. Ale Wiley krzyknął i upadł na samym brzegu stawu, więc Violet podbiegła do niego. Padła na brzuch i podpełzła do Wiley'ego. Dyszał i krzyczał z bólu, a przez jego koszulkę przesączała się krew. Schowali się razem w szuwarach.

– Wszystko będzie okej – powiedziała Violet automatycznie, nie mając pojęcia, czy tak rzeczywiście będzie.

– Boli – jęknął Wiley przez zaciśnięte zęby. – Postrzelili mnie, Vi. Umrę.

– Nie, wcale nie – odparła. Wiley przetoczył się na bok, przyciskając rękę do rany. Zobaczyła, że rzeczywiście został postrzelony, i poczuła nagłe pragnienie, by pobiec prosto do Alexandrii, schować się na zawsze w swoim dawnym pokoju ze starymi plakatami i maskotkami i spać, aż ktoś przyjdzie do niej i powie, że wszystko będzie dobrze.

Jednak dobrze nie było. Rozległy się kolejne strzały.

Wszyscy wokół starali się schować w zaroślach otaczających staw. Zobaczyła, jak Mike próbuje powstrzymać ich strzałami, ale rabusie nadal się zbliżali.

Violet zsunęła się z błotnistej brzozy stawu do wody, ciągnąc za sobą Wiley'ego. Reszta dzieci pobiegła na drugą stronę wysepki – poza Noah. On wpadł do wody obok Violet i chwycił Wiley'ego za rękę. Wiley jęczał z bólu i wierzgał nogami.

Kule ścinały sitowie nad ich głowami. Violet nie widziała już nigdzie Mike'a. Nie miała pojęcia, gdzie jest reszta dorosłych.

Wypęzła z wody, żeby mieć lepszy widok. Zobaczyła Mike'a, który klęczał na krańcu mostka. Próbował wstać, ale nie mógł obciążyć jednej nogi. Złodzieje znajdowali się wśród drzew pomiędzy Constitution Avenue a północnym brzegiem stawu. Widziała, jak się poruszają. Czterech wybiegło pomiędzy drzew prosto na Mike'a. Gdzie są pozostali dorośli? Violet starała się nie panikować, ale nie wiedziała, co robić. Noah i Wiley byli dość dobrze schowani, ale było za zimno, żeby tkwić w wodzie, a Wiley

potrzebował lekarza.

Junie podczołgała się do niej.

– Nie ruszaj się – powiedziała.

– Ale Mike...

– Nic nie możemy zrobić. – Przez twarz Junie przemknął grymas. – Może za chwilę będziemy w stanie zabrać stąd Wiley’ego.

Za czterema złodziejami spomiędzy drzew wyszło sześciu kolejnych.

– Kiepska dzielnica na zrywanie kwiatków – stwierdził ten na przedzie. Wszedł na mostek, a reszta napastników za nim.

Violet zaczęła się zastanawiać, czy teraz umrze. Cała się trzęsła. Junie przyłożyła dłoń do jej pleców.

– Ci... Jeśli będzie źle, po prostu nie patrz.

Mike usłyszał nadchodzących rabusiów i zaczął się czołgać w przeciwnym kierunku, w stronę niewielkiego pomnika pośrodku wysepki. Nikt teraz nie strzelał, ale przez to było chyba jeszcze gorzej.

Violet znowu dostrzegła za złodziejami ruch. „Kolejni” – pomyślała. „Może dałabym radę przepłynąć przez staw i uciec. Gdzie są inne dzieci?” Kolejne myśli przychodziły jej do głowy, ale jej ciało tkwiło nieruchomo. Przynajmniej była z nią Junie. Violet zobaczyła, że ma broń – czarny, kanciasty pistolet. Na niewiele się zda przeciwko dziesięciu napastnikom. Albo i więcej, jeśli to właśnie oni poruszali się między drzewami.

Ale to nie byli oni.

Pojawił się wysoki biały mężczyzna z czarnym plecakiem i karabinem. Uniósł broń i wycelował. Violet zobaczyła świecące pomarańczowe kółko na jego lewym nadgarstku i poczuła iskierkę nadziei. Agent Division. Tylko jeden, ale w jej oczach każdy z nich był superbohaterem. Ten był leworęczny – jak ona. Żaden ze złodziei jeszcze go nie zauważył. Wszyscy skupili wzrok na Mike’u i myśleli o tym, co mu zrobią.

Agent strzelił, wycelował ponownie i znowu strzelił. I znów wycelował i strzelił. Wszystko to w ciągu dwóch sekund. A potem schował się za drzewem. Zanim Violet przesunęła wzrok na złodziei na mostku, jeden

z nich wpadł już do wody, a dwóch leżało na mostku twarzami do dołu.

Reszta obróciła się i zaczęła mierzyć z broni we wszystkich kierunkach, wrzeszcząc do siebie nawzajem, żeby zorientować się, kto do nich strzela. Przywódca wskazał na kępę drzew.

Agent Division znowu się pokazał. Jeden strzał i już go nie było. Kolejny złodziej upadł i nie wstał.

– Nie może nas wszystkich zdjąć tą strzelbą na jelenie! – wrzasnął przywódca. – Bierzcie go!

Napastnicy ruszyli. Junie wyskoczyła z sitowia i podbiegła do Mike'a, żeby zaciągnąć go za jakieś krzaki, gdzie przynajmniej mieliby schronienie. Violet obejrzała się na Noah.

– Co z nim?

Noah płakał, trzymając głowę brata na kolanach.

– Jest ranny, Vi. I cały czas krwawi. – Wiley był blady i cichy.

– Wyciągnij go z wody. Dalej, pomogę ci. – Violet przykucnęła nad nimi i razem wyciągnęli Wiley'ego na brzeg. Był mokry do pasa, a powyżej cały jego bok spływał krwią.

Od strony drzew rozległ się grzechot wystrzałów. Violet obróciła się i zobaczyła, że złodzieje odpowiadają na ten atak i strzelają między drzewa. Nie widziała agenta Division. Nie, zaraz. Był tam... Jednak nie. To jakaś Azjatka, też agentka. Po cichu obchodziła złodziei. Miała inny karabin, taki z krzywym magazynkiem. Omiotła ich długą serią. Rozbiegli się, przynajmniej ci, którzy jeszcze mogli. Wtedy ten pierwszy agent Division pojawił się na drugim krańcu zagajnika i spokojnie strzelił do kolejnego złodzieja.

Z dziesięciu zostało ich już tylko dwóch. Biegli ze wszystkich sił między drzewami z powrotem ku Constitution Avenue. Agenci Division ich nie gonili. Spotkali się przy mostku i weszli na niego razem.

– Możecie już wyjść! – zawołał mężczyzna.

Junie wstała zza krzewów i powiedziała:

– Potrzebujemy pomocy! Mamy dwóch rannych. Co najmniej dwóch.

Nie wiem, gdzie jest reszta.

Kobieta z Division dotknęła tarczy zegarka.

– Baza, tu Fujikawa. Cywile potrzebują sanitariusza w tej lokalizacji, natychmiast. – Umilkła, by posłuchać. – Zagrożenie wyeliminowane. W tej chwili sytuacja stabilna. Pearson i ja zostaniemy, dopóki nie dotrzecie.

Spojrzała na Junie i oznajmiła:

– Pomoc jest w drodze.

Agent przyniósł Wiley'ego znad brzegu stawu. Uklęknął i ostrożnie położył go na ścieżce. Noah był cały czas obok.

– Pomóżcie mu – błagał.

– Trzymaj się, chłopcze – powiedział agent Pearson. – JTF zaraz tu będzie.

Fujikawa położyła na ziemi plecak i wyjęła apteczkę. Przyłożyła połowy opatrunek na jedną z ran Mike'a. Postrzelono go dwa razy – w rękę i w nogę. Rana na nodze wyglądała gorzej.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Ale z joggingiem będziesz musiał trochę poczekać.

– Ha, ha – odparł słabym głosem.

Niecałe dziesięć minut później dotarła grupa szybkiego reagowania JTF. Czterech ratowników i dwunastu uzbrojonych żołnierzy. Widząc, że zbliżają się do mostku, Fujikawa wysunęła pięść w stronę Pearsona, a ten przybił żółwika.

– Do zobaczenia – rzuciła. Ruszyli w różnych kierunkach, on na północ, a ona na zachód. Pearson skinął głową zespołowi JTF, gdy ich mijali, i pokazał im wysepkę, żeby wiedzieli, dokąd mają iść.

Violet patrzyła za Fujikawą, dopóki agentka nie zniknęła pośród drzew rosnących wokół Pomnika Wietnamskiego. „Agentka Fujikawa nigdy się nie boi” – pomyślała Violet. „Agentka Fujikawa radzi sobie w każdej sytuacji. Chcę być taka jak ona”.

Gdy ratownicy zajmowali się Wileym i Mikiem, Junie zebrała wokół

siebie resztę dzieci. Pozostali trzej dorośli wyszli z zarośli nieśmiało i z wdzięcznością. Violet zapamiętała ich twarze, żeby nie ufać im w przyszłości. Tylko Mike i Junie stanęli w obronie dzieci.

Trzymała się blisko Wileya i wzięła Noah za rękę, żeby się nie bał. Pozostałe dzieci skupiły się tak, jak zawsze, z najmniejszymi w środku. Shelby i Ivan rozmawiali, ale Violet nie słyszała o czym.

Ratownik, który zajmował się Wileym, wstał.

– Okej, chłopcze. Przyniesiemy ci nosze. – Gdy dowódca grupy na niego spojrział, dodał: – W każdym razie kule przeszły głównie przez tłuszcz i mięśnie, ale zahaczyły o żebro i weszły dość głęboko. Powinno się te rany oczyścić i zaszyć, żeby nie doszło do zakażenia otrzewnej.

– Czy to oznacza operację? – zapytał Mike. Siedział z ręką na temblaku i nogą obandażowaną od kolana po biodro.

Ratownik wzruszył ramionami.

– Technicznie rzecz biorąc, tak. Ale nie będziemy musieli go usypiać. Parę zastrzyków, parę szwów i oczywiście antybiotyków. I będzie jak nowy.

Wiley popłakiwał. Noah i Violet trzymali go za ręce, gdy ratownicy kładli go na noszach.

– Mogę z nim być? – zapytał Noah. – To mój brat.

– Nie możemy zabierać ze sobą dzieci bez opieki – odparł ratownik.

– Ja też pójdę – oznajmiła Junie. – A wy wracajcie do domu z tym, co udało nam się zebrać.

Mike wstał przy pomocy drugiego ratownika. Spróbował obciążyć ranioną nogę.

– Cholera, ale boli. Na pewno mogę na niej chodzić?

– Już nic nie zaszkodzi, jeśli o to pan pyta – odpowiedział ratownik. – Kula wycięła kawałek mięśnia z uda. Trzeba pilnować, żeby rana była czysta, i za parę tygodni będzie pan zdrowy.

– Dobrze – powiedział Mike. – To muszę się już tylko martwić złamaną ręką.

– Złamanie bez przemieszczenia – rzucił ratownik, po czym przesunął

jedną dłonią po drugiej. – Kula prześlizgnęła się po kości. Oczyszczałem, więc trzeba tylko nie zaniedbać, a samo się zagoi.

– Nie mamy niczego, by utrzymać tę ranę w czystości – odpowiedział Mike. Na Zamku nie mieli już właściwie żadnych lekarstw.

– Damy wam trochę. – Ratownik zaczął grzebać w swoim plecaku. Wysypał kilka tabletek z buteleczki i podał je Mike’owi. – Mogę tylko tyle. Raz dziennie podczas jedzenia.

Dowódca ekipy omiół wszystkich spojrzeniem.

– A może was odprowadzimy? Wezwiemy inny zespół, żeby zabrał tych dwóch chłopców i opiekunkę do bazy.

– Dzięki – powiedział Mike. – Może mogliby przy okazji podrzucić jakieś kule?

Godzinę później byli już z powrotem na Zamku.

„Bezpieczni” – pomyślała Violet.

Przynajmniej na razie.

Rozdział 14

APRIL

Dopiero rano April zdołała skontaktować się z Blakiem. Dotarła do klubu jachtowego Riverdale po północy. Było tam ciemno i cicho, zamknięta na kłódkę brama odgradzała podjazd prowadzący do budynku klubu.

Nie tak miało być według brata Michaela. Czyżby wydarzyło się tu coś złego?

Jeśli tak, to choć April udało się opuścić wyspę Manhattan, będzie musiała wymyślić jakiś inny sposób, żeby przedostać się na drugi brzeg rzeki. Najprościej byłoby dojść do mostu Tappan Zee, ale on znajdował się wiele mil na północ.

Inna możliwość była taka, że Blake nie wiedział o jej przybyciu. To wydawało się dość prawdopodobne, bo telekomunikacja była już tylko odległym wspomnieniem, przynajmniej w tej części kraju. Tylko JTF i niektóre rządowe organizacje nadal dysponowały sieciami telefonicznymi i informatycznymi.

Cóż, nie miała zamiaru tkwić na torach całą noc. Przeskoczyła płot otaczający teren klubu jachtowego. W budynku klubu było ciemno, a wszystkie samochody na parkingu wyglądały tak, jakby stały tam od listopada. Wokół opon nagromadziły się warstwy piasku i żwiru. April nie dostrzegła żadnych łodzi. Nie słyszała też głosów, ale być może zagłuszał je deszcz.

Miała dość tego deszczu.

Po drugiej stronie parkingu do budynku dostawiony był biały namiot.

Weszła pod niego pochylona, przedzierając się przez plastikowe krzesła porzucone przez zimowe sztormy. Namiot był porozdzierany w kilku miejscach, ale tuż obok drzwi do klubu zapewniał dobrą osłonę. Odłożyła plecak i usiadła. „Koszmarne trzydzieści sześć godzin” – pomyślała. „Znalazłam Mercha, dowiedziałam się czegoś o śmierci Billa i udało mi się wydostać z Nowego Jorku”.

„Ach, dowiedziałam się też, że może istnieć szczepionka na Dolarową Grypę”.

Czy to prawda? Czy ktoś nad nią teraz pracuje? Może w przyszłości dla wszystkich w Stanach Zjednoczonych – i wszędzie tam, gdzie dotarła zaraza – wirus Amhersta stanie się jedynie wspomnieniem. I trafi do przeszłości, czyli tam, gdzie jego miejsce.

Musiała się dowiedzieć. Głównie dlatego, że jeśli praca Billa się do tego przyczyniła, to będzie jej odrobinę łatwiej pogodzić się z jego śmiercią.

Nie miała zamiaru zasnąć, ale ocknęła się, gdy ktoś szturchnął ją w stopę.

– Hej, obudź się.

Stał nad nią mężczyzna, mierząc lufą prosto w jej serce. Drugą nogą przydepnął jej strzelbę. Tuż za nim dostrzegła słońce lśniące nad rzeką. Powoli uniosła obie dłonie.

– Jesteś Blake? – zapytała.

Zamrugął. Zobaczyła, że powoli zaczyna kapować.

– Andrew kazał ci tu przyjść?

Andrew... Och, poskładała kawałki układanki. Mistrz.

– Tak – odpowiedziała. – Powiedział, żeby dać ci... – Zawahała się. – Sięgnę do kieszeni kurtki.

– Tylko powoli – zaznaczył.

Znalazła figurkę Buddy i uniosła ją. Odbity od rzeki promień słońca rozświetlił mleczny jadeit, sprawiając, że Budda jakby załśnił własnym blaskiem.

– Powiedział, żeby dać ci to – powtórzyła April.

– Za co?

– Za przeprowienie mnie na drugą stronę rzeki.

Blake przyglądał się jej dłuższą chwilę. A potem przyjrzał się Buddzie. Zrzucił broń na plecy i wziął figurkę.

– Ładny – stwierdził. Wyraz jego twarzy był już zupełnie inny od tego podejrzliwego grymasu, z którym szturchał ją, by się obudziła. – A dlaczegoż to Andrew wyświadcza ci tę przysługę?

– Bo ktoś go o to poprosił.

– A kim jest ten ktoś?

– Znasz Rogera Koopmana?

– Nie. Ale chciałem sprawdzić, czy odpowiesz na to pytanie. Okej. Dokąd się wybierasz?

– Ostatecznie do Michigan – odpowiedziała April. – Ale dziś wystarczy mi New Jersey.

– Michigan? Jezu. Nie zapytam po co, ale moim zdaniem to czyste szaleństwo.

– Nie tylko twoim – odpowiedziała April z lekkim uśmiechem. Wstała i przeciągnęła się. – Ale... nie widzę żadnych łodzi.

– Nie trzymam tu mojej łajby. JTF zakłada, że każda łódź na tym odcinku rzeki należy do przemytników. – Blake kolejny raz spojrzął na figurkę i potarł brzuch Buddy kciukiem. Następnie wsunął ją do kieszeni. – Zrobimy tak. Wejdiesz do środka i zorganizujesz sobie coś do jedzenia, jeśli chcesz. Wrócę z łodzią za godzinę. W Jersey są dwa miejsca, gdzie mogę cię wysadzić. To znaczy dwie przystanie. Jeśli wolisz, mogę tylko podpłynąć gdzieś do brzegu, a ty jakoś przedrzesz się przez las.

– Tak powinnam zrobić?

– Czy JTF cię ściga? Zwykle z tego powodu ludzie chcą opuścić Nowy Jork.

– Nie – odparła. – Nie sądzę, żeby JTF wiedziało o moim istnieniu.

– W takim razie możesz skorzystać z jednej z przystani. W tym

kierunku – wskazał na drugi brzeg rzeki na południowym zachodzie – znajduje się Englewood Boat Basin. – Przesunął ramię o dziewięćdziesiąt stopni na prawo, wskazując północny zachód. – A trzy mile w górę jest Alpine Boat Basin. Do Englewood dotrzemy szybciej, ale, cholera, jeśli masz przejść sześćset mil, to chyba lepiej oszczędzić sobie paru godzin wędrówki.

– A gdzie jest mniej ludzi?

– Chyba przy Alpine. To w Palisades Park, a jak oddalisz się od brzegu, to napotkasz same pola golfowe i rozciągające się na wiele mil przedmieścia. Englewood jest bliżej międzystanowej numer 80, ale jest tam o wiele więcej ludzi.

April zastanawiała się przez krótką chwilę i odparła:

– Alpine.

– Załatwione. – Blake otworzył drzwi do klubu. – Jak mówiłem, wejdź do środka. Czuj się jak u siebie. Wracam za godzinę.

Zanim Blake poszedł po łódź, pokazał April kuchnię klubu. W lodówce – zamkniętej, choć oczywiście wyłączonej – były suszone owoce, tuńczyk w puszcze, ser i inne różności. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

– Bierz, co chcesz – powiedział Blake.

Spojrzała na niego, zakładając, że żartuje.

– Naprawdę? – W Nowym Jorku taka ilość jedzenia sprawiłaby, że człowiek stałby się celem napaści. A on tak po prostu je oddaje?

Blake domyślił się, o co jej chodzi.

– Nie jesteś już w kwarantannie... Jak masz na imię?

– April.

– Nie jesteś już w kwarantannie, April. Tu też bywa ciężko, ale w porównaniu z tym, gdzie byłaś, to raj.

Najadła się, a potem wrzuciła trochę sera i kilka puszek z tuńczykiem do plecaka. I jeszcze paczkę rodzynek. Nie było powodu, by odrzucać czyjąś hojność, skoro ta tak rzadko się ostatnio zdarzała.

Blake wrócił na czas, podpływając do ściany oporowej na brzegu rzeki długą na dwadzieścia cztery stopy łodzią rybacką Parker. Zobaczyła go przez wielkie okna wychodzące na rzekę i zebrała swoje rzeczy, żeby wyjść mu na spotkanie. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej wejść na pokład, ale ona już stała na nadburciu. Otwarty kokpit był wyposażony w dwa obrotowe krzesła, z kołem sterowym po prawej. April rzuciła swój plecak za krzesło po lewej i odłożyła strzelbę na pokład obok niego. Blake już włączał silnik.

– Masz wszystko? – zapytał, podnosząc głos, by przebić się przez warkot silnika i szum wiatru.

– Tak, dzięki! – zawołała w odpowiedzi April. Zastanawiało ją, skąd ma paliwo do łodzi, ale uznała, że wcale nie musi tego wiedzieć. Byli wojskowi mieli zapewne mnóstwo kontaktów w JTF. A może poza Nowym Jorkiem nadal można było benzynę po prostu kupić. To jednak przydałoby się wiedzieć.

– Od miesięcy nie podróżowałam żadnym pojazdem z silnikiem – powiedziała. – Benzyna jest dostępna?

– Cóż, nie da się podjechać do dystrybutora i nalać – odpowiedział Blake. – Ale da się ją znaleźć, jeśli się wie, gdzie szukać.

Tyle się domyśliła. Zastanawiały ją też inne różnice. Była zaledwie parę mil od Manhattanu, ale już zżerała ją ciekawość, jak wygląda reszta kraju. Teraz, gdy już odnalazła Koopmana, jej umysł uwolnił się od obsesji jego poszukiwania i mógł poświęcić innym rozważaniom.

– Czyli tam jest bardziej normalnie? – zapytała.

Blake się roześmiał.

– W pewnym sensie – odparł. – Nie bardzo wiem, co się dzieje z resztą świata. Albo co się dzieje w Waszyngtonie. Słyszałem, że prezydent Waller zmarł, ale nie wiem, czy to znaczy, że prezydentem jest teraz Mendez czy może ktoś inny. Takie wieści się nie rozchodzą. Prawda jest taka, że nadal jest raczej gównianie. Ale jak mówiłem, w porównaniu do Manhattanu będziesz miała wrażenie, że trafiłaś do Shangri-la.

Myślała o tym przez kilka minut, gdy Blake kierował łodzią pod prąd

w kierunku północnym. Przypomniała sobie, jak czytała w książce Koopmana, że prąd ma tu prędkość czterech mil na godzinę. Szybko. Szybciej niż prędkość, z jaką będzie się potencjalnie dalej przemieszczać w kierunku Ann Arbor.

– Czy to dotyczy wszystkich, czy tylko osób związanych z wojskiem?

– Będę wobec ciebie szczery, April. Nie mam pojęcia. Ja mam kontakty tu i tam i je wykorzystuję. Od czasu do czasu komuś pomagam. To też frajda – dodał, zwalniając i podpływając do drugiego brzegu. Dostrzegła przystań Alpine Boat Basin ze wznoszącymi się nad nią Palisades. – Andrew i ja pod koniec lat dziewięćdziesiątych wspólnie wyjeżdżaliśmy parę razy na misję. Nie przyszłoby mi do głowy, że nadal będziemy w kontakcie.

– To bardziej zaskakujące niż to, że jest przywódcą zakonu wojowniczych mnichów?

Blake się roześmiał i odparł:

– Gdybyś znała go z tych czasów, co ja, to by cię wcale nie zaskoczyło.

Ominął pień drzewa unoszony prądem i zwolnił jeszcze bardziej, gdy zbliżali się do zachodniego brzegu.

– Hej, posłuchaj – powiedział. – Jeśli naprawdę wybierasz się do Michigan, to jest chyba szybszy sposób niż na piechotę. Przynajmniej na początku.

– A jaki?

– To zabrzmiało zabawnie, ale kanał Erie.

– Poważnie? A on nie prowadzi na północ?

– Mogłabyś zacząć w Albany, a kanał doprowadzi cię aż do Buffalo.

April się zastanowiła. Buffalo było daleko na północ od bezpośredniej trasy.

– Wiem, że to wydaje się nie po drodze, ale do Buffalo dostaniesz się w tydzień. Ile możesz przejść w ciągu tygodnia?

– Nie wiem – odpowiedziała April. Podpływali do przystani. – Pewnie nie tak daleko. Jesteś pewien?

– Efektem braku paliwa jest to, że ludzie wracają do

dziewiętnastowiecznych metod transportu – odpowiedział Blake, który przybrał ton wykładowcy college’u. – Po kanale przewozi się teraz mnóstwo ładunków. Jeśli tylko masz coś na wymianę, to możesz załapać się na podwózkę na barce.

– Czyli... Hm... – April miała parę takich rzeczy w plecaku. Ostatecznie mogła się wynająć jako ochrona z tą swoją strzelbą. – Jesteś pewien, że możesz zabrać mnie aż do Albany?

– Ach, czemu nie? Trochę się rozruszam. A poza tym lubię wiedzieć, co się dzieje gdzie indziej. Nie powinno się ufać pogłoskom, wiesz? – Blake zwolnił jeszcze bardziej przy znaku zakazu wytwarzania fali na zewnętrznym krańcu basenu mariny. – I co myślisz?

Wokół nich porzucone łodzie unosiły się na swoich miejscach przy przystani. Kilka częściowo tonęło. Hangar wyglądał tak, jakby nikt tam od miesięcy nie zaglądał.

April rozejrzała się po okolicy. Długi, wąski parking po lewej, parkowa droga wznosząca się półkolem na skarpe z tyłu. Otwarta trawiasta przestrzeń po prawej, z kolejnymi przystaniami i kolejnymi na wpół zatopionymi łodziami. Żadnych ludzi ani nawet śladów ludzkiej obecności w zasięgu wzroku.

– Dużo jest ludzi w Albany?

– Jacyś są, owszem. Panuje tam bałagan jak wszędzie, ale wielu ludzi zaczęło do Albany zaglądać, żeby pohandlować, bo są tam rzeka i kanał. – Blake ustawił łódź stabilnie pod prąd. – To jak?

– W porządku – odpowiedziała April. – Niech będzie Albany.

Jedenaście godzin później Blake znowu ustawiał łódź, tym razem w przystani Waterford w stanie Nowy Jork. Biegąca równoległe do mariny, niegdyś turystyczna ulica była rozświetlona pochodniami zatkniętymi na słupach latarni i wyraźnie opustoszała. Przechodziło nią kilka osób. Dalej z przodu krótki boczny kanał prowadził do Mohawk River. April dostrzegła bramę służy również oświetloną pochodniami. Załoga korbą podniosła

bramę, ukazując stojącą w śluzie barkę. Była załadowana skrzynkami, a na pokładzie stały trzy konie, tupiąc i potrząsając grzywami.

„A więc to prawda” – pomyślała April. „Kanał Erie”.

Blake wskazał w tamtą stronę.

– Idź prosto na drugą stronę śluzy, znajdziesz tam... cóż. Nie wiem, jak go nazwać. Oficera celnego czy kogoś w tym rodzaju. To on śledzi, co przyplywa i co odpływa. Powiedz, że chcesz się dostać do Buffalo, a on już cię z kimś skontaktuje.

– Jeszcze dziś? – Była prawie dziesiąta wieczorem.

– Możliwe – odparł Blake, wzruszając ramionami. Barki pływają też po ciemku. Łatwiej będzie znaleźć podwózkę z samego rana, ale może poszczęści ci się jeszcze dziś.

April zgarnęła swój plecak oraz broń i zeszła na kamienną marinę, czując, że łódka zakołysała się pod jej ciężarem. Gdy się odwróciła, Blake już włączył silnik i powoli się wycofywał.

– Tak przy okazji, co zrobisz z tym Buddą? – zapytała. – Wymienisz go na coś?

– Nie, na Boga, nie. Jestem kolekcjonerem. W ten sposób Andrew zmusza mnie, żebym robił głupie rzeczy, jak szmugłowanie ludzi przez rzekę. – Blake dotknął daszka czapki. – Głowa do góry, April. Ale nie za wysoko. Może i nie jesteś już w Nowym Jorku, ale nadal może być ciężko.

– Dzięki – odpowiedziała. – Będę uważać.

Blake wykręcił łodzią i wypłynął na rzekę Hudson, machając do niej. Odmachała, zastanawiając się, jaka jest historia tego człowieka. Kolekcjoner sztuki, przemysłowiec, wesoły cynik... Nie dowie się nic więcej. Mimo wszystko pocieszała ją świadomość, że istnieją tacy ludzie jak Blake, którzy nie myślą wyłącznie o przetrwaniu. Dolarowa Grypa nie zabiła dobroci.

Nawet gdy jego łódź zniknęła jej z oczu, stała jeszcze chwilę, patrząc na małe miasteczko Waterford. Żadnych wieżowców. Żadnych wypalonych ruin. Żadnych gangów, żadnego JTF. Tylko ludzie spacerujący w chłodny wiosenny wieczór. Niektórzy przyglądali się jej, inni nie zwracali na nią

uwagi. Dopiero po chwili April dostrzegła, co jest w nich odmiennego. Uderzyło ją nagle, że nikt z nich nie zachowywał się tak, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku. A tak zachowywali się wszyscy na Manhattanie.

Była wolna. Teraz mogła poznać dalszą część historii Billa.

A jeśli szczepionka – antywirus o szerokim spektrum – naprawdę istnieje, to tego też się dowie.

Rozdział 15

IKE

Szósta czterdzieści rano. Słońce nisko zawieszono nad Long Island, przyjemny chłód w powietrzu. Agent Division Ike Ronson odbiera połączenie.

– Strażniku, tu Modliszka. Odbiór.

– Tu Strażnik. – Ike zerknął na zegarek, by sprawdzić, czy ISAK nie usłyszał komunikatu. Cała komunikacja z Modliszką odbywała się na zaszyfrowanej częstotliwości i powinna pojawić się w zakresie skanowania ISAK-a jako szum. Wyglądało na to, że jest okej. – Mów, Modliszko.

– Przechwyciliśmy komunikaty wskazujące, że cywil, który posiada cenne informacje, opuścił Manhattan. Twoje rozkazy są następujące: śledź ją. Nawiąż kontakt i pomagaj, jeśli to będzie potrzebne. Dowiedz się, dokąd zmierza, i obserwuj.

– Kim ona jest?

– Nazywa się April Kelleher. Biała kobieta po trzydziestce, rudobrązowe włosy, niebieskie oczy, około metr siedemdziesiąt, średniej budowy. Może posiadać plecak Division. Uzbrojona.

– Ma ekwipunek Division, ale jest cywilem? – Zazwyczaj oznaczało to, że taki cywil zabił agenta Division.

– Potwierdzam.

– Nawiązać kontakt i pomagać – powtórzył Ike. Standardową domyślną procedurą, gdy agent spotykał cywila z wyposażeniem po zabitym agencie, było zlikwidowanie go, bez zadawania pytań. Ale Ike już dawno wyszedł

poza protokół. Będzie się musiał dostosować. – Gdzie jest teraz?

– Ostatnia znana lokalizacja to Cloisters. Z analizy wynika, że przedostała się przez rzekę i ruszyła na zachód. Prawdopodobny cel to Ann Arbor w Michigan.

Ike'owi trudno było uwierzyć, że samotny cywil tak po prostu postanowił przejść z Nowego Jorku do Michigan.

– Potwierdź, Modliszko. Michigan?

– Dokładnie.

– Przyjąłem.

– Masz wyruszyć natychmiast. Bez odbioru.

Zapadła cisza. Ike oparł się o ścianę i rozważył swoje możliwości.

Trzymał straż na rogu Duane i Hudson Street, prowadząc równoległe działania do operacji sił JTF próbujących przebić się do Ratusza. Miał za zadanie uwolnić szóstkę żołnierzy JTF od lokalnych rozrabiaków, żeby mogli zająć Foley Square, zanim ruszą Centre Street do City Hall Plaza. Ze swojej pozycji widział całe Duane aż po południowy skraj Foley Square. Ulica przed nim i jednostką JTF, która szykowała się do wyruszenia punkt siódma, była zupełnie pusta. Słuchał ich pogaduszek na częstotliwości misji. Wszystko w normie.

Tam, gdzie stał, też było w normie, czyli banda morderców i złodziei jak zwykle kręciła się na niższych piętrach apartamentowca na północno-wschodnim rogu, naprzeciwko miejsca, gdzie opierał się o ścianę Duane Park Building. Nazywali siebie Duane Park Family – w skrócie DPF – i żądali haraczu od każdego, kto im się nawinął. Byli brutalni, więc w efekcie w okolicy pozostało niewielu cywilów.

Wywiadowcy JTF podejrzewali, że DPF sprzymierzyła się w jakiś sposób z większym i jeszcze bardziej brutalnym gangiem zajmującym obecnie Ratusz. A to oznaczało, że gdy usłyszą strzały, prawdopodobnie ruszą w tamtym kierunku. Ike miał wystrzelić flarę, gdyby to nastąpiło, i w miarę możliwości ich spowolnić.

Problem polegał na tym, że dostał teraz nowe zadanie. Modliszka

wezwała go do akcji, a on nie mógł odmówić.

Nie chciał też zostawić oddziału JTF ani kolegów z Division narażonych na atak z zaskoczenia, gdy będą zajęci docieraniem do Ratusza. Czuł się mocno rozdarty.

Była za pięć siódma.

Ike zerknął przez ramię na budynek za sobą. Parter był pusty – splądrowane małe sklepy – a powyżej ze dwadzieścia pięter mieszkań. Nigdy nie widział, by ktokolwiek tam wchodził lub stamtąd wychodził.

Zaczął mu się zarysowywać plan. Ike wymknął się za róg ku głównemu wejściu do budynku. Po przekątnej skrzyżowania zauważył, że członkowie Family dostrzegli jego obecność. Idealnie.

Za trzy siódma.

Ike uniósł M4 i ściał członków DPF kręcących się przed budynkiem po drugiej stronie skrzyżowania. Następnie wyrzucił magazynek, wbiegł do lobby apartamentowca, skierował się do recepcji i przykucnął za nią, wsuwając nowy magazynek.

Plan był prosty. Pobawi się w kotka i myszkę z DPF przez kilka minut, sprawiając, że skupią się całkowicie na nim, a potem zniknie i zraportuje kontakt ogniowy. W ten sposób odciągnie ich od akcji przy Ratuszu, a jednocześnie będzie mógł rozpocząć misję dla Modliszki. Wszyscy wygrają, poza DPF.

Ci członkowie Family, którzy utrzymali się na nogach po jego pierwszym ostrzale, ruszyli za nim na drugą stronę ulicy. Kolejni wysypali się z budynku z tyłu. Ike poczekał, aż zbiorą się przy drzwiach wejściowych do lobby; wyskoczył zza recepcji i opróżnił kolejny magazynek. Gdy iglica trafiła w pustą komorę, odwrócił się i pobiegł bocznym korytarzem. Nie obawiał się, że to ślepy zaułek. Dzięki przepisom przeciwpożarowym w takich nowszych budynkach ślepych korytarzy nie było w ogóle.

Kilkanaście metrów dalej mógł wybrać kierunek na lewo – z powrotem do części budynku wychodzącej na Hudson Street – albo na prawo, czyli w kierunku ramp załadunkowych i wyjścia pożarowego. Wybrał na prawo

i skręcił za róg, akurat gdy kule ścigających go członków Family uderzyły w ścianę z przodu.

Korytarz po prawej biegł prosto do drzwi pożarowych, ale po drodze było troje innych drzwi, wszystkie otwarte.

I ze wszystkich wyglądali przerażeni cywile.

„Cholera” – pomyślał Ike. „W tym budynku miało nikogo nie być”.

W dłoniach cywili pojawiła się broń. Zobaczywszy wyposażenie Division Ike’a, starali się omijać go swoimi strzałami, gdy wycofywał się w kierunku drzwi pożarowych, mijając kolejne otwarte drzwi. Chwilowo udawało im się powstrzymać członków Family, jednak to nie potrwa długo.

Ike musiał podjąć decyzję. Mieli przewagę, a on powinien być teraz gdzie indziej, ale nie chciał mieć na sumieniu całej bandy cywilów.

Dotarł do drzwi pożarowych i otworzył je.

– Wychodzić! Wszyscy! – wrzasnął. – Teraz!

Cywile zaczęli wysypywać się z otwartych drzwi. Ike zorientował się, że jedno z nich prowadziło do pralni, a kolejne do połączonych ze sobą biur. Wyszedł z tuzin ludzi, połowę stanowiły dzieci. Ci nieliczni, którzy byli uzbrojeni, wciąż stali w drzwiach, pilnując korytarza.

Ike zerknął przez ramię. Drzwi pożarowe wychodziły na małe atrium z windą. Na drugim końcu dostrzegł szklane drzwi, przez które widać było garaż.

– Idźcie – powiedział do cywili, wskazując głową szklane drzwi.

Gdy jedna z kobiet położyła dłoń na uchwycie szklanych drzwi, te wybuchły deszczem odłamków, a ją rozerwały kule padające z zewnątrz.

Ludzie z DPF domyślili się, dokąd zmierzają, i dotarli tam przed nimi.

Uzbrojeni cywile z wrzaskiem wpadli do atrium, strzelając przez drzwi do członków Family w garażu. Stali mu na drodze. Ike nie mógł celować w członków DPF. Poza tym pewnie jeszcze więcej było ich w korytarzu apartamentowca, gdzie czekali na kolejny ruch.

Spojrzał do tyłu przez drzwi pożarowe i przekonał się, że ma rację.

Nadchodzili. Pora podjąć drastyczne kroki. Kule odbijały się od stalowych drzwi pożarowych, gdy Ike za nimi przykucnął. Wyciągnął granaty z paska i poturlał je w głąb korytarza, jeden, drugi, trzeci, a potem przygotował się na wybuch.

Trzy eksplozje były niczym trzy kopnięcia w ramię. Okręcił się wokół drzwi i pobiegł korytarzem, mijając ciała i potłuczone płytki z sufitu. Pod butami chrzęściło mu szkło, gdy mijał skrzyżowanie korytarzy, a potem zanurkował przez wybite okno na Hudson Street. Pobiegł na południe aż do Chambers Street, po czym odbił w prawo.

Było osiem po siódmej. Słyszał terkot i stuk broni przy Ratuszu.

Nacisnął ekran zegarka.

– Tu agent Ronson – wydyszał, biegnąc. – Potrzebuję wsparcia i ratowników. Duane i Hudson. Wielu wrogów, ranni cywile. Powtarzam, potrzebuję wsparcia ogniowego i ratowników, ranni cywile.

Biegł, aż znalazł się w Battery Park City, gdzie zwolnił. Słyszał w uchu komunikaty JTF. *Pełne zaangażowanie, brak wolnych sił*. I wtedy ISAK dał mu sygnał, że inny agent Division jest w drodze na róg Hudson i Duane.

„Powodzenia, bracie” – pomyślał Ike. „Albo siostrze”.

Ruszył esplanadą do terminala promów w Battery Park City. Zimą terminal stał opuszczony, ale JTF zajęło go miesiąc temu i teraz wykorzystywało jako bazę patroli rzecznych.

Pozdrowił załogę łodzi, która właśnie nadpływała.

– Muszę dostać się do Jersey – powiedział, wskakując na pokład. – Teraz.

Widząc pomarańczowe kółko na jego zegarku i takie samo na plecaku, nie zadawali pytań. Ike był im za to wdzięczny.

Rozdział 16

AURELIO

Aurelio odebrał wezwania Ike'a Ronsona pięć minut po tym, jak zaangażował grupę wrogów, którzy strzelali z wejścia do stacji metra przy Chambers Street na rogu City Hall Park. Trzymał ich w ryzach, żeby główne siły JTF mogły dostać się w pobliże Ratusza, nie będąc ostrzeliwane z tyłu. Usłyszawszy prośbę Ronsona o wsparcie, musiał podjąć decyzję. JTF już prawie dotarło na miejsce, ale był pewien, że ostatnie straże gangu są jeszcze na stacji, za klatką schodową, gdzie Aurelio nie mógł się do nich dostać... Chyba że zszedłby na dół i tam ich dopadł.

Decyzję przypieczętowała prośba o ochronę cywilów. Ronson był przy Duane Park, niecałe pół mili od niego. Aurelio utrzymał pozycję, aż ostatki głównego oddziału JTF minęły Chambers Street. Wtedy odłączył się i ruszył z tyłu Ratusza wzdłuż Chambers, przebiegł Broadway Street do Duane Street i kontynuował równym tempem aż do Duane Park. Odgłosy walki za nim zmieniły się w chaotyczne echo. ISAK pokazał mu miejsce wymiany ognia, do którego wzywał Ronson: tyły apartamentowca po południowej stronie małego parku.

Aurelio wszedł do środka, widząc ciała dokoła wejścia. Nie znał Ike'a Ronsona zbyt dobrze, ale wiedział, że – jak wszyscy agenci Division – potrafi walczyć. Przechodząc i przyglądając się badawczo otaczającej go scenie, Aurelio domyślił się, że walka przeniosła się na sąsiedni korytarz, który prowadził na tyły budynku. Znalazł tam kolejne ciała i ślady wybuchów. Troje otwartych drzwi w ścianie po prawej było pocernione

i usiane odłamkami. Na samym końcu korytarza znajdowały się stalowe drzwi pożarowe, całe pokryte śladami po kulach.

Dotarł na koniec korytarza, zaglądając do wszystkich otwartych pomieszczeń. Dostrzegł w nich posłania, zapasowe ubrania i typowe rupiecie zdesperowanych ludzi. Powietrze było aż gęste od zapachu kordytu.

Przez pięciocentymetrową szparę w przymkniętych drzwiach pożarowych Aurelio dostrzegł krew na podłodze w przejściu. Popchnął drzwi i poczuł, że uderzają w coś ciężkiego i miękkiego. Wyświetlacz HUD w soczewkach nie pokazywał żadnego agenta w okolicy. Gdzie ten Ronson?! Nie słyszał komunikatu ISAK-a o zabitym agencie.

Aurelio przesunął stopę i popchnął drzwi mocniej. Otwierały się powoli, rozsmarowując łukiem gęstą krew. Wszedł do małego atrium z windą i rozbitymi szklanymi drzwiami po drugiej stronie.

I zobaczył cywili, których zgłosił Ronson. Czternastu. Pięciu mężczyzn, trzy kobiety.

Sześcioro dzieci.

Wszyscy martwi.

Aurelio automatycznie sprawdził godzinę. Siódma trzydzieści jeden. Ike Ronson wezwał pomoc dwadzieścia trzy minuty temu.

Chłonał tę scenę, próbując stłumić w sobie sprzeciw wobec widoku martwych dzieci i zachować chłodny umysł na tyle, by móc zrozumieć, co się tu wydarzyło. Trzech dorosłych było uzbrojonych. Znajdowali się bliżej roztrzaskanych szklanych drzwi, najwyraźniej próbowali bronić reszty. Betonową podłogę garażu za drzwiami pokrywały łuski. Reszta cywili skupiła się w najbardziej oddalonym od drzwi rogu. Aurelio rozsunął dwoje z nich, żeby przejść dalej.

Ani śladu Ike'a Ronsona. Ktokolwiek zabił tych wszystkich ludzi, przyszedł od strony garażu, to było jasne. Lecz Ronson walczył w korytarzu. Świadczyły o tym eksplozje granatów i liczne ciała, które ISAK oznaczył jako członków DPF.

DPF zagoniło Ronsona do budynku. Walczył z nimi. Gdzieś po drodze

zgarwał cywili do atrium z windą. I tam zginęli, próbując się bronić.

– ISAK – powiedział Aurelio. – Wskaż miejsce, z którego agent Ronson wezwał pomoc.

Zegarek Aurelia wyświetlił mały hologram. Pokazywał okolicę otoczoną ulicami Hudson, Chambers, Greenwich i Duane. Czerwona kropka migiała przy Chambers tuż na zachód od Hudson... Ponad sto pięćdziesiąt metrów od obecnej pozycji Aurelia.

Zabrało mu chwilę, zanim zyskał pewność, co widzi, lecz Aurelio był człowiekiem, który ufał dowodom. A dowody wskazywały na to, że Ike Ronson był daleko od miejsca walki, gdy wzywał pomoc.

A to oznaczało, że tych czternastu cywili zginęło, bo ich opuścił.

Aurelio poczuł czystą wściekłość, która falą gorąca rozlała się po jego twarzy i dłoniach. To byłoby tchórzostwo, gdyby tak zrobił cywil, ale zrozumiałe tchórzostwo. Dla agenta Division to był najwyższy stopień zdrady.

Spojrzał na ciała dokoła. Te dzieci mogły być jego dziećmi. Ci dorośli mogli być ludźmi z osady w Waszyngtonie, którzy opiekowali się Amelią i Ivanem. A zginęli przez Ike'a Ronsona.

Od tej chwili Ike Ronson był zbuntowanym agentem.

– ISAK – powiedział Aurelio. – Zlokalizuj agenta Ike'a Ronsona.

Chwila ciszy. A potem kolejny hologram nad zegarkiem Aurelia z jaskrawoczerwoną kropką pośrodku rzeki Hudson, przesuwaną się w stałym tempie w kierunku Jersey.

„A to sukinsyn” – pomyślał Aurelio. „Ucieka”.

W tym momencie Aurelio postanowił go ścigać.

Zaraz potem w jego uchu rozległ się głos sztucznej inteligencji ISAK-a:

– Ostrzeżenie. Zidentyfikowano wrogów. Wchodzą do budynku.

Wyświetlacz HUD pokazał Aureliowi cały parter. Grupa wrogów weszła do budynku frontowymi drzwiami. ISAK zidentyfikował ich jako członków DPF. Musieli zauważyć, jak wchodził. Czy myśleli, że jest tym samym agentem, który wcześniej porzucił cywili?

Nieważne. Aurelio doliczył się na wyświetlaczu dziewięciu postaci skupionych w lobby. Jeśli szukają jego, przejdą prosto na tył budynku i korytarzem w stronę drzwi pożarowych. Przeorientował wyświetlacz HUD, by objął też parking. Pusto. Przynajmniej na razie.

Ze względów praktycznych atrium z windą było kiepskim miejscem do obrony. Leżące ciała utrudniały poruszanie się, a dopóki Aurelio nie miał pewności, czy kolejni członkowie DPF nie pojawią się od strony garażu, musiał być gotowy do walki na dwa fronty.

Przemknął przez drzwi pożarowe i wszedł przez pierwsze otwarte drzwi na korytarzu. Przyklęknął w progu i czekał, aż pojawi się grupa wrogów.

Zauważył pierwszego i zdjął go trzema strzałami w tułów. Gdy zastrzelił pierwszego, drugi i trzeci właśnie wychodzili na korytarz. Unieśli broń, ale Aurelio miał ją już gotową do strzału, więc padli tuż obok pierwszego. Wyrzucił magazynek i wsunął nowy.

Zostało sześciu.

Korytarz zasypał grad kul. Żaden z nich nie wiedział, gdzie dokładnie jest Aurelio, więc próbowali przygwoździć go ogniem. W tym czasie inni będą szukać lepszej pozycji strzeleckiej albo spróbują zająć go od strony parkingu. Nawet agresywny motłoch naoglądał się dość telewizji, by przyswoić podstawy taktyki.

Nisko przykucnięty, wysunął G36 za framugę drzwi i posłał serię, by wygonić ich z korytarza. Ktoś w głębi zaczął wrzeszczeć, ale Aurelio nawet tam nie spojrzał. Podbiegł do kolejnych drzwi i się schował. Od skrzyżowania korytarzy, gdzie tylny hol łączył się z przejściem do frontowych drzwi, dzieliło go jeszcze około dziesięciu metrów. Aurelio ocenił, że ma jakąś minutę, zanim obejdą budynek i znajdą się na parkingu.

Gdy usłyszał odpowiedź ogniową DPF, uznał, że nadal koncentrują się na trzecich drzwiach. Nie zauważyli go. Myśleli teraz, że wiedzą, gdzie jest, jednak się mylili, a on mógł wykorzystać to przeciwko nim. Przydałby się granat, ale mu się skończyły. Zużył wszystkie przy wejściu do metra przy Chambers Street podczas akcji wokół Ratusza.

Miał jednak granat dymny. Odbezpieczył go i poturlał w głąb korytarza. Na jego widok członkowie gangu krzyknęli ostrzegawczo. Nie potrafili odróżnić granatu dymnego od odłamkowego.

To dało mu czas, by ruszyć w przeciwną stronę, przez drzwi pożarowe. Zamknął je za sobą i po cichu przemknął pomiędzy ciałami i przez potłuczone szklane drzwi do garażu.

Wyjście na ulicę było przed nim po prawej, wąski wyjazd z drzwiami dla pieszych tuż obok. Aurelio przeciął garaż po skosie, dzięki czemu miał dobry widok na część ulicy na zewnątrz. Przyłgnął do betonowego słupa i obserwował, zerkając do tyłu, gdy słyszał kule uderzające o metalowe drzwi pożarowe. Członkowie DPF w środku nadal strzelali na oślep. Prędzej czy później wyjdą, ale Aurelio zamierzał być już wtedy gdzie indziej.

I wtedy ich zobaczył. Trzech podbiegających do wyjazdu z garażu. Zwolnili i podeszli do drzwi atrium z windą.

– W życiu nas ten skurwiel nie zauważy – pochwalił się jeden z nich.

– Zauważy, jak się nie zamkniesz – odparł drugi.

Aurelio przesunął się za słupem. Byli kilkanaście metrów od niego, przystanęli, by zastanowić się, jak wejść do atrium. Długa seria z G36 z wysokości pasa położyła wszystkich trzech, zanim zdążyli się odwrócić.

Teraz pora zniknąć. Niech inni wyjdą i zobaczą, co się stało...

Nie. Bo wtedy pomyślał, że jest tym samym agentem, który porzucił tamte dzieci. Aurelio nie mógł na to pozwolić. Nie chciał, żeby rozeszła się wieść, że agent Division złamał przysięgę. Później Aurelio osobiście wyjaśni sobie tę sprawę z Ikiem Ronsonem, ale na razie zależała od niego reputacja całej Strategic Homeland Division i wszystkich jej agentów. Począł.

Kilka minut później drzwi pożarowe się otworzyły. Wyjrzał przez nie jeden z napastników. Aurelio czekał. Mężczyzna popchnął drzwi dalej, przeszukując wzrokiem garaż. Przytrzymał drzwi koledze. Aurelio przeliczył, że to w sumie dziewięciu. Sześciu zabitych, jeden ranny i tych dwóch przy drzwiach. Włączył z powrotem bojowy tryb wyświetlacza HUD i sprawdził, że ISAK nie wykrył w otoczeniu innych wrogów.

Czyli w porządku. Aurelio przestawił karabin na pojedyncze strzały. Wycelował w tego, który przytrzymał drzwi, i posłał kulkę. Krew opryskała framugę i cel padł. Drugi mężczyzna przykucnął, patrząc w kierunku Aurelia. „Właśnie tak” – pomyślał Aurelio. „Zobacz mnie. Łazisz po mieście zabijając dzieci, a ostatnią rzeczą, jaką w życiu zobaczysz, będę ja”.

Nacisnął spust ponownie.

Rozdział 17

VIOLET

Dwa dni po ataku przy stawie na Zamku zjawiał się patrol JTF z Wilem. Byli z nim Noah i Junie. Dziwnie było przez ten czas na Zamku bez Junie. Mike kuśtykał dokoła i starał się, jak mógł, żeby wszystko zorganizować, ale nie miał zbyt wiele siły, więc dzieci były raczej pozostawione same sobie.

Violet podbiegła, by ją przywitać, a potem odsunęła się, bo pokazali się Noah i Wiley. Wiley był blady, ale szedł o własnych siłach.

– W porządku? – zapytała go Violet. To było głupie i dość oczywiste pytanie, ale tylko tyle wymyśliła.

Pokiwał głową i usiadł na dużym krześle z boku wielkiego holu wejściowego na parterze.

– Tak. Czuję się znacznie lepiej, niż pierwszego dnia.

– Musieli kilka razy czyścić mu ranę – oznajmił Noah, gdy wokół zgromadziła się reszta dzieci. Junie obserwowała ich z miejsca, gdzie czekał patrol JTF.

– Czy mogłabyś poszukać Mike’a, Violet? – zapytała. – I powiedzieć mu, żeby przyszedł do nas do biblioteki?

– Okej. – Violet wbiegła po schodach i znalazła Mike’a odpoczywającego w jednej z wież Zamku. Były w nich fajne okna, które wychodziły na wszystkie strony. Powiedziała Mike’owi, że Junie wróciła, a on odpowiedział, że zaraz zejdzie.

Gdy wróciła na dół z wiadomością, Noah i Wiley’ego już nie było. Shelby i Ivana też nie.

– Pomagają Wiley’emu urządzić się na górze – wyjaśniła Junie. – Wy też możecie już iść.

Amelia, Saeed i Violet popatrzyli po sobie. Zrozumieli, że mają sobie pójść, ale chcieli usłyszeć, co Junie powie, gdy ich nie będzie. Oddalili się więc jedną z galerii na parterze Zamku, ale pozostali na tyle blisko, żeby móc zobaczyć, dokąd pójda Junie i patrol JTF, gdy Mike zejdzie na dół.

Okazało się, że miejscem spotkania jest dawny gabinet bibliotekarza, który później przekształcono w coś na kształt biura. Był tam stół konferencyjny i parę krzeseł oraz bezużyteczne komputery. Dzieci nie mogły się zaudto zbliżyć, ale przeszły na główną klatkę schodową, przy której znajdowały się drzwi do gabinetu. Tydzień wcześniej zorientowały się, że klatka niesie w górę dźwięki z parteru. Wspięły się na piętro i zaczęły nasłuchiwać.

– Jestem tu, by przekazać trudne nowiny – mówił ktoś. Nie rozpoznali głosu, więc to musiał być dowódca jednostki JTF. – Milicja, która rozpanoszyła się po wschodniej stronie miasta, szczególnie na obszarze wokół Kapitolu i na północnwschodnich terenach National Mall, umacnia się coraz bardziej. Przenieśli się do muzeów Smithsonian po obu stronach parku, do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej i do tych dwóch naprzeciwko Zamku.

– Kim oni są? – To był głos Junie.

– Cóż, niełatwo to przyznać, ale głównym trzonem grupy są dezenterzy z JTF. Prawdopodobnie połączyli się z innymi zbrojnymi milicjami, które już operowały w mieście, ale nie jesteśmy pewni. Zebranie informacji nie jest łatwe. Do tego nasze siły są rozciągnięte na bardzo dużym obszarze, bo dwie inne grupy rosną w siłę i coraz lepiej się organizują na zachodzie i na północy miasta. Bazę operacyjną mamy w Białym Domu i tereny wokół niego są bezpieczne, ale... Nie wiem, jak to wyrazić, więc powiem wprost. My...

– Nie będziecie już w stanie dłużej nam pomagać – dokończył Mike.

– Tak bym tego nie określił – odparł oficer. – Ale to prawda, że nie

będziemy już w stanie szybko reagować na zagrożenia. Powinniście rozważyć relokację.

– Niby dokąd? – prychnęła Junie. – Na południe woda i trucizna, a wszędzie indziej szaleńcy z bronią.

– Jest osada w Ford's Theatre i...

– Nie ma tam dla nas miejsca – przerwała mu Junie. – A gdzie reszta JTF? Gdzie reszta wojska? To jest przecież Waszyngton! Gdzie są ludzie, którzy powinni to wszystko ogarniać?

– Spokojnie, Junie – wtrącił Mike.

– Gówno, a nie spokojnie. My tutaj umrzemy. Gdzie są ludzie, którzy powinni zadbać o nasze bezpieczeństwo?

– Przybędą – powiedział oficer. – Proszę mi wierzyć. W tej chwili bardzo dużo dzieje się poza Waszyngtonem, ale rząd stanie wkrótce na nogi. Nie znam szczegółów, jednak tyle wiem. Proszę mi zaufać.

– Niby dlaczego? – Junie była wzburzona i nie zamierzała się hamować.

– Bo nie mam powodu, by was okłamywać. A gdybym miał was okłamać, to na pewno wymyśliłbym lepszą historyjkę niż kłopotliwa prawda, którą wyjawilem. – Oficer starał się nad sobą panować, dzieci to słyszały. Miał bardzo spięty głos.

Zapadła cisza. A potem Junie powiedziała:

– Okej. W porządku. Ale co mamy robić, czekając na to wszystko?

– Trzymajcie się blisko osad. Starajcie się kontaktować z nami i organizować dostawy, zamiast wyprawiać się po jedzenie. Cokolwiek byście robili, unikajcie wschodniego krańca National Mall. Generalnie nie opuszczajcie bezpiecznych stref.

– A gdzie są bezpieczne strefy? – zapytała Junie.

– No cóż... – odpowiedział oficer JTF. – Ich granice są płynne.

– To bardzo pomocne – odparła Junie. – Wielkie dzięki.

– Posłuchajcie, po prostu trzymajcie się jak najbliżej domu – wyjaśnił oficer.

– Niedawno w nocy widzieliśmy z domu strzelaninę – powiedziała

Junie. – Słyszeliśmy strzały. Widzieliśmy rozbłyski. Sto metrów od naszego domu. Jak blisko domu musimy być, żebyśmy czuli się bezpieczni?

– Czego ode mnie oczekujecie? – zapytał oficer. – Robimy, co możemy.

– W porządku – wtrącił Mike. – Rozumiemy.

– Ale mnie się to nie podoba – dodała Junie.

– Tja – Mike się zawahał. – Możecie chociaż powiedzieć nam, co się stało przy L’Enfant Plaza? – zapytał. – Z tym żółtym dymem, proszkiem czy cokolwiek to było?

Oficer JTF pokręcił głową i odparł:

– Nie wolno mi nic na ten temat powiedzieć.

– Dzieci mówiły, że agent Division powiedział im, że to niebezpieczne – odezwała się Junie.

Violet była pewna, że oficer przewrócił w tym momencie oczami. Wydawał się należeć do tych dorosłych, którzy nieszczególnie wierzą słowom dzieci.

– Proszę mnie posłuchać – odparł z pełnym frustracji westchnieniem. – To prawda. Nie chodźcie tam. Jednak jest mnóstwo powodów, by nie chodzić teraz do wielu miejsc w tym mieście. Więc nie zajmujcie się za bardzo tym, co zdawało się bandzie dzieciaków.

– A więc to jest niebezpieczne.

– Oczywiście, że tak.

– Czy jest niebezpieczne dla nas tu, w Zamku?

– Wydaje mi się, że nie... – odparł oficer. – Mówię szczerze. Na waszym miejscu omijałbym tamtą okolicę, ale nie obawiajcie się, to się nie przemieści. Szczególnie po deszczu. Pewnie większość i tak spłynęła już do rzeki.

– Kiepskie wieści dla ryb – mruknął jakiś głos na klatce schodowej pod nimi. Violet zerknęła w dół i zobaczyła, że czekają tam żołnierze JTF. Spojrzała na Saeeda i Amelię i przyłożyła palec do ust. W odpowiedzi pokiwali głowami.

– Poziom wody znów podniósł się w ostatnich dniach – kontynuował

oficer JTF w salce konferencyjnej. – Cokolwiek wydarzyło się na południu, tamta okolica została zalana. Naprawdę nie powinniście się tam wybierać.

– Czyli zasadniczo jesteśmy odcięci od świata – stwierdziła Junie. – Jak mówiłam. Na południu i zachodzie powódź i trucizna, wszędzie indziej szaleńcy z bronią, a wy nie wiecie, czy dacie radę nam pomóc.

– Pamiętajcie, że jesteśmy na północy. Będziemy patrolować okolicę na południe od Białego Domu aż po zalaną strefę oraz na zachód stąd. Robimy to samo dla innych osad, gdzie zgromadziło się wielu ocalałych.

Rozległ się szurgot krzesel, a potem stuk butów, gdy oficer dołączył do reszty patrolu JTF.

– Posłuchajcie – powiedział. – Cieszę się, że mogliśmy pomóc wam nad stawem. Gdy tylko zdołamy, zawsze przyjdziemy wam z pomocą. Ale w najbliższej przyszłości Waszyngton będzie miejscem trudnym do życia. Zanedbałbym swoje obowiązki, gdybym was o tym nie poinformował.

Kula Mike'a zaskrzypiała na kamiennej podłodze, gdy wychodził z salki.

– To chyba powinniśmy od razu umówić się na dostawę zapasów?

– Skoro już tu jechaliśmy, wziąłem od razu sporo rzeczy – oznajmił oficer. – Pomożemy wam je przenieść.

Choć z okazji otrzymania nowych zapasów wszyscy solidnie się najedli, atmosfera była przygnębiająca. Wieść o ostrzeżeniu od oficera JTF rozeszła się po Zamku jeszcze przed kolacją i o tym właśnie wszyscy myśleli – nawet jeśli próbowali rozmawiać o innych sprawach.

– Krótko mówiąc, jego zdaniem jesteśmy załatwieni – stwierdził Saeed.

– Nie – odpowiedziała Amelia. – Nie to miał na myśli. Mówił tylko, żebyśmy byli ostrożni.

Ivan spojrzał na nią i odparł:

– Domyślaliśmy się tego, prawda?

– Owszem – Amelia położyła dłoń na ramieniu młodszego brata.

– Hej, mam pytanie – powiedział Saeed, jakby dopiero w tym momencie zauważył ich obecność. – Wasz tata. Skąd wiecie, że był agentem Division?

Czy on to jakoś ogłosił, zanim sobie poszedł?

Patrzył na Ivana, zadając to pytanie, ale Ivan tylko spojrział na Amelię.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie było nas przy tym. Mama nam tylko powiedziała, że odszedł. A potem... Tydzień później ona też odeszła.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał Saeed i reszta. Violet postanowiła zmienić temat. Wszyscy byli nerwowi po tym, co podsłuchali z rozmowy z oficerem JTF.

– Hej, Wiley – powiedziała. – Możemy zobaczyć dziurę po kuli?

Była zaskoczona, gdy z uśmiechem odparł:

– Tak, pewnie. – Podciągnął koszulkę i ostrożnie odchylił opatrunek. Rana po kuli po prawej stronie jego żeber wyglądała jak fioletowy pomarszczony otwór, zszyty i otoczony drobnymi czarnymi plamkami. „To pewnie zaschnięta krew” – pomyślała Violet.

– Ojacie – powiedział Saeed. – Wygląda jak kratery na Księżycu, wiesz? Z tymi rozchodzącymi się zagłębieniami, pełnymi pokruszonych skał...

Och, tak, potwierdziło kilkoro z nich. Rzeczywiście tak to wyglądało. Saeed nawet sięgnął, jakby chciał dotknąć rany, ale Noah go powstrzymał.

– Ej, nie rób tego.

Saeed cofnął dłoń.

– Okej. Przepraszam. Ale to mi naprawdę przypomina... Wiecie, o co mi chodzi?

Wiedzieli.

– A z tyłu? – zapytała Amelia. – Wygląda tak samo?

– Nie wiem – odpowiedział Wiley. – Nie widziałem. – Cieszył się, że skupia się na nim cała ich uwaga. – Wiecie, że wcale tak bardzo nie bolało?

Nikt mu nie przypominał, jak bardzo płakał i szlochał, gdy został postrzelony. Pewnie każde z nich zachowywałoby się tak samo.

Gdy fala ekscytacji opadła, ucichli, wciąż patrząc na ranę. Wiley przyłożył z powrotem opatrunek, a Noah pomógł mu go dobrze przykleić. Potem zapadła cisza. To mogło być każde z nich. I mogło się skończyć o wiele gorzej.

– Co robimy? – zapytała Shelby. – Skoro jesteśmy odcięci, to co robimy?

– Wcale nie jesteśmy odcięci – odparła Violet.

– Właśnie – poparł ją Saeed. – Tylko musimy być ostrożni.

– Już byliśmy ostrożni – zwróciła uwagę Shelby. – I zobaczcie, co się stało.

– Cóż... – powiedział Wiley. – To chyba musimy być jeszcze ostrożniejsi.

Choć wszyscy się roześmiali, równocześnie każdy poczuł strach. Dorośli nic im nie mówili, a oni wiedzieli, że to nie wróży nic dobrego.

AURELIO

W ciągu tych dwudziestu minut, które Aurelio spędził na eliminowaniu niedobitków z DPF, pod Ratuszem było już pozamiatane. Oficerowie JTF przewidywali, że gang rozproszy się, gdy tylko JTF przebiję się na ich teren. Zwykle tak się działo z gangami. Udawali, że utrzymują paramilitarną hierarchię i wojskową dyscyplinę, ale gdy trzeba było odeprzeć atak, szli w rozsypkę.

Spróbował skontaktować się z porucznik Hendricks na Pocztę, ale była zajęta sprawami operacyjnymi. Potem sprawdził status Ronsona w ISAK-u. Jeśli miał złożyć raport o porzuceniu służby przez Ronsona, musiał mieć wszystko poukładane. Oświadczenie, że agent zdezerterował, to poważna sprawa. Aurelio nigdy dotąd nie wnosił takiego oskarżenia, ale nie umiał inaczej zinterpretować zachowania Ronsona.

ISAK wskazywał, że Ronson wykonuje obecnie misję. I tyle. Żadnych informacji o tym, że zwiął i że przez niego zginęło wielu cywili.

Gdy o tym pomyślał, znowu zagotował się z gniewu. Tak naprawdę to chciał wsiąść na jakąś łódkę i ruszyć za Ronsonem.

Poszedł jednak na Pocztę i poczekał, aż porucznik Hendricks dokończy spotkania i raporty dotyczące zakończonej akcji. Czekał przy jej biurku i widział ją przez okno sali odpraw. W którymś momencie przesunęła wzrok i spostrzegła go, ale dopiero po dobrej godzinie wyszła z sali i wróciła do biurka.

– Co pana sprowadza, agencie Diaz? – zapytała.

– Nic dobrego – odparł Aurelio. – Odłączyłem się dziś rano od operacji przy Ratuszu, bo niejaki Ike Ronson wysłał sygnał SOS. Gdy tam dotarłem, znalazłem grupę zabitych cywili i ani śladu Ronsona. Wyświetliłem jego lokalizację i okazało się, że jest na łodzi i płynie na drugą stronę rzeki.

Hendricks zastanawiała się przez chwilę.

– Czy ty twierdzisz to, co wydaje mi się, że twierdzisz?

– Twierdzą, że wezwał wsparcie, a potem zwiął z miejsca walki. W efekcie zginęło wielu ludzi.

Hendricks włączyła interfejs ISAK-a na swoim ekranie.

– Według ISAK-a akcja została zakończona, a on podjął w związku z nią jakiś trop i dlatego przepłynął rzekę.

– Widziałem to – odpowiedział Aurelio. – Ale jeśli zechce pani pofatygować się ze mną do Duane Park, to pokażę pani, że jest inaczej.

– To bardzo poważne oskarżenie, agencie Diaz.

Aurelio pokiwał głową.

– Owszem. I nie składam go z lekkim sercem. Ike Ronson zgłosił fałszywy alarm i porzucił służbę. Zagroził mojemu życiu i spowodował śmierć kilkunastu osób, które miał chronić. Jakby na to nie patrzeć, został dezzerterem.

– Wpiszę ten status do ISAK-a – oznajmiła Hendricks. – Gdy zobaczy, że zegarek świeci mu się na czerwono, albo ruszy do najbliższej bazy SHD i wszystko wyjaśni, albo...

„Albo będzie uciekać dalej tam, dokąd zmierza” – pomyślał Aurelio.

Doskonale wiedział, którą z tych opcji uważa za bardziej prawdopodobną.

– Dlaczego ISAK jeszcze go nie oznaczył? – zapytał Aurelio. Zwykle system był w stanie stwierdzić na podstawie przemieszczania się agenta i jego działań, że został dezzerterem. Powinien był oznaczyć Ronsona w chwili, gdy oddalił się z miejsca akcji przy Duane Park.

Hendricks wpatrywała się w ekran.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie mogę dokonać stąd formalnej oceny,

czy zrobił coś złego. Po pierwsze to wykracza poza moje uprawnienia nawet w stosunku do zwykłego personelu JTF. A po drugie, jak doskonale pan wie, to nie my oceniamy, czy agent Division się zbuntował czy nie.

– Rozumiem – odpowiedział Aurelio. – Ale gdy zobaczyłem, że ISAK go nie oznaczył, uznałem, że powinienem to zgłosić.

– I właśnie to pan zrobił. Dodałam pański raport do jego profilu operacyjnego. – Hendricks wstała od biurka. – ISAK nadal nie oznacza go jako buntownika. Może coś się za tym kryje, nie wiadomo.

Aurelio pomyślał przez chwilę.

– Możliwe – odparł. – Ale ja się dowiem.

– Myślałam, że wraca pan do Waszyngtonu.

I to było sedno sprawy. Aurelio rzeczywiście chciał wrócić do Waszyngtonu. Mógł tam robić lepszą robotę i może udałoby mu się dopilnować Ivana i Amelii.

Ale jeśli teraz tam wyruszy, pozwoli, by Ike Ronson uniknął odpowiedzialności za śmierć dzieciaków, które miały takie samo prawo żyć, jak Ivan i Amelia. To byłoby wbrew wszystkiemu, co przysięgał, gdy zostawał agentem Division.

Ike Ronson najwyraźniej wybrał jakieś inne zobowiązania. Aurelio nie miał zamiaru iść w jego ślady.

– Ronson nie porzucił tej akcji, żeby skoczyć po kanapkę – stwierdził. – Miał jakiś powód. Teraz wykonuje polecenia kogoś innego. Najistotniejsza rzecz, jaką mogę zrobić, to dowiedzieć się, kto to jest.

– Dla mnie ma to sens – odpowiedziała Hendricks. – Jeśli zdezerterował, to mam nadzieję, że go pan znajdzie i przyciśnie, agencie Diaz.

– Znajdę go. – Odczekał chwilę, gdy Hendricks kiwała głową i otwierała nowy ekran na swoim komputerze, a potem dodał: – Ale potrzebuję pomocy w pewnej sprawie.

Spojrzała na niego.

– A w jakiej?

– Jego łączność. Ktoś musiał z nim rozmawiać. – ISAK miał niemal

całkowity nadzór nad wiadomościami cyfrowymi i głosowymi zarówno agentów Division, jak i personelu JTF. To był kluczowy element, dzięki któremu Division mogło błyskawicznie reagować. Aurelio uważał, że zapis komunikacji Ike'a Ronsona z tego poranka pomógłby zawęzić możliwy zakres jego lokalizacji i celu.

– Chce pan, żebym przejrzała jego komunikaty?

– To bardzo by pomogło. Jeśli dowiemy się, z kim prowadził rozmowy, to może się wyjaśni, dokąd zmierza. I po co.

Widział, że Hendricks nie podoba się ten pomysł. Aurelio prosił ją o podsłuchanie agenta Division w oparciu wyłącznie o jego analizę danych z akcji, która z jej perspektywy mogła być jedynie tragicznym niepowodzeniem. Elementem swobody gwarantowanym przez Dyrektywę 51 było to, że agenci Division nie odpowiadali przed JTF, więc właściwie Aurelio prosił Hendricks, żeby dokonała kontroli agenta, który nie podlegał jej rozkazom.

– Nie proszę o ocenę – dodał. – Tylko o informację, żebym mógł podjąć właściwą decyzję.

– Okej – odpowiedziała Hendricks po chwili milczenia. – To mogę zrobić. Ale dopiero pod koniec dnia.

– W porządku. – Aurelio wstał. – Dziękuję, pani porucznik.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że myli się pan co do Ronsona, ale jeśli ma pan rację, to proszę dorwać tego sukinsyna.

– Taki mam plan.

Aurelio opuścił budynek Poczty i ruszył na zachód Trzydziestą Czwartą w kierunku Hudson Yards. Ike Ronson miał trzy godziny przewagi, a ISAK twierdził, że nadal jest w New Jersey. Tyle Aurelio wiedział. Logicznym krokiem było znalezienie jakiejś łodzi i zebranie informacji, gdy znajdzie się po drugiej stronie rzeki.

Dopiero późnym popołudniem udało mu się znaleźć transport do Jersey

na łodzi patrolowej JTF. Zeskoczył z niej na przystani w Weehawken, która teraz stanowiła bazę operacyjną JTF, obejmującą sąsiedni park oraz drogi dojazdowe do tunelu Lincolna. ISAK wskazywał, że Ronson jest na międzystanowej nr 80, już prawie w Pensylwanii. Jego status nadal się nie zmienił. Dla ISAK-a Ike Ronson nadal był agentem Division o dobrej reputacji.

Wyprzedzał Aurelia o siedemdziesiąt mil. Biorąc pod uwagę braki paliwa w całym kraju, prawdopodobnie załapał się na jakiś konwój JTF. Jeśli jednak zdradził, to mógł zabrać go ktoś inny.

W tych rozważaniach było zbyt wiele niewiadomych, więc Aurelio skupił się na tym, co mógł zrobić dobrze. Ruszył do bazy operacyjnej i znalazł barak dowództwa na skraju betonowej przestrzeni pasów wjazdowych do tunelu. Powietrze wypełniał zapach oleju napędowego. W wejściu do baraku dowództwa stał zmęczony oficer JTF. Zobaczył Aurelia i skinął głową.

– Cześć – powiedział Aurelio. – Słuchaj, jest może jakiś sposób, żebym zabrał się na którąś z ciężarówek?

– A dokąd?

„W tym właśnie problem” – pomyślał Aurelio. Dokąd zmierzał Ike Ronson? Wyświetlił lokalizację Ronsona w ISAK-u, który wskazał, że Ronson znajduje się tuż przed Stroudsburgiem w Pensylwanii.

– Do Stroudsburga? – zasugerował.

Oficer sprawdził grafik.

– Nikt się tam dziś wieczorem nie wybiera. Ale mogę wysłać cię do Harrisburga.

„Harrisburg” – pomyślał Aurelio. To było daleko za Stroudsburgiem, a nie wiedział, czy Ronson zatrzymał się w Stroudsburgu, czy tylko odpoczywał przed wyruszeniem w dalszą drogę. Mimo wszystko z Harrisburga miałyby bliżej niż stąd.

– Skorzystam – powiedział. Oficer wskazał na ciężarówkę stojącą po drugiej stronie wjazdu do tunelu. Aurelio podszedł tam i znalazł kierowcę,

który przymocowywał do ściany naczepy wózek widłowy.

– Jedziesz do Harrisburga?

Kierowca naciągnął odpowiednio linę i zszedł z naczepy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, gdy tylko znalazł się na asfalcie.

– Jak tylko się wysikam i wezmę kanapkę – odpowiedział. – A co, podwieźć cię?

– Dokładnie tak – powiedział Aurelio.

– Spoko. – Kierowca skierował się do niskiego budynku obok baraku dowództwa. Przez ramię zawołał: – Też chcesz kanapkę?

– Pewnie – odpowiedział Aurelio. Kierowca pokazał mu uniesiony kciuk. Aurelio obszedł kabinę ciężarówki i wsiadł od strony pasażera.

Rozdział 19

APRIL

Czwartego dnia na kanale April wreszcie się odprężyła.

Płynęła na barce wielkości dwóch naczep ciężarowych, długiej na piętnaście metrów i szerokiej na jakieś sześć. Pokład dzielił się na trzy części: miejsce dla załogi, zagrodę dla zwierząt i przestrzeń ładunkową. Miejsce dla załogi – bliżej dziobu – było zadaszeniem z belek, płyt pilśniowych i plandeki. Zagroda dla zwierząt, zajmowana przez tuzin owiec i jagniąt, znajdowała się na burcie. Pośrodku ułożono stosy worków, skrzynek oraz tego, czego nie dało się włożyć ani do worka, ani do skrzyni: mebli, elementów z kutego żelaza, silników samochodowych czy piramid z opon. Wzdłuż relingu sterburty leżał maszt i starannie złożony żagiel.

Pierwsze trzy dni spędzili, płynąc najpierw Hudson, a potem Mohawk River, aż do Utiki i Rome. Zwykle barka przemieszczała się dwadzieścia cztery godziny na dobę, ciągnięta przez konie lub muły idące brzegiem kanału. Dawniej prowadził tędy trakt holowniczy, ale teraz zwierzęta wykorzystywały wyasfaltowane ścieżki rowerowe. Musieli dość często zatrzymywać się przy śluzach. Za każdym razem lokalna załoga spuszczała wodę z komory śluzy, aż zrównała się z niższym poziomem i otwierała wrota, a następnie wpuszczano wodę z powrotem, żeby poziom wyrównał się z tym za drugimi wrotami. Całą tę pracę trzeba było wykonać ręcznie, więc pokonanie każdej śluzy zajmowało około godziny. Na szczęście na razie żadne wrota się nie zacięły. Pilot barki powiedziała, że to zdarza się właściwie podczas każdej podróży. Sonia Whitmore służyła kiedyś

w marynarce i żeglowała rekreacyjnie, a teraz wraz ze swoją partnerką Julią i ich dwoma synami tworzyła załogę barki towarowej.

April była zdumiona widokiem kompletnej rodziny. Na Manhattanie takie cuda się nie zdarzały.

– Owszem, udało nam się – potwierdziła Sonia. Chłopcy, dwunastoletni bliźniacy o imionach Tim i Jake, zwijali linę na dziobie, obserwując konie na ścieżce. – Łut szczęścia.

Według Soni i Julii Dolarowa Grypa dotknęła Albany i okolic, ale nie z taką zjadliwością, jak w większych, gęściej zaludnionych miastach. Nie wiedziały, jaki dokładnie procent ludzi zmarł.

– Dużo. Teraz jest o wiele ciszej, nawet uwzględniając brak prądu, czyli brak telewizji, radia w samochodach i tak dalej.

Gdy wkrótce okazało się, że w najbliższym czasie nie pojawi się ani prąd, ani benzyna, ludzie wzdłuż kanału Erie zaczęli dostrzegać w nim potencjalny substytut transportu drogowego. Międzystanowe autostrady zabiły ruch na kanale w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, teraz los się odwrócił.

– Więc ruszyliśmy w dół rzeki, aż znalazłyśmy barki nadające się do użytku, przyciągnęłyśmy je z powrotem i zabrałyśmy się do pracy – powiedziała Sonia.

– Słyszałam, że jesteście w stanie dotrzeć do Buffalo w tydzień, czy to prawda? – April nie była pewna, jak pokona resztę drogi, ale starała się być metodyczna w planowaniu. Ta cecha charakteru wielokrotnie ocaliła jej życie w ostatnich miesiącach.

– Jeśli po drodze nie ma zaciętych śluz ani żadnych innych problemów, to owszem – odpowiedziała Sonia.

– A jak często zdarzają się problemy?

– Cóż, płynęłam tą trasą... Pomyślmy – Sonia zastanowiła się. – To jest czwarty raz. Musiałyśmy poczekać z wyruszeniem na poprawę pogody. Kłopoty miałyśmy tylko raz, jednak to wystarczyło, żebyśmy zadbały o zabezpieczenia... – Wskazała głową strzelbę April opartą o reling przy

zadaszeniu.

Przy pierwszej śluzie, tam, gdzie zostawił ją Blake, April zapytała o możliwy transport. Pierwsze pytanie, jakie padło, dotyczyło broni: czy potrafi ją obsługiwać? Gdy odpowiedziała, że tak, członek załogi śluzy zawołał Julię, która z kolei zawołała Sonię i dwie godziny później April miarowym tempem przemieszczała się na zachód kanałem Erie. Trzymali straż na okrągło, jedna osoba z bronią na dziobie i druga na rufie. Z przodu było lepiej, bo nie czuło się zapachów z owczej zagrody.

I tam właśnie April była rankiem czwartego dnia, gdy opuściły ostatnią śluzę przed długim odcinkiem otwartych wód – jeziorem Oneida. Ze względu na liczne zabudowania tuż nad brzegiem nie dało się tutaj używać koni, więc musieli żeglować. April pomogła postawić maszt i naciągnąć żagiel, a potem się usunęła. Nie miała pojęcia o żeglowaniu. W górnej części stanu Nowy Jork panowała wiosna i wiał wiatr, ale głównie z zachodu, więc Julia i chłopcy musieli się napracować, halsując zygzakami po jeziorze.

– Do drugiego ujścia kanału mamy dwadzieścia mil, ale przepłyniemy raczej pięćdziesiąt, żeby się tam dostać – zauważyła Sonia, obserwując, jak Julia i chłopcy pracują z żaglem. – Na dodatek ta łajba się buja, jakby nią diabeł kołysał. To naprawdę długo potrwa.

– Nie śpieszy mi się – odpowiedziała April. To nie była prawda, ale tak wypadało powiedzieć. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że w dwudziestym pierwszym wieku żegluje na barce towarowej po kanale Erie. Jakże kruche okazały się fundamenty współczesnej cywilizacji. Znika prąd i cofamy się o ponad sto lat... Chyba że jest się członkiem rządu albo JTF. W paru miejscach wzdłuż kanału April dostrzegła światło elektryczne. Sonia wyjaśniła jej, że ludzie uruchamiali wiatraki i inne źródła prądu, ale te działały tylko lokalnie.

Wszystko działało tylko lokalnie. To była ogromna różnica między teraźniejszością a światem sprzed wirusa.

W tej nowej rzeczywistości okoliczności mogły się zmienić drastycznie po kilku godzinach marszu. April miała zamiar pokonać sześćset mil,

ścigając widmo szczepionki, a także widmo prawdy o tym, dlaczego Bill zginął. Nie musiała tego robić. Mogła zatrudnić się na jednej z barek albo ułożyć sobie życie od nowa w jednym z miast lub miasteczek wzdłuż trasy kanału. Nie wszędzie było jak w Nowym Jorku. Oczywiście nawet tu, na jeziorze Oneida, ludzie z bronią stali na pokładzie, obserwując z dziobu i rufy, czy z lasów nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, ale wartownicy tak naprawdę nie spodziewali się kłopotów. Widać było to po sposobie, w jaki się rozglądali, z bronią opartą swobodnie o krzesło albo reling. W Nowym Jorku tacy wartownicy byliby gotowi do strzału przez cały czas. April uświadomiła sobie, jak bardzo przyzwyczała się do takiego trybu życia – do myślenia, że w każdej chwili ktoś może próbować cię zabić dla czegoś, co być może masz w kieszeni.

Nie za to, co w tej kieszeni masz, tylko za to, co tam mieć możesz. Przez ostatnie pięć miesięcy żyła w miejscu, gdzie ludzie tracili życie za pudełko kostek rosołowych albo kieszonkowy scyzoryk.

A teraz... Na brzegu jeziora stały wypalone domy, ale stały też całe. Ktoś wędkował z moła i pomachał do barki. April odmachiała.

Mogłaby się do tego przyzwycząić. Ale nie robi tego. Miała zadanie do wykonania i wykona je. A potem...

„Niech przyszłość sama się o siebie zatroszczy” – stwierdziła. „Ty radź sobie z tym, co masz przed sobą”.

– Jak już wrócimy na kanał – zawołała przez wiatr Sonia – będziemy musieli być ostrożniejsi! Tam jest taki... Nie wiem, jak ich nazwać. Gang, kult czy coś. Czasem próbują nas zatrzymać i zawsze domagają się nie wiadomo czego za skorzystanie z ich koni.

– Będę gotowa – powiedziała April.

– Przepraszam – dodała Sonia. – Widziałam, że się odprężyłaś, i pomyślałam, że wolę zepsuć ci nastrój teraz, niż żebyś była zaskoczona potem.

April się roześmiała.

– Dzięki, to bardzo uprzejme.

Wiatr się zmienił i barka skręciła. Byli w połowie jeziora.

– Nigdy wcześniej nie żeglowałam – powiedziała April.

– To się raczej nie liczy – odparła Sonia. Podeszła do ładunku i wsunęła jedną ze skrzyń na miejsce. April dołączyła do niej, sprawdzając, czy ładunek nie przesuwa się za bardzo, gdy barka kołysze się przy skrętach.

– Pewnego dnia – powiedziała Sonia – gdy to wszystko się skończy, powinnaś naprawdę pożeglować. Kto wie, może jak już załatwisz te swoje sprawy w Michigan, będziesz wracać tą samą drogą. Wtedy nas poszukaj.

„Co za perspektywa” – pomyślała April. „Dokończyć to i żyć dalej”.

– Byłoby wspaniale – odpowiedziała.

Sonia wyczuła nutę żalu w jej głosie i spoważniała.

– A tak w ogóle to po co się tam wybierasz? To znaczy co zamierzasz?

„Długo by opowiadać” – pomyślała April.

– Cóż, to zabrzmiało jak wariactwo, ale mój mąż został zabity tuż po Czarnym Piątku i wydaje mi się, że ktoś w Michigan wie dlaczego.

– Och – westchnęła Sonia. – Przykro mi.

April pokiwała głową.

– Czasem żałuję, że nie umarł z powodu wirusa. Wtedy opłakiwałabym go i jakoś bym się z tym pogodziła i żyła dalej. Ale to... Nie mogę odpuścić.

Sonia milczała przez jakiś czas. Julia i chłopcy nie słyszeli ich rozmowy. Nadal ze skupieniem zajmowali się walką z żaglem, by utrzymać go pod odpowiednim kątem do wiatru przeciwnego. I wtedy Sonia powiedziała:

– Cóż, w obliczu tego całego rozpadającego się świata chyba lepiej mieć jakąś obsesję, która sprawi, że rano chce ci się wstać.

April nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Też tak czasem myślę. Jednak dobrze byłoby wiedzieć i... nie cierpię tego sformułowania, ale w jakiś sposób to zamknąć. Dobrze byłoby to wreszcie zamknąć.

Sonia patrzyła na swoją rodzinę.

– Tak, nie wiem, co bym zrobiła, gdybym któreś z nich straciła.

– Wszyscy przetrwaliście wirusa – odparła April. – Najtrudniejsze już za

wami.

„Chyba że wirus wróci” – pomyślała. Ale nie miała zamiaru mówić tego na głos.

Późnym popołudniem dotarli do miasteczka Baldwinsville, gdzie musieli przepłynąć przez śluzę, żeby ominąć bystrzyny na rzece Seneca. Po wypłynięciu z jeziora ściągnęli maszt i znów ułożyli go wzdłuż relingu na sterburcie. Był niemal tak samo długi jak kadłub barki.

– O tym miejscu ci mówiłam – powiedziała Sonia, gdy czekali na obniżenie poziomu wody w śluzie. Julia była na brzegu i płaciła chłopakowi, który prowadził ich zaprzęg od zachodniego brzegu jeziora Oneida.

Wrota śluzy otwarły się ze zgrzytem, a chłopak poprowadził konie na przód. Gdy tylko znaleźli się w śluzie, rzucił linę holowniczą i szybko się zawinął. April domyśliła się, że nie chce przebywać w pobliżu Baldwinsville ani chwili dłużej, niż musi.

Grupa uzbrojonych brodatych mężczyzn wyszła ze starego hotelu po drugiej stronie kanału do ścieżki holowniczej. Jeden z nich, starszy i bardziej siwy niż reszta, stał na ich czele.

– Będą wam potrzebne konie.

– Racja, Deacon – odpowiedziała Sonia. – Z przyjemnością dobijemy uczciwego targu, żeby z nich skorzystać.

– To się zobaczy.

April nie zwracała uwagi na negocjacje, które zaraz potem nastąpiły. Obserwowała ludzi Deacona z dziobu łodzi. Strzelbę trzymała w rękach, jednak jej lufę skierowała w dół – w kierunku lustra wody. Ludzie Deacona wyglądali jak wszyscy żyjący w izolacji fanatycy – podejrzliwi i wygłodniali, jakby pełni nadziei, że coś pójdzie nie tak i będą mogli zabić w imię tego czegoś, w co wierzyli.

Skoncentrowała się na nich tak, że nie od razu zauważyła wskazującego na nią Deacona, który najwyraźniej coś do niej powiedział.

– Przepraszam, co?

– Pytałem, skąd jesteś.

– Z Albany – odpowiedziała April.

– Ale wcześniej. Widziałem już takie plecaki. Jesteś z tej agencji rządowej.

– Nie. To tylko plecak. – April uniosła najpierw jedną rękę, a potem drugą, przekładając strzelbę. – Widzisz? Nie mam zegarka. Skoro ich widziałeś, to wiesz, że noszą zegarki.

– Cóż – powiedział starzec. – Ostatnio wiedzieliśmy tu sporo rządowych. Konwoje, helikoptery. Duży ruch na przelotówce. Mijają nas i nie sprawiają kłopotów, ale jeśli jesteś jednym z nich, to przekaz im, że jeśli oni nas nie zaczepiają, to i my ich nie zaczepiamy. Jesteśmy wolnymi ludźmi.

– Rozumiem – powiedziała April.

– To jesteśmy dogadani, Deacon? – Sonia trzymała w rękach plastikowy pojemnik. April nie widziała, co w nim jest, ale sądząc po ustawieniu stóp Soni, musiało to być coś ciężkiego.

Deacon spojrzał na nią, jakby zastanawiał się nad czymś, ale jeszcze nie był gotów o tym powiedzieć. A potem skinął na jednego ze swoich ludzi, który odłączył się od grupy i pobiegł przez most w dole rzeki. Po kilku minutach pojawił się po drugiej stronie kanału z zaprzęgiem mułów. Razem z nim szedł jakiś chłopiec.

Gdy przymocowano liny holownicze, człowiek Deacona potargał chłopcu włosy i wrócił przez most.

– Zadbajcie, by miał się gdzie przespać – powiedział Deacon.

– Tak jak ostatnio – odparła Sonia. – Oczywiście.

Deacon pokiwał głową. Wskazał w stronę Tima i Jake'a, którzy właśnie skończyli mocowanie lin holowniczych.

– Powinnyście zostawić tych chłopaków tutaj – stwierdził. – Wychowalibyśmy ich.

April spostrzegła, że Sonia próbuje ukryć strach. Zerknęła na Julię i dostrzegła tę samą obawę. To była chwila pełna napięcia. April przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę i uniosła strzelbę tuż powyżej biodra.

– Nie, dzięki, Deacon – odpowiedziała Sonia. – Muszą mi pomagać na barce.

Długo patrzył jej w oczy z jednoznacznym wyrazem niesmaku i pogardy na twarzy.

– Oferta zawsze aktualna – odparł. – Lepiej ruszajcie.

Śluza otworzyła się ze zgrzytem, barka powoli przepłynęła przez jej wrota i znalazła się w głównym nurcie rzeki Seneca. April obserwowała grupę mężczyzn, aż zniknęli za pierwszym zakolem rzeki. Wtedy głęboko odetchnęła.

– Wirus cofnął nas wszystkich w czasie – rzuciła Julia w zmierzch. – Niektórych dalej niż innych.

Rozdział 20

VIOLET

Po ataku przy stawie dorośli na Zamku ustalili nowe zasady. Wszystkie wyprawy w poszukiwaniu żywności musiały odbywać się w dużych grupach i z bronią. Mieli zamiar codziennie kontaktować się z JTF, żeby uzyskać informacje o działaniach okolicznych zbrojnych gangów. Chcieli też złożyć petycję do JTF, żeby przywieźli im broń, a może nawet urządzili na Zamku stały garnizon.

A dzieci nie mogły się oddalać dalej niż przecnicę od terenów Zamku bez opieki dorosłego.

Protestowały, ale biorąc pod uwagę Wiley'ego, wiedziały, że to dobry pomysł. Przez mniej więcej miesiąc Waszyngton wydawał się dość bezpieczny, ale teraz znów sytuacja się zmieniła. Musieli się dostosować.

Zaczęli więc spędzać całe dnie na terenie Zamku, wypełniając powierzone im obowiązki albo grając w różne gry. Junie wspominała o założeniu szkoły, ale wszyscy na Zamku mieli zbyt wiele zajęć, by udało się ją rozkręcić.

Trzy dni po powrocie Wiley'ego zmieniła się pogoda – było słonecznie i parno. W takie dni Violet żałowała, że na terenie Zamku nie ma basenu zamiast paru małych sadzawek z zatechłą wodą i robalami. Saeed znalazł gdzieś kredę, więc grali w kwadraty piłką do nogi, którą Ivan zabrał z pierwszego obozu w hotelu Mandarin. Wiley przyglądał się im z przytchanego z biblioteki fotela.

– Tylko żeby wam piłka nie wpadła do ogrodu – powiedział ktoś z dorosłych, mijając ich. Obiecali, że będą jej pilnować.

– Myślicie, że zorientowaliby się, gdybyśmy poszli gdzieś bez dorosłego? – zapytał Ivan, gdy już siedmioro z nich znalazło się poza kwadratami. Wszyscy dorośli wyszli na poszukiwanie jedzenia albo robili coś w budynku. – Przecież nie mogą nas pilnować cały czas.

– Pewnie nie – powiedziała Violet. Czuła się na Zamku jak w pułapce. Jednocześnie dobrze jednak było wiedzieć, że ktoś o nich dba. Mike i Junie bardzo dbali o ich bezpieczeństwo. A było pewnie mnóstwo innych dzieci, o które nikt się nie troszczył.

Po chwili znudziło jej się granie w kwadraty. Było za gorąco, żeby spędzić cały dzień na zewnątrz. Poszła z powrotem do Zamku z nadzieją, że znajdzie jakąś książkę, która nie będzie ani książką naukową, ani historyczną. Wewnątrz Zamku, dzięki grubym kamiennym murom, było o wiele chłodniej. Violet powoli rozejrzała się po bibliotece mieszczącej się na parterze. Większość książek zniknęła – ktoś mówił, że ludzie palili je zimą, żeby się ogrzać – ale trochę jeszcze zostało. Przeważały nudziarstwa o historii Waszyngtonu i muzeów Smithsonian, ale natrafiła na kilka ilustrowanych książek o wyprawach do różnych miejsc na całym świecie.

Kartkując je, Violet zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek zobaczy któreś z nich. Nigdy nie była poza Stanami Zjednoczonymi, nie licząc jednej wizyty w Toronto, gdy tata zabrał ją dawno temu na jakąś konferencję. Pamiętała widok z wieży CN Tower. To był słoneczny dzień i mogła dostrzec miasto Niagara Falls. Tamtędy właśnie wjechali do Kanady, a w drodze powrotnej z Toronto zatrzymali się, żeby zobaczyć wodospady.

A teraz na świecie panował chaos i pewnie nigdy już nie znajdzie się tak daleko. Widoki wspaniałych odległych miejsc przygnębiały ją. Nigdy nie odwiedzi Tadź Mahal, piramid czy Wielkiego Muru Chińskiego.

Sama nie mogła nawet wyjść poza najbliższą przecznicę.

Violet zatrasnęła książkę i beczynn timer siedziała w chłodnym półmroku biblioteki. Słyszała ludzi przechodzących atrium pomiędzy biblioteką

a głównymi drzwiami Zamku. Rozmawiali o wyprawie po jedzenie, z której właśnie wrócili.

– Mówię ci, będziemy musieli zacząć wyprawiać się dalej. Tu wokoło już nic nie ma – oświadczył jeden głos. Violet rozpoznała go i przypomniała sobie tego człowieka: rude włosy, spalona skóra nawet w kwietniu, brak dolnego zęba na przedzie, ale nie pamiętała jego imienia. – Ale gdybyśmy mogli dotrzeć do Alexandrii...

– A nie byłoby łatwiej ruszyć na północ, w kierunku Maryland? – Drugi głos też należał do mężczyzny, którego Violet kojarzyła. Był Hindusem, a może Pakistańczykiem, i miał gęste wąsy. I był naprawdę wysoki. Jego imię pamiętała. Dileep. Pracował dla rządu, jednak nie mogła sobie przypomnieć, co dokładnie robił.

– Nie, stary, cała tamta okolica... Wiesz przecież, co się stało w tamtej kwarantannie za Mauzoleum Lincolna.

– Tak, to straszne.

– Naprawdę straszne. A teraz jest gorzej. Nie sądzę, żeby nawet JTF wybierało się w tamte okolice, chyba że pojazdami. Ale może moglibyśmy przejść przez most i zorientować się, co się da znaleźć w Virginii.

– Ja bym poszedł – powiedział Dileep.

– Dobra, pogadamy o tym z Junie i Mikiem. Tak czy siak, musimy coś wymyślić. Ile mamy tu gąb do wyżywienia, ze sto?

– Coś koło tego.

– No. Nie wystarczą liście mleczu i to, co wyrośnie na dziedzińcu. W każdym razie idę poszukać Junie. Na razie, Dileep.

– Na razie, Darryl. Daj znać, jak ci poszło.

Violet usłyszała kroki na schodach. A potem, że otwarły się i zamknęły wejściowe drzwi. Dileep najwyraźniej wyszedł na zewnątrz.

A więc dorośli zaczęli martwić się o jedzenie. To niedobrze. Mieli naprawdę spory ogród, a JTF dostarczało im nasiona, ale ten drugi mężczyzna – Darryl – miał rację. Ogród nie wyżywi stu osób.

Drzwi znów się otworzyły i Violet usłyszała, że do środka wchodzi jej

przyjaciele, narzekając na upał i pragnienie. Wstała i wyszła do atrium, zanim weszli po schodach. Grupa czekała na Wiley'ego. Choć nie był poważnie ranny, nadal go bolało, gdy szybko się poruszał.

Chciała powiedzieć im o rozmowie między Darrylem i Dileepem, ale zapytała tylko:

– Słuchajcie, jak daleko podróżowaliście? – I wskazując siebie dodała: – Ja do Toronto.

Ivan i Amelia odwiedzili kiedyś krewnych matki w Zacatecas w Meksyku.

Wiley i Noah byli na Florydzie i w Chicago.

– Nie wiem, co jest dalej – stwierdził Noah. – Chyba Chicago.

Shelby powiedziała, że była w San Francisco, bo jej rodzice pracowali tam, zanim przenieśli się za pracą do Waszyngtonu.

– A ja się urodziłem w Sudanie – oznajmił Saeed. – Więc formalnie to najdalsze miejsce, w jakim byłem.

– Wow, to wygrałeś – powiedział Wiley. – A dlaczego o to pytasz, Violet?

– Bo zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będziemy podróżować – przyznała Violet. – Nie chciałabym zepsuć wam humorów, ale zaczęłam myśleć... Tamta wieża w Toronto jest chyba najwyższym budynkiem na świecie. A przynajmniej do niedawna była. Można wjechać na górę, rozejrzeć się i człowiek ma wrażenie, jakby widział cały świat. Więc pomyślałam, że to jedyny raz, gdy byłam kilkaset metrów nad ziemią i może już nigdy się tam nie znajdę. I byłam też wtedy w innym kraju i może też już nigdy w żadnym nie będę. I... – Oczy zaczęły ją piec, więc zaczerpnęła powietrza. – W każdym razie o tym właśnie myślałam.

– Ja uważam, że będziemy podróżować – oznajmił Ivan.

Shelby pokiwała głową i dodała:

– Tak. Wszystko się ułoży.

Violet natychmiast włączyła tryb starszej siostry. Przed wirusem nie była niczyją starszą siostrą, ale teraz musiała odgrywać tę rolę wobec młodszych

dzieci.

– Pewnie macie rację – powiedziała. – Wszystko się ułoży.

– Dla mnie nic się nie ułoży, dopóki nie napiję się wody – stwierdził Saeed. – Inaczej wyschnę na wiór.

Weszli na górę do kuchni. Było za wcześnie na lunch, ale kucharze dali im przekąskę i wielki dzbanek z wodą. Udali się na balkon po zacienionej stronie budynku, który wychodził na północną część National Mall. W powietrzu drżała mgiełka, sprawiając, że zarysy Białego Domu były rozmazane. Po prawej znajdował się Kapitol otoczony barykadami. Pomiędzy nimi a Kapitołem rozciągał się pas parku, gdzie pochowano mnóstwo ofiar epidemii. Stało tam też Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej.

Saeed patrzył w tamtym kierunku.

– Tam właśnie chciałbym się znaleźć – powiedział.

– W tym muzeum? Ale tam jest przecież mnóstwo złych ludzi z gnatami, nie?

– Nie – odparł Saeed. – W przestrzeni kosmicznej. Nie chcę być kilkaset metrów nad ziemią. Chcę być tysiąc mil nad ziemią. Milion. I zrobię to. Wcześniej też były zarazy. A potem wszystko się układało.

„Być może” – pomyślała Violet. Ale cały czas słyszała w głowie głos Darryla. Żadne z nich nigdy nigdzie nie wyruszy, jeśli nie będą mieli co jeść.

Rozdział 21

AURELIO

Słońce zachodziło, gdy pusta już ciężarówka zatrzymała się na postoju przy międzystanowej osiemdziesiąt trzy w Harrisburgu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca o imieniu Abdi. W ciągu półtorej godziny jazdy, a właściwie slalomu pomiędzy porzuconymi autami, na których usunięcie JTF brakowało czasu albo ludzi, Aurelio poznał historię jego życia. Abdi urodził się w Somalii, większość dzieciństwa spędził w obozie dla uchodźców i trafił do Stanów w idealnym momencie, by zobaczyć, jak wirus niszczy jego własną wersję amerykańskiego snu. – Ale hej – stwierdził Abdi – ważne, że żyję. I mam robotę.

Większość ludzi nie mogła tego o sobie powiedzieć. Aurelio uściśnął Abdiemu dłoń.

– Dzięki za podwózkę – powiedział i wysiadł z kabiny. Abdi też wyszedł, by obejść ciężarówkę i sprawdzić w biurze logistycznym JTF, jaki będzie miał następny transport.

Międzystanowa osiemdziesiąt trzy ciągnęła się zakrętami na północ i na południe. Aurelia zaboląła świadomość, że mógłby kontynuować nią podróż na południe i w ciągu czterech czy pięciu godzin dotrzeć przez Baltimore do Waszyngtonu. Odnalazłby Ivana i Amelię, poczuł ich uścisk, siłę drobnych ramion uczepionych jego barków.

Ale miał udać się w przeciwnym kierunku, na północ i zachód, bo taki miał obowiązek.

„Dadzą sobie radę” – pomyślał. „Byli w grupie i ktoś się nimi opiekował.

Wszystko będzie w porządku”.

– Abdi, czy całe dowództwo JTF mieści się w tym jednym biurze? – zapytał.

– Z tego, co wiem, tak – odpowiedział Abdi.

Aurelio podszedł do biura i przedstawił się. Potrzebował noclegu, zanim znów ruszy za Ikiem Ronsonem. Oficer dyżurny wskazał mu prowizoryczne baraki w dawnym motelu, po północnej stronie drogi dojazdowej. Aurelio dotarł tam, a wartownik przydzielił mu pokój. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było odkręcenie kranu w łazience. Ani kropli. Domyślał się, że tak będzie. Właściwie nigdzie nie było bieżącej wody. Nowy Jork stanowił wyjątek. Miał mnóstwo wad – nieustanna przemoc i chaos, braki z powodu blokad, ciągła obawa, że wirus powróci w gęsto zaludnionym mieście – była tam jednak bieżąca woda.

Rano Aurelia czekał więc prysznic przy pomocy wiadra, ale przynajmniej miał łóżko. Usiadł na nim, sprawdzając miękkość. Miesiące sypiania gdziekolwiek, byle było płasko, sprawiły, że kochał każde miejsce, w którym stało łóżko. To byłaby naprawdę dobrze przespana noc, gdyby potrafił przestać rozmyślać o dzieciach.

Znów dopadło go wspomnienie tamtego atrium z windą przy Duane Park. Tych wszystkich martwych ludzi. Martwych dzieci. Aurelio w ciągu miesięcy po wybuchu epidemii widział wiele trupów, ale cywile w tamtym atrium wcale nie musieli umrzeć.

Jego zdaniem dowody były jednoznaczne: skupione razem ciała; nic, co wskazywałoby na to, że Ronson próbował bronić się z atrium albo choćby kryć cywilów, gdy wychodzili przez parking. Ike Ronson zabił ich w chwili, gdy porzucił grupę w potrzebie. Niezależnie od wszystkiego Aurelio miał zamiar doprowadzić do tego, że Ronson za to odpowie.

Odezwał się jego komunikator. Diaz odebrał i usłyszał głos porucznik Hendricks.

– Agencie Diaz, znalazłam coś, co może pana zainteresować.

– Okej – odpowiedział. – Słucham.

– Właśnie panu przesyłam. Warto zaznaczyć, że to była szyfrowana transmisja. ISAK początkowo jej nie podjął, ale przejrzałam zapisy komunikatów Ronsona i znalazłam rozmowę z szóstej czterdzieści dziś rano, która nie odpowiadała żadnemu z zapisów audio od Ronsona. Wróciłam do tego momentu i usłyszałam szum na jego kanale. Oznaczyłam go i przepuściłam przez deszyfratory. Większość jest zniekształcona, ale przesłałam te fragmenty, które są zrozumiałe.

– Powie mi pani, o co w nich chodzi?

– Ujmę to tak: byłam sceptyczna wobec pana rewelacji dziś rano, agencie Diaz. Ale teraz już mniej.

– Dziękuję, pani porucznik. – Hendricks zakończyła transmisję, a Aurelio zobaczył migającą ikonę pliku audio na swoim zegarku. Kliknął i odsłuchał.

Strażniku, tu Modliszka... przechwycone komunikaty... opuścił Manhattan... angażuj się i pomagaj.

To nie był głos Ronsona. A więc Ronson to Strażnik, a druga osoba to Modliszka.

I wtedy Aurelio usłyszał Ronsona: *Potwierdź, Modliszko. Michigan?* Kolejne piski i zniekształcone słowa, aż powrócił ten drugi głos, Modliszka.

Zmiana częstotliwości... Bez odbioru.

Plik audio się skończył.

Aurelio przesłuchał go jeszcze raz, ale nic nowego nie usłyszał. Zastanawiał się, czy Hendricks będzie dalej nad nim pracować. Zajmowała się kontrwywiadem, więc Aurelio zakładał, że tak. A on dowiedział się już paru rzeczy.

Po pierwsze Ike Ronson wykonywał polecenia kogoś innego niż Division.

Po drugie jego kontakt z tą organizacją miał pseudonim Modliszka.

Po trzecie – to było przypuszczenie, ale Aurelio był przekonany, że słuszne – Modliszka wysłała Ronsona na poszukiwanie kogoś, kto opuścił Manhattan.

Po czwarte – również przypuszczenie – ktoś zmierzał do Michigan. Ronson? A może osoba, z którą Ike miał wejść w kontakt i której miał pomagać?

Pytania: kim jest Modliszka? Kogo Ronson szuka i dlaczego? Dokąd zmierzają?

„Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć” – pomyślał Aurelio. Wiedział, że Ike Ronson wyruszył na zachód, więc w tamtym kierunku się uda. Nawet gdyby miał iść do Michigan na piechotę.

Wyciągnął się na łóżku i poczuł, że jest głodny. Na postoju dla ciężarówek była kantyna JTF, głównie dla kierowców. Aurelio udał się tam i idąc wzdłuż kontuaru, zgarnął kanapki, kawę i batoniki. Zabrał wszystko z powrotem do pokoju i usiadł, rozważając, co wie na pewno, a co tylko przeczuwa, i zastanawiając się, czy powinien zaufać instynktowi, czy raczej pozwolić Ike’owi Ronsonowi robić, co chce. Jakie szkody może spowodować jeden zbuntowany agent Division? Aurelio nie musiał ścigać Ronsona aż do Michigan, o ile właśnie tam on zmierzał. Miał mnóstwo do zrobienia w Nowym Jorku czy w Waszyngtonie. Do diabła, agent Division przydałby się pewnie nawet tutaj, w Harrisburgu. Wszędzie wciąż byli ludzie i wszędzie nadal były problemy.

Aurelio ściągnął buty. Uświadomił sobie, że od wybuchu epidemii jedyne chwile, kiedy naprawdę mógł odpocząć, to wtedy, gdy mógł zdjąć buty, bo to znaczyło, że jest bezpiecznie i że nie spodziewa się w najbliższej przyszłości wezwania na akcję. I właśnie tam, na skraju postoju dla ciężarówek w Harrisburgu, nadszedł taki moment. Rano czekało go mnóstwo problemów do rozwiązania, ale teraz nie mógł się zająć żadnym z nich.

Mógł tylko spać, na sen musiał jednak poczekać. Leżał na łóżku i przypominał sobie fragmenty odszyfrowanej rozmowy między Ikiem Ronsonem a tajemniczą Modliszką. Kim była? Jaką organizację reprezentowała? Czego chcieli?

I czym skusili Ike’a Ronsona do zdradzenia Division?

Aurelio próbował sprawdzić lokalizację Ronsona, ale ISAK podawał tę

ostatnią znaną zamiast bieżącej: cały czas Stroudsburg. Poza wielkimi miastami ISAK miał czasem luki w zasięgu. W bezpiecznych miejscach na terenie kraju umiejscowiono przekaźniki wzmacniające, które miały zapewniać stabilność sieci, ale nie można było na niej całkowicie polegać w terenie górzystym czy podczas burz elektromagnetycznych. Więc albo to były plamy na słońcu, albo Ronson z jakiegoś powodu zatrzymał się w Stroudsburgu. Aurelio nie miał zielonego pojęcia, jaki to mógłby być powód.

Czyżby kogoś szukał? To pytanie odnosiło się do fragmentu rozszyfrowanej rozmowy: *opuszczył Manhattan... nawiąź kontakt i pomagaj*. Ale nic więcej nie było wiadomo o tym, kogo Ronson szuka, a jedyna wskazówka dotycząca jego celu sugerowała, że być może kieruje się do Michigan. Ale dokąd w Michigan? Do Detroit? Lansing? Aurelio nie kojarzył żadnych obiektów wojskowych w Michigan poza zlikwidowanymi bazami lotniczymi w północnej części stanu.

„Na pewno pomogłoby, gdybym wiedział, kogo Ronson szuka” – pomyślał Aurelio. „Wtedy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego ta osoba zmierza do Michigan, a to zawęziłoby zakres możliwych celów”. Przyszło mu do głowy, że Ike Ronson może nie wiedzieć, dlaczego ma szukać tej osoby. Prawdopodobnie miał nieco więcej informacji niż Aurelio, ale raczej niewiele więcej.

Powoli odpływał w sen, choć jego umysł nadal uparcie krążył wokół tych kilku wskazówek, którymi dysponował. Pora, by o tym wszystkim na chwilę zapomnieć. Rano być może ISAK będzie już znał obecną lokalizację Ronsona. Może porucznik Hendricks odezwie się z kolejnym odszyfrowanym fragmentem. Może, może, może.

„Trzeba jutro przebyć szmat drogi” – pomyślał Aurelio. „Załatwić tę sprawę i wrócić do Waszyngtonu”.

Ale na razie musiał się odprężyć i zasnąć.

IKE

Konwój JTF, z którym się zabrał, jechał tylko do Stroudsburga, gdzie organizowano wsparcie logistyczne dla jakiejś misji w Delaware Water Gap, przełomie rzeki Delaware przez Appalachy. Dowódca polowy zapytał, czy Ike nie mógłby do nich dołączyć i pomóc, ale Ike się wymówił, powołując się na wyższy priorytet swojej akcji. To była prawda, choć akcji nie zleciło SHD.

– Jest pan pewien? – oficer JTF był młody i nerwowy. Ike domyślał się, że to oficer rezerwy, który skończył akademię wojskową, ale przed wybuchem epidemii nigdy nie widział prawdziwej walki i teraz nie wiedział, co robić. – Mamy tu grupę terrorystyczną, która zamierza wysadzić jeden z mostów na międzystanowej numer osiemdziesiąt i musimy szybko ich znaleźć. Jeśli osiemdziesiątka będzie nieprzejezdna, to dostawy do Nowego Jorku zostaną mocno spowolnione. Ucierpi ludność.

Ike przemyślał sprawę.

– Orientujecie się, gdzie mogą być? – Może mógłby przynajmniej coś doradzić.

Oficer wyjął mapę i rozłożył ją na masce samochodu, przytrzymując róg, żeby nie porwał jej wiatr. Ike przyłożył dłoń do mapy z drugiej strony.

– Są gdzieś na tym obszarze – powiedział oficer, zakreślając czubkiem palca okrąg, który obejmował spory obszar lasów nad rzeką Delaware. – Miesiąc temu zaatakowali konwój i zdobyli pewną ilość C-4. Szukaliśmy go i stąd dowiedzieliśmy się o ich planach, ale ostatni wysłany tam oddział nie

wrócił.

Ike spojrział na mapę, śledząc trasy turystyczne i zapamiętując miejsca, gdzie dzika przyroda graniczyła z małymi miasteczkami. Dostrzegł co najmniej cztery mosty w odległości dziesięciu mil od lokalizacji, w której się znajdowali. Siły JTF nie wystarczyłyby, żeby chronić je wszystkie, chyba że grupa terrorystów była niewielka. Tego jednak nie mogli oczekiwać.

– Gdzie znajdował się tamten oddział, gdy ostatni raz się z nim komunikowaliście?

– Dokładnie tu. – Oficer zastukał palcem w punkt na północ od międzystanowej osiemdziesiąt, gdzie droga zwana Starym Szlakiem Górniczym droga mijала kilka wyseppek na rzece.

W ciągu trzydziestu sześciu godzin Ike musiał odezwać się do Modliszki. Będzie chciała wiedzieć, jakie poczynił postępy. Z drugiej strony, jeśli odmówi udziału w tej akcji, oficer JTF będzie narzekać, a jego skargi mogą trafić do ludzi, którzy wiedzą, co się stało na Manhattanie.

Jak na razie działania zapobiegawcze Modliszki powstrzymały ISAK-a przed oznaczeniem go jako zbuntowanego agenta. Jego zegarek wciąż świecił na pomarańczowo i nadal miał bezpośredni dostęp do informacji ISAK-a. Ale krytyczny raport w tej sprawie, zwłaszcza gdyby most rzeczywiście wysadzono, przyciągnąłby uwagę wielu osób.

Chyba warto wybrać się na krótką wycieczkę, żeby tego uniknąć. A jeśli przy okazji zrobi coś pozytywnego, to tym lepiej.

– Okej – powiedział Ike. – Będę potrzebować paru rzeczy.

Trzydzieści minut po zachodzie słońca Ike przemierzał szybkim tempem lasy ciągnące się wzdłuż Starego Szlaku Górniczego. Zmierzał do miejsca, które wskazał oficer JTF. Znalazł je bez problemu. Ślady spalenizny po wybuchach wciąż były widoczne na asfalcie, nawet w gasnącym świetle dnia. Łuski po kulach różnego kalibru zasłały drogę i pobocze po stronie lasu, ale nie od strony rzeki.

Ike ruszył w las, stopniowo pnąc się w górę pośród zapadających

ciemności. Po piętnastu minutach wędrówki znalazł się na Szlaku Appalaskim, który biegł na północ aż do Maine, a na południe do samej Georgii. Czuł jednak, że terroryści i znajdujące się w ich posiadaniu C-4 są dużo bliżej.

Nie będą poruszać się drogą, bo byliby zbyt widoczni. Prawdopodobnie nie znajdzie ich również na którymś z większych pól biwakowych w północnej części parku – byliby tam też inni ludzie i nie dałoby się zachować tajemnicy. Ale przy Szlaku Appalaskim było mnóstwo mniejszych, nieformalnych miejsc biwakowych. Ike doszedł do wniosku, że terroryści będą na jednym z nich, prawdopodobnie w zasięgu paru mil od mostu, który zamierzali wysadzić.

Jeśli się myli i nie znajdzie ich przed świtem, wróci na międzystanową, obejdzie bazę JTF i wyruszy w dalszą drogę.

Szczyt wznoszącej się na wschodzie góry Tammany wciąż rozświetlały promienie zachodzącego słońca, ale poza tym niebo było ciemne, a na szlaku panowały niemal całkowite ciemności. W południową stronę ciągnęły się urwiste stoki opadające ku rzece, więc Ike uznał, że należy ruszyć na północ.

Poruszał się powoli, przystając co dwadzieścia kroków, żeby nasłuchiwać i wypatrywać przebłysków światła. Szlak wspinał się na skalny grzbiet i Ike się zatrzymał, zanim dotarł na szczyt. Nocny wiatr poruszał drzewami. Coś drobnego zaszeleściło w zaroślach po lewej.

Z przodu – z odległości mniej więcej dwustu metrów – dobiegły go śmiechy.

„Bingo” – pomyślał i zszedł ze szlaku. Oceniał, że przeszedł około trzech mil. Po prawej miał stok opadający do dna potoku. Słyszał szum wody i czuł jej zapach.

Podszedł do szczytu grzbietu i zobaczył ogień. Pozostając między drzewami, szedł dalej, aż miał dobry widok na ognisko i otaczających je ludzi. Zanim zacznie strzelać, chciał mieć pewność, że obrał właściwy cel.

Patrzył na polanę po zachodniej stronie szlaku, otoczoną głazami i wysokimi drzewami porastającymi stromy stok opadający ku rzece.

Wielkie ognisko płonęło pośrodku polany, oświetlając grupę namiotów – w sumie sześć – rozstawionych od strony szlaku. Ike policzył ludzi wokół ogniska. Trzynastu. Sami biali, sami mężczyźni. Kilku z bronią.

Ike przyjrzał im się przez noktowizor, który dostał od oficera JTF. Ognisko było za jasne, by zobaczyć coś wokół niego, ale mógł rozejrzeć się po peryferiach obozu, dalej od światła płomieni. Dostrzegł mnóstwo pomniejszej broni, w tym kilka sztuk należących do JTF. Czyli to byli ci, którzy zabili patrol, więc najprawdopodobniej byli też w posiadaniu skradzionego C-4. Zgodnie z Dyrektywą 51 Ike mógł po prostu podejść i zabić ich wszystkich. Ale on taki nie był. Pewna doza autorytaryzmu być może stanowiła najlepszy sposób, by podeprzeć kulejące społeczeństwo – z tego powodu pozostawał w kontakcie z Modliszką i resztą jej grupy – ale to nie znaczyło, że Ike Ronson będzie zabijać ludzi tylko dlatego, że są przestępcami albo terrorystami.

Cholera, gdyby wiedział, że akcja w Duane Park tak się potoczy, inaczej by to zaplanował. Może jednak jakiś inny agent dotarł na czas, by pomóc tamtym cywilom. Ike miał taką nadzieję.

Ostatnio ciągle musiał podejmować trudne decyzje.

Na szczęście w tej chwili wybór był prosty. Uzbrojona grupa będąca w posiadaniu skradzionej broni i prawdopodobnie także materiałów wybuchowych, z solidnymi dowodami, że planuje atak terrorystyczny. Ike odłożył noktowizor i pozwolił, by oczy z powrotem przyzwyczyły się do ciemności. A potem ruszył między drzewami, aż znalazł się po przeciwnej stronie szlaku niż obóz. Za nim rozciągał się bagnisty staw, w którym roiło się od rzekotek i rozmaitych owadów.

Ike uznał, że najlepiej będzie znaleźć dobrą pozycję strzelecką, przedstawić się paroma granatami i użyć M4. Jeśli jacyś rozproszą się po lesie, trudno. Najważniejsze to rozbić grupę i odzyskać lub zniszczyć C-4.

Które musiał znaleźć. Możliwe, że znajdą je jego granaty, a wtedy prawdopodobnie cały biwak stanie w ogniu. Ike rozważył tę opcję. C-4 był dość stabilny. Strzał z karabinu spowodowałby jego wybuch, natomiast

granat odłamkowy musiałby eksplodować tuż obok kostki materiału wybuchowego. Jeśli C-4 wybuchnie, a w tych namiotach są inni ludzie, może wcale nienależący do terrorystów...

Po tym, co stało się rano na Manhattanie, miał pewne opory. Lepiej się upewnić. Wyjął ponownie noktowizor i przeczesał peryferie obozowiska. JTF zwykle transportowało C-4 w stalowych skrzynkach wielkości teczki, ale Ike nie wypatrzył niczego podobnego... dopóki jeden z mężczyzn przy ognisku nie przesunął się, a wtedy między dwoma namiotami – po stronie biwaku blisko szlaku – coś błysnęło metalicznie.

To było to. Cztery skrzynki. Wystarczy, żeby zawalić most. Albo wysadzić w powietrze całe obozowisko ze wszystkimi ludźmi.

Ike postanowił podejść do sprawy ostrożnie. C-4 potrzebowało do wybuchu zarówno odpowiedniej temperatury, jak i wstrząsu, więc jeśli nie trafi granatem w skrzynki, szanse na przypadkowy wybuch były niewielkie. Odpiął granat z pasa i rzucił go płasko ponad szlakiem, by trafić w grupę mężczyzn po drugiej stronie półokręgu z namiotów. Gdy granat upadł na ziemię, Ike już rzucał kolejny.

Padł na ziemię i obserwował obozowisko z poziomu gruntu. Stuk granatu o skałę przyciągnął uwagę mężczyzn znajdujących się najbliżej. Lecz zanim którykolwiek zdążył coś powiedzieć, granat wybuchł. Dwie sekundy później wybuchł kolejny.

Ike pochylił mocno głowę, kiedy kończył odliczanie, żeby jasność wybuchów nie zepsuła mu widzenia w ciemności. Gdy ją unosił, mierzył już jednocześnie z M4, żałując, że nie ma nic lepszego do takiej snajperskiej roboty. Ale był zaledwie pięćdziesiąt metrów od celu.

Wybuchy powaliły wszystkich mężczyzn wokół ogniska. Niektórzy próbowali wstać. Dwóch się paliło, bo jeden z granatów posłał w powietrze rozżarzone węgle. Ike ich zignorował. Zobaczył, że jeden z trudem wstaje, więc posłał pojedynczy strzał, ścinając go z nóg. Kilku wykrzykiwało ostrzeżenia i rozkazy. Inni tylko wrzeszczeli. Ike dostrzegł pojedynczą sylwetkę. Kolejny wstał i się przemieszczał. Kula z M4 trafiła go w ramię

i jego sylwetka zniknęła z pola widzenia. Ike usłyszał trzask pośród drzew, jakby ktoś staczał się zalesionym stokiem. Dwóch czy trzech potencjalnych terrorystów dorwało broń i skierowało ją w stronę Ike'a. Zorientowali się, skąd padają strzały.

Ike położył jednego z nich. Pozostali zauważyli rozbłysk lufy i zaczęli strzelać na oślep w miejsce, z którego Ike właśnie się odturlał. Zbiegł nieco z boczem, nie na tyle daleko, by wylądować w stawie. Wtedy położył się znowu i poczekał, aż napastnicy znajdą się na szczycie skarpy, gdzie będą doskonale widoczni na tle blasku ognia.

Najpierw zobaczył jednego, ale poczekał, aż pojawi się drugi. A potem, gdy tylko miał ich obu w polu ostrzału, zmiotł ich dłuższą serią.

Znów ruszył drogą, którą tu przyszedł, aż do miejsca, w którym po raz pierwszy dostrzegł obozowisko. Nadal słyszał krzyki i jęki, ale nie widział, by ktoś pozostał sprawny. Kryjąc się, przeszedł przez szlak i podszedł do obozowiska od strony namiotów. Nasłuchiwał przy każdym mijanym namiocie i zatrzymał się przy skrzynkach z C-4, żeby sprawdzić, czy nie są uszkodzone.

Z czwartego namiotu dobiegł go płacz małego dziecka.

„Niech to szlag” – pomyślał Ike.

Bezszelestnie przeszedł między namiotami, poza granicą blasku ogniska, aż był pewien, że ze strony rannych nie grozi mu niebezpieczeństwo. Powinien chyba zakończyć ich cierpienia, ale postanowił, że zostawi to JTF. Nikt z nich nawet go nie zauważył. Byli zbyt zajęci umieraniem albo patrzyli w przeciwną stronę.

To był standardowy czteroosobowy namiot z wejściami na suwak. Jedno z nich było w połowie otwarte. Ike nachylił się przez nie i zobaczył dziecko. Leżało w śpiworze i płakało, jak...

Cóż, Ike nie miał wielkiego doświadczenia z niemowlętami. Nie wyglądało na ranne, więc założył, że płacze jak każde dziecko obudzone przez wybuchy granatów i strzały z broni. Leżało na plecach, zaciskało oczy i miało szeroko otwarte bezzębne usta. Maleńkie życie, oszczędzone przez

przypadkowość toru lotu odłamków.

Kobieta, która mogłaby je uspokoić, leżała martwa na śpiworze, z ramieniem pod główką dziecka. Odłamek przebił jej szyję, tuż pod żuchwą. Wyglądało na to, że nawet się nie zorientowała. Ike patrzył na nią dłuższą chwilę, zastanawiając się, co spowodowało ją w to miejsce. Czyżby była zakładniczką? A może zakochała się w jednym z mężczyzn, których właśnie uśmiercił?

Teraz to nie miało znaczenia. Granat Ike'a ją zabił.

Ważne, co będzie dalej.

Ike zarzucił sobie M4 na plecy, rozżalony, że znowu akcja mu się skomplikowała. Otrząsnął się jednak z tych daremnych pretensji i rozejrzał za chustą albo czymkolwiek, czego mógłby użyć. Wędrówka trzy mile po ciemku nie stanowiła dla niego problemu, ale nigdy dotąd nie robił tego z dzieckiem na rękach.

Było tuż po północy, gdy Ike dotarł z powrotem do obozu JTF i znalazł oficera dokładnie tam, gdzie się z nim rozstał, czyli przy mobilnej jednostce dowodzącej. Oficer spojrzał na niego i szeroko otworzył oczy, gdy dostrzegł niemowlę w zagłębieniu jego lewego ramienia. Przestało płakać gdzieś na szlaku, może przez kołyszący ruch miarowego kroku Ike'a. Teraz spało.

– Wasze C-4 jest trzy mile w górę Szlaku Appalaskiego – oznajmił Ike. – Ale nie skręcajcie w odnogę, która wiedzie wzdłuż potoku. Miałem wysadzić je na miejscu, pomyślałem jednak, że może wam się przydać.

– Zostawiłeś je tam? – Oficer patrzył to na Ike'a, to na dziecko. Jego twarz wyrażała zakłopotanie i niepokój.

– Było za ciężkie – odparł Ike. – Ale nie ma obaw, że terroryści z nim uciekną.

– Skąd ta pewność?

– Coś panu powiem – powiedział Ike. – Niech pan natychmiast wyśle tam patrol. Niech szukają ogniska. Nadal płonie. Nie znajdą tam nikogo, kto mógłby odejść z czterema skrzynkami C-4.

„Minus pięć kostek i parę detonatorów” – tego już nie dodał. Wsunął je do swojego plecaka. Nigdy nie wiadomo, kiedy w terenie może się przydać odrobina materiału wybuchowego.

– Tak zrobię – odpowiedział oficer. Nadal wpatrywał się w dziecko.

– Dobrze – powiedział Ike. – A gdzie mogę znaleźć ratownika albo pielęgniarkę?

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, że wróci pan z niemowlęciem – stwierdził oficer.

– Cóż... – powiedział Ike. Spojrzał na dziecko, które spało z otwartą buzią i piąstką przyciśniętą do policzka. – Dla mnie to też był dzień pełen niespodzianek.

Rozdział 23

VIOLET

Wciąż było gorąco i dzieci nudziły się niemiłosiernie. Saeed i Amelia uznali, że powinni sprawdzić, jak daleko zdołają dotrzeć, zanim ktoś z dorosłych ściągnie ich z powrotem, a Violet do nich dołączyła. Pozostali zostali w budynku, bo nie chcieli, żeby się na nich gniewano.

– Dokąd idziemy? – zapytała Amelia. Byli na skraju terenu Zamku od południowej strony.

– Na pewno nie tam – oznajmił Saeed, wskazując dalej na południe. – Tam jest to dziwne chemiczne coś.

– No i powódź – dodała Violet.

– W takim razie wejdźmy do National Mall – powiedziała Amelia i ruszyła w tamtym kierunku.

– Czekaaj, nie, nie tędy! – zawołał ją Saeed. – Pójdźmy drugą stroną. Trzymajmy się z dala od Kapitolu.

Amelia wzruszyła ramionami i odparła:

– Okej, wszystko jedno.

Przeszli wokół zachodniej strony Zamku i ruszyli w górę parku. Widzieli jakiś pożar po stronie stadionu bejsbolowego. Dym kłębił się nad rzeką.

– Ciekawe, co to – powiedział Saeed.

– Kogo to obchodzi – odpowiedziała Violet. – Ważne, że daleko.

Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, bo przecież ktoś w tym pożarze tracił swój dobytek, a może i życie, a ona nie powinna być tak obojętna. Obchodziło ją to. Tylko czasem trudno było to wszystko znieść.

– Rzecz w tym, że mnie to nie obchodzi – dodała. – Tylko że dla nas nie ma znaczenia, co się tam pali, bo tego nie wiemy i nie mamy nawet jak się dowiedzieć.

Huk w górze odwrócił ich uwagę.

– Hej, zobaczcie – powiedział Saeed. – To odrzutowiec.

Zdumieni obserwowali, jak się oddala. Żadne z nich nie widziało samolotu odrzutowego od Czarnego Piątku. Po prawie sześciu miesiącach zdawało im się, jakby zobaczyli smoka albo UFO.

Niebo przecięła nagle smużka dymu i tuż za prawym skrzydłem samolotu pojawiły się płomienie. Odrzutowiec skręcił gwałtownie w lewo i w dół, pozostawiając za sobą pasmo dymu i ognia. Dzieci dostrzegły za nim metalowe fragmenty, wirujące i lśniące w południowym słońcu.

Pilot próbował odzyskać wysokość, ale jeden z silników przy prawym skrzydle odpadł i kręcąc się w kółko z szaleńczą prędkością, spadał na ziemię. Odrzutowiec przechylił się i zniknął za jakimiś budynkami po drugiej stronie miasta. Chwilę potem uniosła się stamtąd chmura dymu.

– Ojacie, czy ktoś właśnie zestrzelił samolot? – zapytała Amelia.

– Na to wygląda – stwierdziła Violet. Widziała ślad pocisku, ale było tak wietrznie, że nie potrafiła określić, skąd nadleciał.

– Pierwszy odrzutowiec, jaki widzieliśmy od Bożego Narodzenia, i ktoś go zestrzelił – powiedział Saeed. W jego głosie brzmiał smutek, jakby ze wszystkich okropnych rzeczy, jakie ostatnio widzieli, ta była najistotniejsza. Violet go rozumiała. Dla niego technologia to symbol postępu. Odrzutowiec na niebie mógł oznaczać, że może kiedyś wszystko wróci do normy. A on runął na ziemię w płomieniach.

Właściwie przypadkiem powędrowali w kierunku karuzeli w National Mall, znajdującej się naprzeciwko Zamku. Widzieli ją ze swoich okien. Było to jedno z miejsc, w których spędzali czas, gdy wychodzili jeszcze do parku. Pójście tam dziś stanowiło rodzaj testu. Karuzela znajdowała się dość blisko Zamku, więc może nikt z dorosłych nie każe im wracać.

Amelia wspięła się na łuszczącego się niebieskiego konika morskiego. Był jej ulubieńcem – zamiast tylnych nóg miał syreni ogon, a ktoś powiedział Violet, że jego głowa przypomina stare chińskie rysunki koni. Saeed usiadł na koniu obok niej. „Czemu nie” – pomyślała Violet i dołączyła do nich. Jej konik również był niebieski. Ten Saeeda w środku był biały. „Ale oba wyglądają na rozzłoszczone” – pomyślała Violet. „Może karuzeli potrzebna muzyka, żeby wyglądała pięknie”.

– Jechaliście kiedyś na tym, gdy jeszcze działało? – zapytała Amelia.

– Tak, kilka razy – odparła Violet.

– Wydaje mi się, że jeździliśmy na niej kiedyś na wycieczce – powiedział Saeed. – A może to była inna karuzela gdzie indziej. Dokładnie nie pamiętam.

– Ciekawe, czy ktoś mógłby ją naprawić – powiedziała Violet. – Sprawić, żeby znowu działała. Fajnie by było.

– A jeszcze lepiej byłoby, jakbyśmy mogli urządzić imprezę. Zaprosilibyśmy wszystkich. Może jakoś by się dogadali. – Saeed nadal był przygnębiony. Violet miała wrażenie, że jest smutny odkąd rzucił tamtą uwagę o kosmosie poprzedniego dnia. Brzmiał optymistycznie, ale zaczęła podejrzewać, że wcale nie wierzy w to, co mówi. A teraz katastrofa odrzutowca jeszcze pogorszyła sprawę.

– Byłoby super – stwierdziła, żeby okazać poparcie. – Nikt się nie oprze karuzeli.

Kołysali się do przodu i do tyłu na koniach, udając, że galopują. Może byli trochę za duzi na taką zabawę, ale sprawiła im radość.

– Założę się, że Shelby, Noah i Ivan żałują, że nie są tu z nami – oznajmił Saeed. Jakby nagle poprawił mu się humor. – Powinniśmy ich tu zawołać.

– Pewnie tak – powiedziała Violet – ale Wiley nie może wychodzić, prawda? Chyba lepiej, że spędzają czas razem z nim.

– Tak, chyba tak – Saeed nadal kołysał się na koniu. Violet pochyliła się mocno na swoim, opierając brodę na czubku głowy rumaka. Nigdy nie

jechała na prawdziwym koniu. Może kiedyś.

Amelia zapatrzyła się w głąb parku.

– Hej – powiedziała nagle. – Jacyś ludzie tu idą.

Saeed zsunął się z konia.

– Lepiej spadajmy.

Violet i Amelia też zeskoczyły z karuzeli. Czy powinni pobiec? Ci ludzie nie wyglądali na groźnych. Mieli broń, ale prawie wszyscy w Waszyngtonie nosili przy sobie broń. Nikt z nich nie mierzył do dzieci. Wszyscy mieli wytatuowaną amerykańską flagę i byli podobnie ubrani. Nie do końca w mundury, ale w ubrania w kolorach khaki i granatowym z mnóstwem kieszeni.

– Chodźmy – powiedziała Violet. Zaczęli zawracać w kierunku Zamku, tak by karuzela znalazła się pomiędzy nimi a grupą nieznajomych. Lecz gdy przeszli kawalek, zobaczyli, że tamci skręcili i przetną im drogę do domu.

– Ojej – powiedziała Amelia. – Boję się.

– Wszystko będzie okej – odpowiedział Saeed. – Widzą nas przecież z Zamku.

– O ile ktoś tu patrzy – zastrzegła Violet.

Jeden z mężczyzn z grupy – to byli sami mężczyźni – zawołał do nich.

– Hej, dzieciaki. Jeździcie na konikach? – Uśmiechnął się do nich. Jego uśmiech wydawał się szczery, ale Violet nadal była zaniepokojona.

– Właśnie wracamy na Zamek – powiedziała, żeby mężczyźni wiedzieli, że są z okolicy.

– Naprawdę? Mieszkacie tam?

– Tak – odpowiedziała Violet. – Byliśmy wcześniej w innym miejscu, w hotelu nad rzeką, ale zalała go powódź.

– Mhm. Nie najlepsza pora na powódzie. – Mężczyzna zrobił kolejny krok. Ręce trzymał w kieszeniach, a karabin zwisał mu przez ramię. Reszta została z tyłu, niezbyt się nimi interesując. – Powiecie mi, kto tutaj rządzi?

– Junie i Mike – odpowiedział Saeed.

– Okej. A wy jak się nazywacie?

Dzieci przedstawiły się, a mężczyzna skinął im głową.

– Jestem Sebastian. Opowiedzcie mi o Junie i Mike’u. Są małżeństwem?

– Nie. Junie jakby od początku dowodziła Zamkiem, a Mike był przywódcą naszej grupy, gdy przenieśliśmy się z hotelu – powiedziała Amelia. – Więc teraz organizują wszystko we dwoje.

Sebastian przez dłuższą chwilę jakby rozważał jej słowa, patrząc jednocześnie na Zamek.

– Okej. Dobrze wiedzieć. – Przesunął okulary przeciwsłoneczne na czoło i nachylił się, kładąc dłonie na kolanach, by znaleźć się z nimi twarzą w twarz. – Posłuchajcie. Powinniście być bardziej ostrożni. Po Waszyngtonie kręci się mnóstwo złych ludzi i wkrótce będziemy się musieli ich pozbyć. Może zrobić się... hm..., powiedzmy, że nie będzie tu bezpiecznie, dopóki nie zapanujemy nad sytuacją.

– Myślałem, że JTF ma się tym zająć – powiedział Saeed.

Paru mężczyzn z grupy się roześmiało. W uszach Violet nie zabrzmiało to dobrze. Sebastian uniósł w ich stronę rękę i uspokoili się.

– JTF się stara – powiedział. – Ale jeśli nie dadzą rady, ktoś inny będzie musiał to zrobić. I wtedy wszystko wróci do normy. A może będzie nawet lepiej, kto wie?

– Chciałabym – powiedziała Amelia.

– Ja też, Amelio. Wszyscy byśmy tego pragnęli. Ale trzeba się napracować, żeby marzenia się spełniły. – Sebastian się wyprostował. – Hej, a może zaprowadzilibyście nas do Zamku? Chcielibyśmy porozmawiać z Junie i Mikiem o tych sprawach. Poza tym pewnie macie fajniejsze rzeczy do roboty niż gadanie z dorosłymi.

Dzieci popatrzyły po sobie. Trudno było zaprzeczyć.

– No... Pewnie – powiedziała Violet. – Chodźmy.

Mnóstwo osób pracowało w ogrodzie, gdy Violet, Saeed i Amelia wprowadzili grupę mężczyzn na teren Zamku wejściem od strony Independence Avenue.

– Piękny ogród – skomentował Sebastian. – Będziecie mieli co jeść przez miesiąc albo i dłużej.

Violet przypomniała sobie rozmowę Darryla i Dileepa i powiedziała tylko:

– Tak, pomagaliśmy to wszystko sadzić.

– To dobrze – odparł Sebastian. – Dobrze, że potraficie to robić. Poza tym jedzenie smakuje lepiej, gdy się wie, że pomogło się je wytworzyć.

Obecni w ogrodzie przerwali wykonywane prace, by przyjrzeć się grupie uzbrojonych nieznajomych. Junie wyszła zza rzędu fasolek wspinających się po kracie, którą Violet pomagała ustawić. Fasolki już kwitły.

– Dzieci, wejdźcie do środka – powiedziała Junie.

– Dzień dobry pani – odezwał się Sebastian. – Jestem Sebastian. Dzieci powiedziały nam, że powinniśmy porozmawiać z Mikiem albo z Junie.

– Ja jestem Junie. Czego chcecie?

Violet, Amelia i Saeed podeszli do drzwi, ale nie weszli do środka. Dostrzegli paru dorosłych obserwujących przybyszów z balkonów Zamku. Violet czuła napięcie w powietrzu, ale nie była pewna, o co chodzi.

– Cóż, chcielibyśmy porozmawiać – odpowiedział Sebastian.

– Do rozmowy nie potrzeba ośmiu ludzi z karabinami.

Sebastian pokiwał głową.

– To prawda. Ale czasami potrzeba ośmiu ludzi z karabinami, żeby dotrzeć do miejsca, w którym chce się porozmawiać.

– Hm... – odparła Junie. – Już tu jesteście. Chcecie wody?

– Dziękuję – powiedział Sebastian. – Faktycznie gorąco. Czy moi ludzie mogliby odpocząć, gdy będziemy rozmawiać?

– Oczywiście – odpowiedziała Junie. – Chodźcie do środka.

Popatrzyła Violet w oczy, gdy razem z Sebastianem przechodzili obok nich. Violet nie miała problemu z odczytaniem przekazu: *Porozmawiamy o tym, gdy ci nieznajomi już sobie pójdą, i lepiej żebyś miała jakieś dobre wytłumaczenie.*

Violet wymieniła spojrzenie z Saeedem i Amelią.

– Co mieliśmy zrobić? – zapytała Amelia.

– Nie wiem – odpowiedziała Violet.

– Za to ja wiem, co powinniśmy zrobić teraz – odezwał się Saeed. – Schodzić z drogi, dopóki Junie nie postanowi nas znaleźć.

To wydawało się dobrym pomysłem. Weszli do środka, udali się prosto do swojej sali i opowiedzieli o wszystkim reszcie. A potem grali w karty, tryktraka i warcaby przez cały dzień, aż nadeszła pora kolacji.

AURELIO

Pierwszą rzeczą, jaką Aurelio zrobił rano, była ponowna próba zlokalizowania Ike'a Ronsona przez ISAK-a. *Ostatnia znana lokalizacja: Stroudsburg, Pensylwania.*

„Cholera” – pomyślał Antonio. Dlaczego ISAK go nie śledzi? I dlaczego nie przeanalizował jego działań w Duane Park i nie oznaczył go jako zbuntowanego agenta? Wysłanie fałszywego alarmu ze świadomością, że zagraża w ten sposób innemu agentowi, oraz celowe porzucenie cywili, których czekała masakra, to naprawdę dość, by oznaczyć agenta czerwonym kółkiem.

Coś tu się musiało dziać, ale Diaz nie dość, że nie wiedział co, to nawet nie miał pojęcia, jakie pytania powinien zadać.

Dzień zrobił się jeszcze bardziej pokręcony, gdy ISAK powiadomił go o złożonym przez garnizon JTF w Stroudsburgu raporcie z wykonanej akcji. Agent Division przedstawiający się jako Ike Ronson wyruszył w pojedynkę na nocną akcję, by powstrzymać bandę terrorystów planujących wysadzenie mostu na międzystanowej przy pomocy skradzionego C-4. Akcja się udała, potwierdzono jedenastu zabitych i odzyskanie C-4 z drobnym ubytkiem.

A przy okazji uratował pięciomiesięczną dziewczynkę i przyniósł ją do garnizonu.

Jak to pasowało do tego, co Ronson zrobił dzień wcześniej na Manhattanie?

Połączył się z Poczta, żeby porozmawiać z porucznik Hendricks. Nie

wydawała się uszczęśliwiona, słysząc jego głos.

– Miałem nadzieję, że dała pani radę rozszyfrować coś jeszcze z tamtej rozmowy – powiedział.

– Niestety. Wcześniej udało się tyle, bo mieliśmy surowy dźwięk z urządzenia nasłuchowego monitorującego tamtą lokalizację. Z innymi już nie dało się tego zrobić.

– A co z Michigan? Nie ma w wewnętrznych raportach żadnych informacji, czy dzieje się tam coś, co mogłoby przyciągnąć jego uwagę?

Hendricks westchnęła.

– Mogę poszukać. Ale Michigan jest duże, jest tam sporo sił JTF we wszystkich miastach, zwłaszcza w pobliżu granicy z Kanadą. Po wybuchu epidemii nasi przyjaciele z północy zaczęli z niezwykłą powagą traktować kwestie bezpieczeństwa granic. Więc to byłoby dużo przeglądania, a ja nie mam na to czasu.

– A ta osoba, której szuka Ronson? Chodzi mi o ten fragment: *opuścił Manhattan*.

– Nawet nie wiemy na pewno, czy on rzeczywiście kogoś szuka – odpowiedziała Hendricks. – Wiemy tylko, że prawdopodobnie zmierza do Michigan, a po drodze zrobił sobie przerwę, żeby udaremnić spisek terrorystów i przy okazji uratować niemowlę. Muszę przyznać, agencie Diaz, że nie jestem już przekonana, że to zły człowiek.

– To wspaniale, że uratował dziecko – odpowiedział Aurelio. – Ale to nie przywróci życia ludziom w budynku przy Duane Street. I nie wyjaśnia, dlaczego ukrywa rozmowy z niezidentyfikowanymi osobami, których rozkazy wykonuje.

– Dyrektywa 51 – powiedziała Hendricks. – Nic nie mogę zrobić.

– Może pani monitorować jego ruchy. Tak naprawdę chciałem o to właśnie poprosić. Bardzo proszę.

– Postaram się, agencie Diaz. Ale musi pan zrozumieć, że nie mam takich możliwości operacyjnych, by poświęcać czas na szukanie wiatru w polu.

- Rozumiem. I doceniam pani zaangażowanie.
- Dam znać, gdy czegoś się dowiem. Coś jeszcze?
- W tej chwili nie. Dziękuję, pani porucznik.

Hendricks rozłączyła się, a Aurelio zwalczył ochotę, by dać upust frustracji, strzelając w cokolwiek. Zaczął za to maszerować. Mapę miał w głowie: droga numer dwadzieścia dwa, wijąca się przez góry, która dołączała do trzysta dwudziestej drugiej, ta zaś prowadziła dalej na północny zachód do State College, a potem aż do międzystanowej osiemdziesiąt w Clearfield. To było około stu trzydziestu mil, z mnóstwem podchodzenia pod górę i schodzenia w dół. Trzy dni, jeśli się mocno postara.

A potem kolejne sto dwadzieścia mil do granicy stanu Ohio i jeszcze z dwieście stamtąd, żeby dotrzeć do jakiejś większej miejscowości w Michigan. Dobrze, że SHD zapewniało agentom w ramach wyposażenia doskonałe trapy.

Opuszczając miasteczko, Aurelio zajrzał do sklepu spożywczego, czy nie ma tam na półkach jakichś przekąsek. Niewiele tego było, ale zdobył czapkę bejsbolową Washington Spears. Robiło się coraz cieplej i nie potrzebował już zimowej czapki. Poświęcił chwilę, by ukształtować daszek tak, jak lubił, a potem założył nową czapkę na głowę i wyruszył.

Widział po drodze mnóstwo jeleni i pomniejszej zwierzyny, ale na ludzi trafił dopiero, gdy przechodził przez rzekę Susquehanę i zauważył łódź dryfującą z prądem. Mężczyzna i młoda dziewczyna łowili z niej ryby. Aurelio obserwował ich przez chwilę, zastanawiając się, gdzie mieszkają. I w jakich warunkach. Urodził się i wychował w Waszyngtonie i spędził tam całe życie, poza ostatnimi trzema miesiącami w Nowym Jorku. Nie miał pojęcia o życiu poza wielkim miastem, czy to w czasach zarazy, czy przed nią. Czy wirus tak samo mocno uderzył w małe miasta, jak w te duże? Wydawało się, że prowincja powinna opustoszeć, bo z powodu braku prądu i innych udogodnień ludzie gromadzili się w większych miejscowościach.

Z drugiej strony jeśli ktoś potrafił przetrwać zimę i miał możliwość wędkowania i polowania, to może łatwiej było przeżyć na wsi. Uprawiać

ogródek, nauczyć się konserwować to, co udało się wyhodować albo złapać, i właściwie można być niemal samowystarczalnym. Przynajmniej dopóki człowiek nie miał wypadku albo nie zachorował, a najbliższy lekarz nie znajdował się w odległości pięćdziesięciu mil.

Łódź zniknęła za zakolem rzeki. Zanim Aurelio stracił ją z oczu, zobaczył, że dziewczyna wciąga rybę. Łuski zalśniły w słońcu, gdy miotała się na lince. Ojciec nachylił się, by wyjąć haczyk, a potem Aurelio stracił ich z oczu i ruszył dalej.

Do zmroku zobaczył jeszcze parę osób, żadna grupa nie liczyła jednak więcej niż czworo czy pięcioro. Gdy słońce skryło się za wzgórzami, zatrzymał się w zagrodzie oddalonej od głównej drogi w pobliżu małego nadrzecznego miasteczka o nazwie Port Royal. Gdy wszedł do środka, najpierw rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu. W domu pachniało kurzem. Nikt w nim ostatnio nie gotował ani nie palił ognia. Na dole również było pusto.

Zapalił małą latarkę i wszedł z korytarza schodami na górę. Znajdowała się tam łazienka i trzy sypialnie. Dwie były puste. W trzeciej natknął się na dwa ciała, dorosłego i dziecka. Zostały z nich właściwie skóra i kości, resztą zajęły się różne zwierzęta. Aurelio nie widział żadnej broni. Wyglądało na to, że umarli razem, leżąc w łóżku. Kolejna spośród miliona smutnych historii.

Zszedłszy na dół, zajrzał do szafek w kuchni i do spizarki. Myszy zniszczyły wszystko poza puszkami, które stały w równych, nietkniętych rządach. Aurelio otworzył puszkę z brzoskwiniami i drugą z tuńczykiem. Zjadł je po ciemku, wyglądając przez okno. Po nocnym niebie przesuwwały się chmury, zasłaniając i odsłaniając gwiazdy oraz połówkę księżyca.

Poczuł pragnienie i sprawdził kran. Pusto. Wypił więc resztki swojej wody i postanowił, że sprawdzi rano, czy za domem nie ma studni. A do tej pory będzie miał czas, by głowić się nad Ikiem Ronsonem i tym, co ów planował robić w Michigan.

Siedząc i patrząc na księżyc, pomyślał, że mógłby sam sprawdzić

zdarzenia w Michigan, gdyby miał dostęp do rejestrów akcji JTF. ISAK nie działał najlepiej tu, na prowincji, w głębokich dolinach środkowej Pensylwanii. Aurelio wyszedł na długi ganek domu i spróbował uzyskać dostęp do rejestrów. Nic z tego. Nie wiedział, czy problemem jest sam dostęp czy też zasięg, więc uznał, że wyśle do porucznik Hendricks wiadomość z pytaniem, czy poszuka w rejestrach wzmianek o Michigan.

Jeśli nie odpowie mu, zanim dotrze w okolice Pittsburgha, sam spróbuje przeszukać bazę. W przeciwieństwie do porucznik Hendricks nie był jednak wyszkolonym analitykiem danych. Poza tym Hendricks będzie miała dostęp do rejestrów operacyjnych i wywiadowczych JTF, o których istnieniu Aurelio mógł nawet nie wiedzieć. Krótko mówiąc: lepiej żeby to ona się tym zajęła.

Znalazł bujany fotel i usiadł w nim, czując przebyte za dnia mile w stopach i w krzyżu. Zdjął buty i wyprostował nogi. Kostkę nadal miał spuchniętą po strzelaninie przy High Line, ale już mniej go bolała. „Przydałoby się piwo” – pomyślał. W tym momencie zerwał się z fotela i poszedł do kuchni, gdzie z radością odkrył na górnej półce lodówki dwie puszkę piwa. Nie przejmując się pleśnią wędrującą po półkach z głębi dolnych szuflad, wziął jedną z nich i wrócił na ganek. Nie znał tego browaru. Pewnie jakiś lokalny. Piwo smakowało dobrze, a on napawał się chłodnym płynem na języku, który zamieniał się w ciepło w żołądku.

Aurelio uświadomił sobie, że nie musi obawiać się ataku. Wszędzie, gdzie przebywał od Czarnego Piątku, czy to w Nowym Jorku, czy w Waszyngtonie, cały czas towarzyszyła mu świadomość, że musi być czujny. Nawet chwilowe opuszczenie gardy mogło skończyć się tragicznie – dla niego i dla wielu innych ludzi. Ale tutaj widział najbliższe światło w odległości mili. Nawet gdy będzie spał, dźwięk skrzypiących desek podłogowych ganku obudzi go w ułamku sekundy.

Był bezpieczny – dziwne uczucie.

Z drugiej strony wynikało to po części z faktu, że wszyscy, którzy tu wcześniej mieszkali, albo zginęli, albo opuścili te okolice. Jeśli taki był

warunek bezpieczeństwa, to Aurelio wolałby już funkcjonować w poczuciu nieustającego zagrożenia. Nie był stworzony do życia w samotności. Chciał mieć wokół innych ludzi.

I chciał mieć przy sobie swoje dzieci. Graciela odeszła, ale wciąż miał Ivana i Amelię. Każdy krok na zachód, który robił, oddalał go od nich, a on czuł, że to krok w złą stronę.

Ale miał obowiązek. Złożył przysięgę. Spełni ten obowiązek i dotrzyma przysięgi, a wtedy ruszy do Waszyngtonu. W tym momencie Aurelio nienawidził Ike'a Ronsona nie dlatego, że wiedział, co Ronson zrobił, ale dlatego, że Ronson ściągnął go do Pensylwanii, a potem pewnie do Michigan, odkładając na kilka tygodni, a może i miesięcy, dzień, w którym Aurelio wreszcie będzie mógł się zaopiekować własnymi dziećmi.

Stąd nie mógł o nie zadbać. To go dręczyło. Zdecydował się wyruszyć do Nowego Jorku, bo taka była potrzeba, ale teraz powinien być w Waszyngtonie, a zamiast tego tkwił w cholernym Port Royal w Pensylwanii i kołysał się w bujanym fotelu jakiegoś truposza.

Kogo on szuka? Co jest tak ważne, że agent Division dezerteruje, by gonić kogoś przez sześćset mil?

Głowił się nad tym dalej, nawet gdy dotarł do Clearfield, trzy dni po opuszczeniu Harrisburga. Hendricks się nie odezwała. Właściwie nie miał żadnego kontaktu z Nowym Jorkiem. ISAK nie działał zbyt dobrze. Łączność była niestabilna, a wyświetlacz HUD bezużyteczny. Aurelio widział w Clearfield ludzi, większość w okolicy restauracji Dutch Pantry tuż przy międzystanowej numer osiemdziesiąt. Na parkingu stały powozy z zaprzężonymi końmi.

„Amisze z Pensylwanii” – pomyślał. Im brak prądu nie przeszkadzał. I tak go przecież nie używali.

Popatrzył na powozy i wpadł na pewien pomysł.

Rozdział 25

IKE

Siedemdziesiąt dwie godziny po przekazaniu niemowlęcia oficerowi JTF w Stroudsburgu Ike Ronson był już w Ohio.

Złożywszy raport z akcji oficerowi JTF, Ike przespał się kilka godzin i następnego ranka wyruszył w dalszą drogę. Zapytał oficera o ewentualną podwózkę do Michigan i dowiedział się, że cały oddział zostaje na miejscu, dopóki sytuacja z mostami na międzystanowej numer osiemdziesiąt nie zostanie całkowicie rozwiązana. Oficer nie był w stanie mu pomóc.

– Mogę pana podrzucić najwyżej do drogi do Bloomsburga – powiedział oficer. – Wysyłamy tam ciężarówkę po ładunek.

– Świetnie – odparł Ike. – A tak przy okazji, co z tym dzieckiem?

– Szukamy kogoś, kto mógłby się nim zająć tu, w miasteczku – odpowiedział oficer. – To znaczy nią. To dziewczynka. Mnóstwo ludzi straciło dzieci przez wirusa. Jestem pewien, że ktoś ją przygarnie.

Podbudowany Ike wspiał się do kabiny ciężarówki i wyruszył na zachód mostami, które uratował przed wysadzeniem. Punkt ósma stał już gotowy do wymarszu z Bloomsburga. Stroudsburg, Bloomsburg, Pittsburgh. Wyglądało na to, że każde miasto w Pensylwanii to Jakiśtamburg. Zamierzał się trzymać międzystanowej osiemdziesiąt, która wznosiła się i opadała, przecinając Appalachy – a może te góry tutaj to Pocono? Nie znał się na geografii. Ale wiedział, gdzie jest Michigan, i zaczął maszerować. Zanim zaszło słońce i musiał rozejrzeć się za jakimś miejscem na nocleg, pokonał prawie czterdzieści mil.

Znajdował się na obrzeżach miasta Mackeyville, a nie licząc kierowcy ciężarówki JTF z rana, nie spotkał w ciągu dnia nawet tuzina osób. Zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. W Nowym Jorku nawet o północy byłyby zapewne w akcji, próbując zapanować nad chaosem i przemocą, które zdawały się wybuchać w jakimś miejscu w tej samej chwili, gdy tylko Division przenosiła swoją uwagę gdzie indziej. To był efekt zbiorowej traumy, jaką przeżył każdy, kto był świadkiem wybuchu epidemii, ale też blokady, dodatkowo wywołującej frustrację u i tak mocno już zestresowanych ludzi. A poza tym wynikało to też z niezaprzeczalnego faktu, że bez ograniczeń narzucanych przez cywilizację i prawo – albo jakąś silniejszą od nich władzę – niektórzy ludzie zmieniali się w barbarzyńców.

Dlatego odpowiedział na kontakt od Modliszki, gdy zgłosiła się do niego przez pośrednika mniej więcej sześć tygodni wcześniej. Była głosem nowej siły umacniającej się poza megalopolis Wschodniego Wybrzeża. Widzieli, jakie szkody czyni chaos. Widzieli, że obecny rząd i JTF nie potrafią przywrócić porządku i zapewnić ludziom bezpieczeństwa.

Dostrzegali inny sposób. Trudniejszy, przynajmniej na początku, ale jeśli Ike do nich dołączy, stanie się częścią nowej, silniejszej Ameryki. Czy byłby zainteresowany?

Wirus odebrał Ike'owi dziewczynę i jedno z dzieci. Dwoje pozostałych i była żona zostali zamordowani na początku stycznia przez grupę szalonych podpalaczy, którzy nazywali się Czyścicielami. JTF ich nie ochroniło. Division też nie. Więc tak, Ike był zainteresowany lepszym rozwiązaniem.

Sześć tygodni później nadal był zainteresowany, ale zaczynał się denerwować, bo nadal nie wiedział, kto dowodzi tą grupą i jakie mają konkretnie plany. Wierzył w ich cele, właśnie nimi go do siebie przekonali, ale czuł, że nadeszła pora, żeby powiedzieli mu więcej o tym, kim są i jakie widzą dla niego zadania. Dla nich porzucił Division i z tego powodu miał na sumieniu śmierć cywilów. Byli mu coś za to winni.

Okazało się, że Modliszka jest innego zdania, gdy wywołał ją następnego dnia rano w Mackeyville. Minęło niemal czterdzieści osiem godzin, odkąd

wezwała go do akcji na Manhattanie.

– Modliszka, tu Strażnik.

– Tu Modliszka. Jaki status, Strażniku?

Podał jej swoją bieżącą lokalizację i streścił akcję, w której wziął udział, by nie podpaść Division.

– To chyba był dobry ruch, Strażniku – powiedziała. – Ale koniec z wycieczkami. Przejęcie i wsparcie April Kelleher to teraz wasza jedyna misja. Wypełnijcie ją, a będziecie mogli podjąć się istotniejszych zadań.

– Rozumiem, Modliszko. Jakies szczegóły co do jej lokalizacji?

– Być może widziano ją na północy stanu Nowy Jork niedaleko Syracuse. Nie należy się tym jednak kierować, bo źródło nie jest wiarygodne, więc jeszcze to sprawdzamy.

– Przyjąłem. A jej cel?

– Wydaje nam się, że go znamy, ale to też niepotwierdzone informacje. Lepiej żebyś dowiedział się tego od niej, niż kierował się w pierwszym odruchu błędnymi założeniami.

Ike'owi się to nie podobało, ale niewiele mógł na to poradzić.

– Przyjąłem. Coś jeszcze, Modliszko?

– To wszystko, Strażniku. Zgłoś się za kolejne czterdzieści osiem.

Połączenie zakończono. Ike potrzebował chwili, żeby zapanować nad swoją irytacją wywołaną przez Modliszkę, która nadal celowo ukrywała przed nimi informacje. Częściowo ze względu na procedury zapewniające bezpieczeństwo akcji, ale takie procedury nie wymagają przecież, by agent prowadził pasywne zbieranie danych wywiadowczych, nie mając pojęcia, czego się ma dowiedzieć. To był test. Wykonywał misję, która miała udowodnić jego lojalność wobec Modliszki oraz stojących za nią tajemniczych osób.

„Dobra” – pomyślał Ike. Nie pierwszy raz musiał pokazać, co potrafi.

Zarzucił plecak na ramiona i ruszył w drogę. Jeśli April Kelleher przemierza północną część stanu Nowy Jork, to znaczy, że ją wyprzedza... Chyba że znalazła jakiś szybszy sposób podróżowania. Bez względu na

prędkość, z jaką się poruszała, dotrze do Buffalo, a potem ruszy południowym brzegiem jeziora Erie. Ike rozważył skręcenie na północ, by dotrzeć do brzegu jeziora jako pierwszy i spróbować namierzyć ją na tej trasie. Ale uznał ten ruch za zbyt ryzykowny, bo nie miał pojęcia, jak szybko się ona przemieszcza.

Lepszym wyjściem było jak najszybsze dotarcie do Cleveland, wyciśnięcie jakichś informacji z tamtejszej Division i JTF – o ile jego przykrywka nadal będzie działać – a potem wyruszenie przez Toledo do Ann Arbor. Może uda mu się złapać ją gdzieś po drodze, a jeśli nie, to przynajmniej znajdzie się w Ann Arbor kilka dni przed nią, więc będzie mógł rozpuścić wieści, że Division szuka pewnej rudowłosej kobiety.

Wszystko to będzie się mogło zmienić, jeśli Modliszka albo JTF przekażą mu jakieś aktualniejsze informacje, ale Ike wiedział, że musi coś zaplanować, bo ma do dyspozycji tylko własne oczy oraz intuicję. A to był najlepszy plan, jaki mógł wymyślić w tych okolicznościach. Najistotniejszy był czas. Liczyła się szybkość.

Wpadł na pewien pomysł. Przeszedł na drugą stronę drogi do dużego magazynu z reklamą firmy stawiającej wiaty i inne konstrukcje z prefabrykatów. Drzwi były zamknięte, lecz to nie stanowiło dla Ike'a problemu. Znalazł biuro, a w biurze książkę telefoniczną. Dobrze, że niektórzy byli jeszcze na tyle staroświeccy, że używali papierowych książek z numerami telefonów. W przeciwnym razie potrzebowałby wielu godzin, żeby znaleźć najbliższy sklep z rowerami... A ten znajdował się pięć mil na północ, w miasteczku Lock Haven.

Jednym z wymogów w Division była wyjątkowa sprawność fizyczna, więc Ike przejechał w ciągu ostatnich dziesięciu lat na rowerze tysiące mil. Jego rower pewnie nadal wisiał na ścianie w mieszkaniu na Greenpoincie. Wiele razy pokonał setkę, a raz nawet podwójną setkę na Florydzie, gdzie teren był tak płaski, że można by sobie tak jechać wiecznie. Ale teraz był w środkowej Pensylwanii. Droga z Lock Haven pięła się w górę przez pierwsze dwadzieścia mil stopniowo, a potem bardzo ostro przez kolejne

pięć czy dziesięć. Ike odpoczął na szczycie grzbietu, na zakolu drogi, skąd rozciągał się malowniczy widok. Podobał mu się rower, który wybrał. Ładniejszy niż ten, który miał przed Czarnym Piątkiem: lekka rama z włókien węglowych, lepsze komponenty, wyścigowe opony. I dobrze było znowu wsiąść na rower, choć na samym szczycie nogi aż paliły go z bólu. Był formie dobrej do survivalu, a nie długodystansowych wyścigów rowerowych.

Ale w porządku. Dotrze, gdzie trzeba.

Wsiadł na rower i popedałował. Pod koniec dnia, po dwóch kolejnych morderczych podjazdach, znalazł się w Clearfield, a tyłek bolał go tak, jakby mu go ktoś poobijał młotkiem. Zjechał ślimakiem na parking centrum handlowego, pełnego restauracji i sklepów spożywczych. W jednym z nich znalazł na stojaku atlas drogowy i sprawdził, że znajduje się około trzystu mil od Toledo. Jedną trzecią tego dystansu pokonał kolejnego dnia, docierając na przedmieścia Youngstown w Ohio.

Rano znowu odezwie się do Modliszki. Zegarek nadal świecił mu się na pomarańczowo. Przykrywka działała. ISAK właściwie milczał przez ostatnie dwa dni, bo Ike przemieszczał się poza obszarem dużych miast, gdzie działała większość agentów Division. Ale teraz był już w zurbanizowanym regionie, który ciągnął się od Youngstown i Canton aż do Cleveland. Urywki rozmów agentów z tych okolic sugerowały, że miasta w północnej części Środkowego Zachodu są w lepszej sytuacji niż Nowy Jork, głównie dlatego, że ludziom łatwiej zdobyć żywność. Zanim wirus się tutaj pojawił, wiadomo już było, że wielkoobszarowe blokady na nic się nie zdadzą. Za pośrednictwem lotnisk, autostrad i dworców Nowego Jorku wirus zdołał się rozprzestrzenić, zanim u kogokolwiek wystąpiły objawy.

Mimo to agenci w tym regionie kraju wydawali się zajęci. Ike wiedział, że prędzej czy później zauważą jego obecność, więc równie dobrze mógł sam się zgłosić z gotowością do pomocy w jakiejś akcji. Choć to postawiłoby go w trudnej sytuacji. Dostał od Modliszki bezpośrednie polecenie, by się już więcej nie rozpraszać, ale...

„Spokojnie” – pomyślał. „Zajmiesz się tym, jak będzie trzeba. Na razie trzymaj się swojej misji”.

Czyli stworzenia nowej, silniejszej Ameryki. Tak jak mówiła Modliszka, to będzie na początku wymagać podejmowania trudnych decyzji, jednak Ike wierzył, że stanie się częścią czegoś lepszego: wiodącej siły, która wyprowadzi Amerykę ze skażonej zarazą ciemności w nową, świetlaną przyszłość.

Rozdział 26

APRIL

Podróż trwała aż osiem dni z powodu kłopotów z jedną ze śluz na południe od Rochesteru. Mimo wszystko, gdy April ostatni raz schodziła z barki Soni i Julii w Tonawandzie w stanie Nowy Jork, czuła, że jej wyprawa dobrze się rozpoczęła. Wciąż miała przed sobą daleką drogę, ale pokonała niemal połowę dystansu w ciągu ośmiu dni, a Sonia podpowiedziała jej, że może złapać łódź przybrzeżną, która zabierze ją do Michigan szybciej, niż gdyby wyruszyła na piechotę przez Cleveland i Toledo.

Na dodatek April przez te osiem dni nie usłyszała ani jednego strzału. Im dłużej była z dala od Nowego Jorku, tym mocniej odczuwała tę różnicę. Wspomniała o tym Soni, która ostrzegła ją, by nie myślała, że wszystkie trudności zostały na Manhattanie.

– Na kanale jest dość spokojnie, bo ludzie potrzebują go, by przetrwać – powiedziała. – Ale słyszałam bardzo złe rzeczy o tym, co dzieje się w małych miasteczkach. To samo, co w wielkich miastach. To są tylko pozory cywilizacji.

April uznała, że pewnie ma rację, ale i tak odnosiła wrażenie, że kocioł Manhattanu tworzył o wiele gorsze sytuacje niż to, co napotka w głębi kraju. Mimo wszystko wzięła sobie radę Soni do serca. Zachowa czujność.

– Zanim wyruszysz – powiedziała Sonia – weź to.

Podala jej wypełnioną czymś plastikową torebkę, mniej więcej wielkości dwóch kilogramów mąki.

– Co to? – April odebrała torbę i ścisnęła ją lekko. Zawartość

zaszeleściła.

– Tytoń – odpowiedziała Sonia. – Pokaż, że go masz, dopiero wtedy, gdy będziesz czegoś naprawdę bardzo potrzebować. Jest obecnie cenniejszy niż złoto. Użyj go mądrze i nikomu nie mów, że go masz. Mówię poważnie.

– Nie musicie tego robić – powiedziała April, próbując zwrócić torebkę. – Naprawdę. To raczej ja jestem waszą dłużniczką.

– Dzięki tobie mieliśmy na pokładzie broń – odparła Sonia, odmawiając przyjęcia torby. – Poza tym jesteś dobrą towarzyszką. Powodzenia, April. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. A jeśli kiedykolwiek wrócisz w okolice Albany, zabiorę cię na żagle na rzekę.

Odwróciła się, by nadzorować rozładowywanie reszty towarów z barki, a April schowała tytoń do plecaka. Pora rozpocząć kolejny etap podróży i przemierzyć jakoś południowy brzeg jeziora Erie. Gdyby tak mogła przejść przez Kanadę... jednak każdy z kim rozmawiała, mówił, że to niemożliwe. Kanada miała swoje własne problemy z Dolarową Grypą, ale nie były tak poważne, jak ten cały chaos po amerykańskiej stronie granicy. Dostanie się do Kanady z USA było praktycznie niemożliwe – czy to lądem, czy drogą wodną.

A więc trzeba będzie ruszyć dokoła jeziora Erie. Erie, Cleveland, Toledo, a potem na północ do Ann Arbor. Tak April zaplanowała to sobie na mapie, którą miała w głowie.

Chyba że Sonia ma rację i wzdłuż brzegu jeziora kursują łodzie handlowe. Żeby to sprawdzić, April zaczęła wypytywać robotników w małym porcie w Tonawandzie. Wskazali jej grupę żeglarzy, którzy powiedzieli, że rzeczywiście, po jeziorze pływają łodzie, ale nie zaglądają do Tonawandy.

– Prąd jest tu zbyt silny, by mogły z powrotem wypłynąć na jezioro – powiedział jeden z nich, wskazując jasny błękit rzeki Niagara.

– Czyli nie ma skąd wziąć paliwa, tak? – April przypomniał się Blake i jego tajemnicze źródła. Ktoś i tutaj zapewne potrafi zdobyć paliwo, choćby od czasu do czasu.

– Można je dostać – odpowiedział inny żeglarz. – Ale rzadko, a przede wszystkim drogo. Łatwiej zapłacić komuś, żeby przyciągnął towar z Buffalo, jeśli chce się go puścić kanałem.

– A dokąd się wybierasz? – zapytał kolejny.

– Do Michigan – odpowiedziała April.

– Hm... – Żeglarze jakby się nagle zamyślili. – Problem w tym – powiedział ten, który skarżył się na ceny paliwa – że na odcinku między Buffalo a Erie zdarzają się problemy. – Skinął w stronę strzelby April. – Ale jeśli umiesz to obsługiwać, to pewnie dostaniesz się na łódź.

– Albo – dodał pierwszy żeglarz – możesz podrałować do Erie na piechotę i oszczędzić sobie kłopotu.

– O ile nie natrafisz na Aryjczyków z Jamestown – wtrącił trzeci.

– Jakiego kłopotu? – zapytał April.

– Piratów. Złodzieje występują i na lądzie, i na wodzie.

– Okej. Czyli jeśli wyruszę wodą, to mogę spotkać piratów, a jeśli lądem... to Aryjczyków z Jamestown?

– Tak, to nie najlepsze wieści. Właściwie wszystko między Buffalo a Erie, dziesięć, dwadzieścia mil w głąb łądu, należy do nich. Jesteś biała, więc raczej cię nie zabiją. Ale jak na nich natrafisz, to zapewne zostaniesz męzatką – powiedział pierwszy żeglarz, zaznaczając palcami w powietrzu znak cudzysłowu.

– Brzmi tak zachęcająco, że chyba wolę spróbować swego szczęścia na jeziorze – odpowiedziała April.

Żeglarze byli tego samego zdania.

– Mimo wszystko samotnie podróżująca kobieta... Spałbym na pół gwizdka i z bronią pod ręką – powiedział pierwszy żeglarz.

– Byłam na Manhattanie, gdy zarządzono kwarantannę – odparła April. – Umiem o siebie zadbać.

– Na Manhattanie? Oj, to faktycznie musisz to potrafić. Jak się stamtąd wydostałaś?

April rozważyła, czy nie powiedzieć prawdy. Och, znalazłam pewnego

naukowca samotnika, który napisał książkę przewidującą epidemię Dolarowej Grypy, a on poprosił o przysługę zakon wojowniczych mnichów, którzy pokazali mi, jak przedostać się przez blokadę, i podarowali mi bezcenne dzieło sztuki, żebym wymieniła je na podróż na drugi koniec kanału Erie.

Więc powiedziała tylko:

– To długa historia. Daleko do portu w Buffalo?

Dzieliło ją od niego dziesięć mil. April zabrała się z karawaną ciągniętych przez konie wozów, którymi przewożono towary z barek na kanale do łodzi czekających na jeziorze albo do dostawców na targu, który wyrósł na nabrzeżu Buffalo. Siedziała na wozie, którego boki nadal zdobyły reklamy przejazdów na sianie. Jechali Military Road, a potem odnogą drogi szybkiego ruchu, która wiodła wzdłuż rzeki. Rozpadało się, a rzeka zmieniła kolor z jasnoniebieskiego na stalową szarość. Zanim dotarli do nabrzeża Buffalo, zdążyła się ucieszyć, że ma porządną kurtkę.

Gdy zeskoczyła z wozu pośrodku targu, natychmiast otoczyli ją ludzie próbujący sprzedać jej cokolwiek, począwszy od jajek, a skończywszy na tabletkach na alergię. Dzieci biegały tam i z powrotem, niosąc warzywa albo kury. Omal nie zderzyła się z dziewczyną trzymającą patyk z tuzinem ryb zawieszonych na skrzelach.

– Świeżo złowiony sandacz – powiedziała dziewczyna z uśmiechem pełnym nadziei.

– Dziękuję – odpowiedziała April. Od opuszczenia Nowego Jorku jadła głównie suszone mięso i suszone owoce. – Ale jestem w podróży.

Dziewczyna przeszła dalej, pokazując rybę reszcie pasażerów na wozach. April zaczęła rozglądać się za łodzią. Nawet nie uwzględniając zagrożenia ze strony Aryjczyków z Jamestown, przejście z Buffalo do Ann Arbor zajęłoby jej co najmniej dziesięć dni. Nawet najwolniejsza łódź pozwoliłaby jej zaoszczędzić mnóstwo czasu.

Przemierzając targ, April uzupełniła butelki na wodę i wymieniła bandaż

elastyczny oraz nitkę dentystyczną na tuzin ugotowanych na twardo jajek oraz wiązkę szklarniowej marchwi. W połączeniu z suszoną dziczyzną i serem, które zdobyła, gdy zatrzymywali się wzdłuż kanału, miała zapewnione posiłki na dobrych kilka dni.

Doszła do przystani. Parę zacumowanych łodzi żaglowych i jeden parowiec kołysały się na falach wywołanych przez ulewę. Nie widziała nikogo na ich pokładach, ale z komina parowca unosił się dym. To ciekawe. Skąd mają paliwo? A może przerobili statek tak, że teraz można było palić w nim węglem?

Podeszła do trapu i zawołała:

– Halo, jest tam kto?! Można wejść na pokład?

Starszy mężczyzna wysunął głowę przez okno sterówki. Spadła mu czapka, ukazując pokrytą plamami wątrobowymi łysinę otoczoną rozwianymi siwymi włosami.

– Co? Tak. Kim pani jest?

Zamiast odkrzykiwać przez deszcz i wiatr, April weszła na trap. Podniosła czapkę, a gdy mężczyzna wyszedł ze sterówki, podała mu ją.

– Chciałabym się z wami zabrać – powiedziała.

– A dokąd?

– Najlepiej do Toledo, ale zadowolę się czymkolwiek.

Założył czapkę i otarł twarz z kropel wody.

– Tę giwerę nosisz dla pokazu czy potrafisz jej użyć?

– Nie przepadam za tym, ale potrafię.

– Płynę do Cleveland. Pasuje?

– Pasuje doskonale.

– Okej. – Wyciągnął dłoń, a April ją uścisnęła. – Jestem Dirk Schuler.

A ty?

– April Kelleher.

– Na dole są koje, April. Zostaw tam swoje rzeczy. – Schuler odwrócił się, dając gestem do zrozumienia, by za nim poszła. – Ale broń trzymaj pod

ręką. Wypływamy za godzinę, a pierwsza część rejsu zawsze jest najgorsza.

Zaprowadził ją pod pokład i pokazał koję.

– Mam trzech członków załogi oraz pasażerów. Do Cleveland dotrzemy za około dziewięć godzin, to zależy od wiatru. Obiad gratis.

– Brzmi świetnie – odpowiedziała April. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że pierwsza część rejsu jest zawsze najgorsza?

– Na początkowym odcinku jest największe ryzyko, że natrafimy na lokalnych piratów – powiedział Schuler, ruszając z powrotem na pokład.

April poszła za nim.

– Słyszałam o nich. Ale żeglarze w Tonawandzie mówili, że jeszcze gorsi są Aryjczycy z Jamestown.

– Ci są najgorsi – potwierdził Schuler. Spojrzał w niebo. Przejaśniało się. – Nikt ich nie przebije.

Reszta załogi wchodziła trapem, niosąc worki pełne towarów z rynku. A za nimi z tuzin pasażerów. Całą rufę wypełniał ładunek.

– Skąd wytrzasnąłeś ten statek? – zapytała April.

– Woził turystów po jednym z jezior na północy stanu Nowy Jork – odpowiedział Schuler. – Już nie pamiętam po którym. Ktoś zabrał go na kanał tuż po jego otwarciu, chyba w marcu, a potem... Cóż, wspominałem, że pierwsza część rejsu jest najgorsza? Byłem na tej łodzi, gdy tamten człowiek pierwszy raz wyruszył do Cleveland. Nie przeżył. A potem ja ją przejąłem.

Mówiąc to, patrzył, jak załoga odkłada i zabezpiecza swój ekwipunek, a potem prowadzi pasażerów do kabiny. Odwrócił się w stronę April z poważnym wyrazem twarzy.

– Mówiłem serio, trzymaj broń pod ręką.

Rozdział 27

VIOLET

Trzy czy cztery dni po spotkaniu przez dzieci Sebastiana przy karuzeli, Junie poprowadziła grupę dorosłych do Białego Domu, żeby porozmawiać z JTF. Nie było ich cały dzień, a gdy wrócili, zwołali zebranie po kolacji.

- Mają być wszyscy – oznajmiła Junie.
- Dzieci też? – zapytał Mike.
- Dzieci też. Powinny to usłyszeć.

Tego wieczoru przy kolacji było ciszej niż zwykle. Wszyscy mieli świadomość, że coś się dzieje, ale tylko parę osób wiedziało co, a Junie poprosiła dzieci, żeby do zebrania nic nikomu nie mówiły. Co dziwne, jedzenie było lepsze niż przez ostatnie tygodnie. Zaczęły się zbiory w ogrodzie, więc do złowionych w rzece ryb – skalników – podano świeżą zieloną fasolkę. Mike znalazł dobre miejsce do łowienia, tam gdzie Anacostia wpada do Potomaku. Znajdowało się na tyle daleko od centrum Waszyngtonu, że nikt się o nie nie bił. Przynajmniej na razie.

Wreszcie wszyscy skończyli jeść, poza wyjątkowymi maruderami, a Junie wstała. Zastukała łyżeczką w szklanekę i rozmowy w sali ucichły.

– Wiem, że tak się robi na weselach – powiedziała. – Ale nie wymyśliłam lepszego sposobu na zwrócenie uwagi wszystkich. Musimy podjąć decyzję w bardzo ważnej sprawie.

Mike wstał z miejsca obok i dodał:

– To prawda. Posłuchajcie. Tu nie chodzi o przydział obowiązków. To... To może być sprawa życia lub śmierci.

To faktycznie zwróciło uwagę wszystkich. Violet również. Popatrzyła na swoich przyjaciół. Jak zwykle trzymali się razem. Czasem dołączały do nich inne dzieci z Zamku, gdy grali w jakąś grę albo robili coś wspólnie danego dnia, ale zwykle trzymały się swoich rodzin. Violet i pozostali nie mieli już rodzin.

„Tylko Ivan i Amelia mają tatę” – pomyślała. „O ile nadal żyje”.

Głos znów zabrała Junie.

– Kilka dni temu, jak widzieliście, przybyła tu jedna z działających w Waszyngtonie milicji. Ta wydaje się lepsza od innych, nie są to przynajmniej jacyś apokaliptyczni szaleńcy. Ale są tym, kim są. Wierzą, że władzę daje lufa pistoletu oraz że ich idee są lepsze, bo mają więcej broni. Ja w to nie wierzę. Wierzę w to, że przetrwamy lub zginiemy razem oraz że prawo i władza zwykle nie mają ze sobą nic wspólnego. – Przerwała, bo komuś na sali głośno się odbiło. Violet nie wiedziała komu. Junie patrzyła w tamtym kierunku przez dłuższą chwilę, zanim znowu się odezwała. – Lecz to jest filozofia, a tu mamy prawdziwy świat. Krótko mówiąc: zaproponowali nam układ. Dołączymy do nich, a oni zapewnią nam ochronę przed innymi grupami, które walczą o kontrolę nad miastem i nad całym krajem.

– W zamian za daninę – wtrącił Mike.

W sali rozległy się gniewne pomruki, ale ucichły, gdy Junie uniosła obie dłonie.

– Proszę. Może wcześniej nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale znaleźliśmy się w środku nadchodzącej bitwy. Bitwy o to, w jakim kraju będziemy od teraz żyć. Wirus odebrał nam Amerykę, którą mieliśmy. Pytanie brzmi, jaką Amerykę mieć będziemy.

Ludzie na Kapitolu – którzy zajmują też muzea Smithsonian i są bliscy zdobycia wszystkiego, co leży na południe i wschód od nas – mają wizję, z którą się nie zgadzam. Ale odpowiadam jednocześnie przed każdym mężczyzną, kobietą i dzieckiem tu na Zamku. Więc muszę wam wszystkim zadać to pytanie. Przedstawię wam, o co toczy się gra, a potem zagłosujemy.

Wynik tego głosowania będzie niepodważalny i będziemy musieli się z nim pogodzić. Na tym polega demokracja. To ideał, w który wszyscy wierzymy, a przynajmniej taką mam nadzieję.

„Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko” – pomyślała Violet. „Czy dzieci naprawdę będą miały prawo głosu? Czy kogoś obchodzi, co one myślą?” W Sebastianie było coś, co Violet przerażało. Wiedziała, że Amelia i Saeed czują to samo. Coś w sposobie, w jaki podszedł do nich przy karuzeli. Nie znała odpowiedniego określenia. Coś w jego uśmiechu, coś fałszywego. Nie ufała mu i ucieszyła się, że Junie też mu raczej nie ufa.

– Gdy przyszli tu z nami porozmawiać, zrobiłam to, co uznałam za słuszne – kontynuowała Junie. – Poszłam i rozmawiałam z JTF. Powiedziałam im, co mówili ci ludzie, i zapytałam JTF, co naprawdę sądzą o tym, jak sytuacja w mieście i w kraju będzie wyglądać za rok. Byli mili i zatroskani, jak zawsze. Ale są też realistami. Wiedzą, jakie mają możliwości i co mogą zrobić, a czego nie.

JTF powiedziało mi tak: mają za mało ludzi i za dużo obowiązków. Starają się, jak mogą, zapewnić bezpieczeństwo nam i innym osadom, tej w Ford's Theatre i tak dalej. Ale wiedzą, że inne grupy chcą przejąć kontrolę nad Waszyngtonem. I wiedzą też, że rząd nic nie może z tym zrobić. Prezydent Ellis ze wszystkich sił stara się to wszystko jakoś utrzymać, ale... Cóż, sami wiecie, jak jest.

– Ellis? – Ktoś jej przerwał. – A co się stało z Mendezem? – Eliezer Mendez był wiceprezydentem, gdy wybuchła epidemia. Zajął Gabinet Ovalny, gdy prezydent Waller zaraził się w styczniu Zieloną Trucizną i umarł. Przynajmniej taka była oficjalna wersja. Nikt z nich nie wiedział, co się naprawdę wydarzyło.

– Nie powiedzieli mi tego, ale przypuszczam, że umarł – odpowiedziała Junie. – Dlatego Andrew Ellis był następnym w kolejce do objęcia fotela prezydenta.

Na sali znów rozległy się pomruki. Ellis nie cieszył się w Waszyngtonie szczególną popularnością.

– Ja na niego nie głosowałem – mruknął mężczyzna siedzący niedaleko dzieci.

– Nikt z nas na niego nie głosował – odparła Junie. – Nawet nie wiem, z jakiego jest stanu. Ale teraz jest prezydentem, bo tak działa sukcesja, dopóki nie będzie kolejnych wyborów. A my musimy wybrać. Czy wierzymy w instytucje, które kiedyś mieliśmy, czy porzucimy je i staniemy się częścią powstającej nowej rzeczywistości? Czy sprzymierzymy się z ludźmi, którzy okupują budynek Kapitolu, czy będziemy się trzymać tego, co było dawniej i co moglibyśmy odzyskać?

– Chwila – odezwała się kobieta z krańca stołu Junie. – Nie powiedziałaś nam jeszcze wszystkiego, co kazało zrobić JTF.

– Powiedzieli, że musimy ufortyfikować Zamek i przygotować się na burzę. Będą się starali pomóc, ale jeśli nawałnica nadejdzie, nie mogą obiecać, że dadzą radę nas przed nią ochronić. – Junie westchnęła. – Po rozmowie z ludźmi, którzy okupują Kapitol, wydaje mi się, że JTF ma rację. Nadchodzi bitwa, a my nie chcemy w niej uczestniczyć. Najlepiej będzie okopać się i bronić, dopóki się nie skończy.

– A jeśli tak zrobimy, a ci ludzie w Kapitolu wygrają? – zawołała kobieta z drugiej strony sali. Violet ją rozpoznała. Była policjantką gdzieś w Wirginii. – Pomyślą, że staliśmy po stronie JTF.

– I będą mieli rację – odpowiedziała Junie. – Jeśli ktoś wierzy, że Stany Zjednoczone Ameryki nadal istnieją, musi stanąć po stronie JTF. A jeśli się w to nie wierzy... Cóż, wszyscy pamiętamy, co powiedział Abraham Lincoln, tak? Dom rozdzielony niezgodą nie może się ostać. Musimy dokonać wyboru. W którą przyszłość chcemy wierzyć? Ja wiem, w co wierzę.

– Wiara nas nie uratuje, jak postanowią przyjść tutaj i nas wszystkich pozabijać – odparła była policjantka.

– Nie, nie uratuje – zgodziła się z nią Junie. – Ale jeśli się poddamy, zanim bitwa w ogóle się rozpocznie, uznamy, że nie wierzymy już w Stany Zjednoczone. I nie wierzymy już w konstytucję. Czy jesteśmy gotowi to

powiedzieć?

Zapanował niepokój, wszyscy pomrukiwali coś pod nosem albo szeptali do sąsiadów. Junie popatrzyła na nich, a potem spojrzała na Mike'a. Skinął głową, co Violet odczytała jako gest zachęty. Ponownie wstał z miejsca obok Junie.

– Rozumiem – powiedział. – Martwicie się, że jeśli rozpęta się burza, JTF nie będą w stanie nas ochronić. My też się tym martwimy. Ale ja nie wierzę, że ochronią nas ci ludzie z Kapitolu. Widzą w nas obcy element na terytorium, które uważają za swoje. Chcecie tym być? Czy też chcemy być amerykańskimi obywatelami? Powinniśmy zgodzić się teraz na plan JTF. Jeśli sytuacja zmieni się, na przykład za miesiąc, możemy to znowu przemyśleć, ale na razie nam on odpowiada. Jeśli zaprosimy do Zamku grupę uzbrojonych buntowników, znajdziemy się na celowniku, gdy tylko rozpocznie się walka.

– Przemyślcie to – powiedziała Junie. – Prześpijcie się z tym. Jeśli mamy przeprowadzić głosowanie, to zrobimy to, ale jutro.

Usiadła. Mike też. Słyszał tylko szelest przestawianych stóp i wiercenia się na krzesłach. Ludzie wstali i zaczęli zbierać naczynia i sprzętać. Niewiele mieli do powiedzenia.

Później tego wieczoru, gdy dzieci były już w swojej sali i miały zgasić świece i pójść spać, Junie zapukała do drzwi i weszła.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– My nie zaprosiliśmy tych ludzi do Zamku – odpowiedziała natychmiast Amelia. – To oni podeszli do nas i...

– Przestraszyliśmy się – dokończyła Violet.

– Tak. Chcieliśmy wrócić do domu, ale zapytali, czy mogą iść z nami, i nie mogliśmy im odmówić. – Saeed był tak opatulony kocami, że widać było tylko jego głowę.

– Rozumiem, dlaczego tak postąpiliście, ale powinniście wiedzieć, że tym ludziom nie można ufać. – Junie usiadła na pustej sofie. – Nie jestem

pewna, czy w ogóle komukolwiek można ufać, poza JTF. W mieście jest pełno różnych grup, a każda z nich uważa, że należy im się wszystko. Są niczym głodne psy walczące o ochłap mięsa.

– Ten ochłap mięsa to my – powiedział Wiley.

– Tego właśnie próbujemy uniknąć – odparła Junie. – Dopóki będziemy trzymać się razem, wszystko będzie w porządku.

– Naprawdę? – zapytała cichym głosem Shelby ze swojego ulubionego kąta pod oknem.

– Tak. Nie traćcie wiary, dzieci. Wiara pozwala działać cuda. – Junie wstała i zgasła ostatnią świecę. – A teraz śpijcie. Będziemy mieć mnóstwo pracy przez najbliższe dni.

AURELIO

Aurelio wyobrażał sobie, że można przemierzać Pensylwanię i Ohio na różne sposoby, ale nie było wśród nich amiszowskiej wersji Pony Express. A w taki właśnie sposób pokonywał piąty odcinek drogi. Pierwszą podwózkę złapał w Clearfield, a potem przesiadał się w Clarion, Slippery Rock, Salem i Orrville. Nigdy wcześniej nie słyszał o tych miastach. Nigdy nie rozmawiał z żadnym amiszem. Tak naprawdę uważał ich za postaci na wpół mityczne, jak kowboje albo legendarni ludzie gór. Okazało się, że są – a przynajmniej ci, którzy pokonywali swoimi wozami dłuższe dystanse – praktyczni, małomówni, trochę wycofani, ale na swój sposób hojni. Epidemia nie dotknęła ich tak bardzo, bo nie używali większości dwudziestowiecznych technologii. Lucas, który siedział teraz na ławce woźnicy obok Aurelia, wyznawał teorię, że to właśnie odrzucenie nowoczesnego stylu życia pomogło im przetrwać zarazę.

– To ile mieliście zgonów w Nowym Jorku? Siedem osób na dziesięć? Osiem na dziesięć?

– Chyba nie aż tyle – powiedział Aurelio. – Ale pewnie zbliżony rząd wielkości.

– W naszej wspólnocie to było troje na dziesięcioro – poinformował go Lucas. – Bóg pilnuje swoich.

Aurelio nie był religijny, ale nie miał ochoty się sprzeczać.

– Możliwe – powiedział.

– Na pewno – odparł Lucas.

Dojeżdżali do Willard w Ohio. Wyglądało jak typowe miasteczko pośrodku niczego: rząd sklepów przy głównej ulicy – kilka franczyzowych i kilka lokalnych – a wokół parę kwartałów domów oraz dwupasmowe drogi rozciągające się po płaskich terenach rolnych we wszystkich kierunkach. Na parkingu dilerów maszyn rolniczych miejscowi amisze stworzyli placówkę handlową. Lucas zatrzymał wóz w rzędzie podobnych pojazdów i zsiadł.

Aurelio poszedł jego śladem, ciesząc się, że może rozprostować kości, choćby tylko przez chwilę. Grupa nastolatków zaczęła przerzucać worki i skrzynie z tyłu wozu Lucasa na pusty wóz obok. Lucas podszedł do woźnicy, który skinął mu głową na powitanie.

– Ten Anglik wybiera się do Toledo – oznajmił Lucas, wskazując Aurelia, który nawet po paru dniach nie mógł się przyzwyczaić, że nazywają go Anglikiem. Chyba tak nazywali każdego, kto nie był amiszem.

– Cóż, ja się do Toledo nie wybieram – odparł tamten. – Jadę do Sandusky, żeby kupić ryby.

Lucas spojrzał na Aurelia.

– A gdzie jest Sandusky? – zapytał Aurelio.

Amisze popatrzyli po sobie.

– Czterdzieści, pięćdziesiąt mil od Toledo? – zasugerował Lucas.

– Raczej pięćdziesiąt – stwierdził drugi. A zwracając się do Aurelia, dodał: – Tuż nad jeziorem.

– Cóż – powiedział Aurelio. – To bliżej niż stąd. Będę wdzięczny za podwiezienie.

Amisz zdjął kapelusz, otarł rękawem czoło i założył go z powrotem. Wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Frank Rentschler.

Miał około pięćdziesięciu lat, szpakowate włosy i brodę, a jego jasne czoło mocno kontrastowało ze spalonymi na brąz policzkami. Gdy uściśniły sobie dłonie, Aurelio poczuł siłę człowieka, który większość czasu pracował fizycznie na powietrzu.

Pomógł Frankowi skończyć załadunek wozu, a potem wyruszyli lokalną

drogą z grubsza na północ.

– Ile nam mniej więcej zajmie dojazd?

– Sześć, siedem godzin – odparł Frank, patrząc na konie. – Zależy, czy będą kłopoty przy wjeździe na autostradę.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

– Trafiają się tam bandyci. – Frank wskazał głową miejsce pomiędzy nimi, a Aurelio dostrzegł oparty o siedzenie obrzyn, z wylotem lufy tuż przy prawej stopie Franka.

Gdy zbliżyli się do wyjazdu na trasę numer 99, Aurelio zobaczył, że droga prowadzi dalej pod autostradą, ale jest boczny dojazd do skrzyżowania z autostradą numer cztery.

– To główna droga do Sandusky – oznajmił Frank. – Jest idealna, jeśli chce się mieć do czynienia z bandytami. – Wskazał głową na wprost. – Ta droga jest bardziej czasochłonna, ale zwykle mniej kłopotliwa.

Kilkaset metrów od przejazdu pod autostradą Frank dodał:

– W życiu nie jechałem płatną autostradą. To taka wielka droga, co?

– Ja też nie – odparł Aurelio. – Wychowałem się w Waszyngtonie. Ale tak, to taka wielka droga. Sześć pasów.

– Jechałem kilka razy samochodem podczas mojej rumspringi¹. A potem wróciłem do domu, minęło trzydzieści lat, i reszta świata dołączyła do nas. Niewiele jeździ dziś samochodami, co?

– Rzeczywiście niewiele – potwierdził Aurelio. Spostrzegł, że zza balustrady autostrady wychylają się głowy. – Chyba ktoś nas obserwuje.

– Ha... – skomentował Frank. – Lepiej przyśpieszmy.

Trzasnął lejcami i konie przeszły w kłus.

– Hej, amisz! – krzyknął jeden z mężczyzn na estakadzie, gdy znaleźli się dostatecznie blisko. Wskazał na lewo, tam, gdzie był wjazd na autostradę numer cztery. – Musicie pojechać czwórką!

Aurelio przesunął G36 i odbezpieczył karabin, trzymając go na tyle nisko, żeby nie dostrzegł go nikt z estakady.

– Nie chcesz wjeżdżać na ten rozjazd, zgadza się?

Frank minimalnym ruchem pokręcił głową.

– Nie.

Konie cały czas poganiał kłusem.

– A jak oni na to zareagują?

– Trudno powiedzieć.

W cieniu pod estakadą Aurelio zauważył ruch. Pojawiło się tam czterech mężczyzn. Dwóch z pistoletami, jeden z AR-15.

– Jak się zatrzymamy, to będzie źle, tak?

Frank niemal niezauważalnie przytaknął. Mężczyzna pod estakadą uniósł AR-15. Dwaj pozostali wyciągnęli przed siebie dłonie.

– Jak zacznę strzelać – powiedział Aurelio – to wyduś z tych koni wszystko.

Frank skinął głową.

– Konie to nie problem. Tylko wóz.

Mieli przed sobą czterdzieści metrów. Trzydzieści.

Przy dwudziestu metrach odległości Aurelio uniósł G36 i strzelił.

Trudno jest trafić w poruszający się cel. Trudno też trafić w cel stacjonarny z poruszającego się pojazdu, zwłaszcza gdy pole ostrzału ma się z obu stron ograniczone przez końskie głowy. Pierwszą serią Aurelio spudłował. Bandyta z AR wzdrygnął się, zamiast odpowiedzieć ogniem, co nie tylko pokazało Aureliowi, że mają do czynienia z amatorami, ale też dało mu czas na puszczenie kolejnej serii.

Tym razem trafił, celując w nogi. Jednocześnie Frank wrzasnął:

– Wio! – i smagnął konie lejcami po grzbietach. Szarpnęły do przodu, a ludzie pod estakadą rozproszyli się na boki.

Poza jednym, który odwrócił się, zaczął biec przed nimi, a gdy wóz go mijał, skoczył i złapał za uprząż prawego konia. Zaparł się nogą o postronek pociągowy i wyjął pistolet.

Frank coś krzyczał, ale Aurelio go nie słyszał. Przejechali już pod estakadą i wydostali się na słońce po drugiej stronie, jeśli jednak ten zbir

zastrzeli konie, to w ciągu paru minut dopadnie ich zgraja bandytów. Lecz jeśli Aurelio strzeli do niego pod takim kątem, najprawdopodobniej sam zastrzeli jednego z koni.

Rzucił G36 na podłogę wozu i wskoczył na grzbiet konia. Jedną ręką chwycił za uprząż, a drugą z całej siły uderzył bandytę w przedramię. Pistolet wypalił, ale wyleciał z dłoni i ze stukotem wpadł pod wóz. Aurelio nigdy wcześniej nie jechał na koniu, więc mógł tylko próbować nie spaść. Walnął bandytę pięścią w twarz, jednak niewiele więcej mógł zdziałać.

Ten wyciągnął nóż i zamachnął się nim na Aurelia. Agent Division złapał go za rękę i spróbował wykręcić. Żeby zrobić dźwignię, musiałby puścić uprząż, a gdyby to z kolei zrobił, wylądowałby pomiędzy końmi, a zaraz potem pod wozem. Bandyta był w podobnej sytuacji. Znaleźli się w klinczu. Z tyłu rozległy się strzały, lecz wóz toczył się dalej drogą.

Bandyta zręcznie zatoczył ręką mały okrąg, wyswobadzając ją z uścisku Aurelia. Stary trik, ale działał zawsze, gdy przeciwnik nie mógł przesunąć dźwigni. A potem dźgnął nożem nisko, prosto w brzuch Aurelia.

Aurelio nie miał wyboru. Obrócił się na bok i przycisnął łokieć do ręki bandyty, unieruchamiając ją przy jego klatce piersiowej. Tracąc równowagę na koniu, puścił uprząż i złapał się koszuli bandyty. Jeśli miał spaść, to razem z nim.

Ruch końskiego grzbietu wybił Aurelia, który pociągnął za sobą napastnika. Starał się obrócić w powietrzu, żeby wylądować na przeciwniku, a nie na betonie. W połowie mu się udało. Bandyta pierwszy uderzył w nawierzchnię, płasko plecami. Ułamek sekundy później prawe ramię Aurelia wbiło się w mostek napastnika, a zaraz potem agent uderzył bokiem głowy o beton. Błyskawicznie odsunął się od bandyty, przetoczył i zatrzymał twarzą do ziemi na żwirze pobocza. Słyszał jakieś dźwięki, ale wydawały mu się odległe. Nie wiedział, gdzie są jego ręce. Gdy uniósł głowę, nie potrafił skupić wzroku.

W odległości paru metrów bandyta zwinął się na boku, z trudem łapiąc oddech. Aurelio podparł się na dłoniach i kolanach, a potem spróbował

wstać. Nie dał rady. Usiadł na żwirze, głęboko wciągając powietrze.

Padł na niego jakiś cień. Podniósł wzrok i zobaczył Franka.

– Walnąłem się w łeb – dał radę wydukać.

– Widać – powiedział Frank. – Nieźle krwawi.

Aurelio tego nie zauważył, ale gdy Frank o tym wspomniał, poczuł, że cały policzek ma we krwi.

– Chodź – powiedział Frank, pomagając Aureliowi wstać. – Nie możemy tu zostać.

Zabrał Aurelia z powrotem na wóz i pojechali dalej kłusem. Aurelio zdołał zebrać myśli. Bolał go bok twarzy i wyczuł tam dwa rozcięcia – na łuku brwiowym i na policzku. „Właśnie po to mamy te kości” – pomyślał. Przynajmniej oko mam całe.

– Dziękuję, panie Diaz – powiedział Frank. – Ci ludzie zabraliby mi wszystko, co mam. Mogliby mnie też zabić. Innym już to zrobili.

– Nie ma sprawy – odparł Aurelio. W tym momencie kołysanie wagonu ostatecznie go pokonało i zwymiotował za boczną krawędź.

Gdy skończył, Frank powiedział:

– Założę się, że masz wstrząśnienie mózgu.

– Możliwe – zgodził się Aurelio. Odzyskał widzenie i nie miał już zaburzeń poznawczych. Kto jest prezydentem? Andrew Ellis. Jaki mamy miesiąc? Maj.

Przepłukał usta wodą i wypluł ją na drogę. W Nowym Jorku wzięłyby dzień wolnego, żeby sprawdzić, czy objawy się nie utrzymują i czy nie ma uszkodzenia mózgu. Jednak tutaj nie miał takich możliwości i nie miał też czasu. Musiał znaleźć Ike'a Ronsona.

Kilka mil dalej Frank ściągnął wodze, by konie przeszły do stępa.

– Ruszą za nami, prawda? – zapytał Aurelio. Ramię mocno go bolało. Był pewien, że jest zwichnięte, ale nie wyskakiwało ze stawu, gdy nim poruszał, więc przy odrobinie szczęścia zagoi się, jeśli da mu odpocząć.

Nie żeby miał na to czas.

– Możliwe – odparł Frank. – Ale nie mogę męczyć koni. To znaczy

jeszcze bardziej.

W pierwszej chwili Aurelio nie zrozumiał, ale gdy przyjrzał się im bliżej, zobaczył, że jeden z nich krwawi. Frank zatrzymał wóz i zsiadł. Aurelio obserwował, czy na drodze nie pojawia się pościg, a Frank sprawdził, co z koniem. Agent czuł, że puchnie mu oko.

– Farciarz. – Stwierdził po chwili Frank. – Wygląda na to, że to tylko otarcie.

Aurelio podszedł, by się przyjrzeć. Kula bandyty wyłobiła kilkunastocentymetrową bruzdę na żebrach konia. Ale kości nie było widać.

– Jak dostać postrzał, to tylko taki – stwierdził Aurelio.

Frank poklepał konia po czole.

– No chyba – powiedział i wspiął się na wóz. – Dotrzemy do Sandusky przed zmrokiem. Tam cię pozszywam.

APRIL

Pierwszy przystanek parowiec miał w Erie, o czym kapitan Schuler zapomniał April wspomnieć, gdy się okrętowała.

– Myślałam, że płyniemy do Cleveland – powiedziała.

– Owszem, ale najpierw do Erie.

Zaczął wykrzykiwać polecenia załodze. April oparła się niezadowolona o ścianę sterówki, gdy parowiec zwolnił, przepływając przez kanał prowadzący z jeziora do zatoki Presque Isle. Nie kojarzyła miasta Erie w Pensylwanii, ale port wyglądał bardzo malowniczo. Pewnie przed wybuchem epidemii było to małe przyjemne miasteczko. Trudno powiedzieć, jakie było teraz, choć po tej jego stronie, na nabrzeżu, panował ożywiony ruch. Dostrzegła nawet umundurowanych policjantów. Stojące w rzędzie wiatraki na krańcu portu kręciły się na wiejącym od lądu wietrze, a od doków dobiegał charakterystyczny terkot generatora prądu. Czyżby mieli tu elektryczność? Ciekawe, w jakich ilościach.

April zaczęła sobie uświadamiać, że skutki wirusa były odmienne w różnych miejscach. Niektóre zostały zdziesiątkowane, w innych mieszkańcy odzyskiwali jaką taką równowagę. Oprócz wypalonych ruin widziała miejsca, gdzie ludzie się zgromadzili, przetrwali i zdawali się żyć w miarę normalnie. Były obszary kontrolowane przez takich jak Aryjczycy z Jamestown, ale były też miasteczka jak Erie, gdzie ludzie o różnych odcieniach skóry pracowali razem dla wspólnego celu, jakim było przetrwanie.

Nowy Jork to nie cały świat. Dobrze o tym pamiętać.

Mimo wszystko była zirytowana, że Schuler nie zdradził jej dokładnego planu podróży. I że sprawiał wrażenie, jakby mieli być zagrożeni podczas całego rejsu. A spotkali najwyżej ze trzy inne łodzie, głównie dlatego że płynęli dalej od brzegu. Jezioro było spokojne po krótkiej ulewie, więc Schuler obrał kierunek prosto na Erie, zamiast trzymać się wybrzeża.

– Niekiedy płyniemy cały czas wzdłuż kanadyjskiej granicy, aż znajdziemy się na północ od Erie, i wtedy robimy skrót na południe – powiedział jej jeden z członków załogi, gdy byli w połowie drogi. Był cały spocony od ładowania do kotła i wyszedł na pokład, żeby odetchnąć i ochłonać. Dredy miał całe obsypane popiołem. – Kanadyjska straż graniczna wrzeszczy, żeby nie zbliżać się do granicy, ale zwykle pomagają, jeśli są jakieś kłopoty.

– Zwykle?

– Nie można zawsze na kimsz polegać – odparł palacz. Od wyjścia na pokład wypił dwa litry wody. Rozwiązał bandanę, którą przepasał dredy, potrząsnął nimi i znowu je związał. – Do Erie jeszcze ze dwie godziny – powiedział i zszedł z powrotem pod pokład. April wpatrywała się w południowy horyzont, czekając na pojawienie się lądu.

Erie? April poszła poszukać Schulera.

I właśnie dopłynęli. Czekali na dostawę drewna opałowego i na opuszczenie statku przez kilku pasażerów. Nikt natomiast nie wsiadał. Po półtorej godziny i burzliwych negocjacjach między Schulerem a ładującymi drewno robotnikami z portu wycofali się kanałem z powrotem na jezioro, ominęli Presque Isle i ruszyli na południowy zachód w kierunku Cleveland.

April weszła do sterówki. Schuler właśnie mijał parowcem rozbity frachtowiec, który osiadł na mieliźnie.

– Dotrzemy do Cleveland jeszcze dziś przed zmrokiem – oznajmił.

– Okej. Na wodzie wydaje się dość spokojnie. – April patrzyła na przesuający się wzdłuż burty frachtowiec. Wyglądało na to, że wpłynął na

płyliczną, a potem zima dopełniła dzieła zniszczenia. Zastanawiała się, czy może załoga zmarła na wirusa, a statek potem dryfował.

– Jak dotąd, tak. Na razie mamy szczęście – Schuler zerknął na nią. – Ale bądź czujna.

– Spędziłam pięć miesięcy na Manhattanie. Chyba nie potrafiłabym nie być czujna, nawet gdybym chciała.

– Co ty nie powiesz? – odparł Schuler. – I jak tam jest? Kiepsko to wyglądało w telewizji, jak jeszcze działała.

– Rzeczywiście było kiepsko. Teraz jest już trochę lepiej.

– Ale nie na tyle lepiej, żebyś chciała tam zostać. I chyba naprawdę bardzo chciałaś się stamtąd wyrwać, skoro zaryzykowałaś wyprawę w pojedynkę.

– Chciałam się przekonać, jak wygląda reszta kraju – odparła. – To bardzo ciekawe, jak inaczej tutaj jest. A co dwadzieścia mil znowu coś innego.

– Czyli przedarłaś się przez blokadę, żeby pozwedzać? – Ton Schulera sugerował, że jej nie wierzy.

– Nie, szukam kogoś – odpowiedziała. W sumie to była prawda. Chciała uzupełnić wizerunek Billa w swojej głowie, obraz jego życia i jego śmierci.

– Aha – odparł i minąwszy rozbity frachtowiec, zawołał przez starodawną tubę do kotłowni: – Pełną parą!

– Pełną parą, tak jest, kapitanie! – dobiegł głos z dołu.

Po chwili łopatki parowca weszły głębiej w wodę, a April poczuła, że statek przyśpiesza. Ekscytujące doznanie. Nie korzystała z żadnego zmechanizowanego pojazdu od początku grudnia. Poprawił jej się humor, podobnie jak na widok tamtych wiatraków na wybrzeżu. Ludzie jakoś się trzymali. A jeśli antywirus o szerokim spektrum rzeczywiście istnieje i rząd utrzyma się na tyle długo, żeby zacząć dystrybuować szczepionkę, to może sytuacja naprawdę się poprawi.

Dobry humor nie opuścił jej aż do Cleveland, które zapowiadała charakterystyczna łuna świateł elektrycznych na niebie nad jeziorem,

widoczna z odległości wielu mil.

– Mój Boże – powiedziała April. – Czy w całym mieście jest prąd?

– Och, nie – odpowiedział Schuler. – Absolutnie nie. To tylko kilka dzielnic blisko wody. JTF opanowało sytuację na tyle, że podłączyli jakieś duże generatory i chyba też wiatraki, tuż nad brzegiem.

Zwolnili i wpłynęli do portu towarowego obok położonego nad brzegiem jeziora lotniska. Gdy cumowali, April zapytała:

– Na pewno nie płyniecie dalej?

– Nie – odpowiedział Schuler. – Zabieramy ładunek oraz pasażerów, nocujemy i wracamy do Buffalo.

– W porządku – odparła April. – W każdym razie dziękuję za podróż.

– Nie ma za co. Cieszę się, że nie musiałaś mi pokazywać, że potrafisz obsługiwać tę giwerę. Sto mil drogą numer dwa wzdłuż jeziora i będziesz w Toledo.

– Dobrze wiedzieć. A wiadomo, jak jest po drodze?

– Niestety – powiedział Schuler. – Na stadionie futbolowym jest baza JTF. – Wskazał na zachód, a April dostrzegła stadion na brzegu jeziora. Był jednym z oświetlonych obiektów. – Można tam zapytać.

– Tak zrobię. Powodzenia z piratami – odpowiedziała April.

– Masz szczęście, że się z nimi minęłaś – odparł Schuler.

Zszedł pod pokład, żeby nawrzeszczyć na palaczy, a April obeszła szklane piramidy Rock and Roll Hall of Fame, idąc w kierunku stadionu. Mijała załogi innych łodzi, załadowujących lub rozładowujących towary. Znow uderzyła ją odmiennosc tutejszej sytuacji od Manhattanu. Nieograniczeni blokadą ludzie prowadzili handel i dzięki temu się utrzymywali. Zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby zniesiono blokadę Manhattanu. Czy wyspa zaczęłaby eksportować swoje problemy na Brooklyn, Queens i Bronx, czy też sytuacja ustabilizowałaby się, bo ludzie byłiby w stanie zdobyć to, czego potrzebują, nie korzystając z pomocy przemytników i czarnorynkowych pośredników?

Jeśli kiedykolwiek tam wróci, może się dowie.

Pierwszy raz o tym pomyślała. Że nie musi wracać. Ta myśl była zbyt poważna, by się teraz nią zajmować, więc upchnęła ją na później w pamięci, gdy obchodziła Great Lakes Science Center, kierując się ku otwartemu na wschód bokowi stadionu futbolowego. Rząd betonowych barier otaczał go w odległości stu metrów od wejścia, a jedynej w nim bramy strzegł ufortyfikowany punkt kontrolny JTF. Podeszła tam, ze strzelbą przewieszoną przez plecy i z dłońmi na widoku.

– Stać – powiedział wartownik. – Kim pani jest?

– Nazywam się April Kelleher. Chcę się dostać do Ann Arbor w Michigan. Może moglibyście mi jakoś pomóc.

– W jaki sposób? Podwieźć? Nie sądzę.

– Wystarczyłaby dobra rada. Jak wygląda sytuacja po drodze?

Wartownik odsunął hełm do tyłu. Miał najwyżej dwadzieścia lat.

– A zamierza tam pani iść na piechotę?

– Jeśli nie ma innego sposobu, to tak.

– Przepraszam, że to powiem, ale to czyste wariactwo.

– Możliwe. – „Mogłabym ci opowiedzieć trochę o tym, co już robiłam” – pomyślała April. „Wtedy dopiero byś się zdziwił”.

– Cóż, zachodnie przedmieścia są raczej opustoszałe – powiedział po chwili wartownik. – Jeśli pójdzie pani tamtędy, to trzymałbym się blisko jeziora, zwłaszcza przy dawnej stalowni. Było tam trochę problemów. A dalej... Jezu, nie mam pojęcia. Stąd do Toledo to raczej prowincja, może poza okolicami Sandusky.

– Dzięki – powiedziała April. – Takiej właśnie informacji potrzebowałam. A mogłabym nalać sobie wody, zanim wyruszę?

– Bardzo proszę. – Wartownik odsunął się i wskazał cysterne, która stała tuż za punktem kontrolnym wewnątrz betonowej bariery.

April napełniła obie butelki, a potem wypila jedną z nich i ponownie napełniła. W drodze wiele razy piła ze strumieni, więc jej żołądek już się do tego przyzwyczał, ale miała wątpliwości, czy tak blisko miasta byłby to dobry pomysł. Nawet jeśli zakłady przemysłowe były zamknięte, to rzeki

z pewnością będą wypłukiwały toksyny jeszcze przez wiele dekad.

Właśnie poprawiała plecak, gdy rozległ się za nią jakiś głos.

– Chwileczkę.

Odwrociła się i zobaczyła agenta Division. Szczupłego, o ciemnej skórze i ciemnych oczach, z podejrzliwym wyrazem twarzy. Trzymał w dłoniach karabinek szturmowy FN SCAR.

– Cześć – powiedziała.

– Może mi pani powiedzieć, skąd ma ten plecak?

I superdziewięćdziesiątkę?

Patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała:

– Zabrałam je agentowi Division Dougowi Suttonowi, który zginął, ratując mi życie.

– Ach, tak – powiedział.

– Ach, tak – powtórzyła. – Razem z przyjaciółmi byłam zakładniczką gangu. On nas znalazł.

– A gdzie to było?

– W Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku? – powtórzył agent niczym echo. – To co pani robi w Ohio?

– Przemierzam je najszybciej, jak się da – odparła April.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Domyślała się, że właśnie ściąga informacje z systemu łączności Division, które potwierdzą lub nie, że w Nowym Jorku był agent o takim nazwisku i co wiadomo o okolicznościach jego śmierci.

– Proszę posłuchać, dam pani dobrą radę. Wielu agentów nie zawracałoby sobie głowy sprawdzeniem, czy mówi pani prawdę – powiedział.

– Co pan przez to sugeruje? – zapytała April, choć doskonale się domyślała.

– Sporo agentów woli najpierw strzelać, a potem pytać, gdy widzą cywila z elementami ekwipunku Division. W dziewięciu przypadkach na

dziesięć taki osobnik nosi rzeczy agenta, którego zabił. Nie zdjąłem pani tylko dlatego, że była już pani wewnątrz bariery JTF i uznałem, że tutaj nic głupiego pani nie zrobi.

Już kiedyś pewien agent zauważył u niej wyposażenie Division i zagadnął ją o to. To było tuż przed tym, jak pierwszy raz weszła do Strefy Mroku. Nie wspominał wtedy, że agenci zabijają ludzi, którzy ukradli ekwipunek Division. Może to coś nowego. A może nie każdy agent to robi.

– Cóż, dziękuję za troskę, agencie – powiedziała. – Na mnie już czas. Przede mną długa droga.

– A dokąd?

– Do Ann Arbor.

– A co jest w Ann Arbor?

– Odpowiedź na pytanie, kto zabił mojego męża, o ile mi się poszczęści – odpowiedziała. Musiała wystarczyć część prawdy. Wkrótce, jeśli dotrze do Ann Arbor, będzie musiała zacząć pytać o firmę SBGx i antywirusa o szerokim spektrum... Ale jeszcze nie teraz.

– Okej. – Agent obrzucił ją surowym spojrzeniem, ale już nie mierzył do niej z broni. – ISAK potwierdził pani słowa o agencie Suttonie. Może pani iść, ale ostrzegam, że to nierozsądne nosić nasz sprzęt, skoro nie jest pani jedną z nas.

– Dziękuję za radę, agencie – odpowiedziała April.

Odwrócił się, a ona szybko się stamtąd ulotniła.

Słońce już zachodziło, ale chciała wydostać się z Cleveland na obszary wiejskie, gdzie prawdopodobieństwo spotkania agenta Division byłoby o wiele mniejsze. Mając tamto ostrzeżenie w pamięci, April uświadomiła sobie, że nie może liczyć na pomoc agentów Division. Mieli swój własny kodeks honorowy i dla wielu z nich aresztowanie jej – nie mówiąc już o czymś gorszym – stanowiłoby jego wypełnienie.

Powinna jak najszybciej ruszyć w drogę.

Po drugiej stronie stadionu znajdował się duży niezabudowany teren zastawiony różnymi pojazdami. Do większości z nich zaprzęgano konie lub

woły, ale April usłyszała też warkot silnika i poczuła zapach... smażonych frytek? Przemknęła między rzędami ciężarówek i wozów, aż dotarła do ciężarówki z pustą naczepą, na której stało dwóch mężczyzn. Mocowali elementy stalowego rusztowania. Z tyłu kabiny stały dwie duże plastikowe beczki wypełnione chyba olejem do smażenia. Zapach był intensywny i sprawił, że April poczuła tęsknotę za fast foodami, do których przed epidemią zaglądała bardzo rzadko.

Słyszała, jak ludzie opowiadają o samochodach i ciężarówkach jeżdżących na oleju jadalnym, ale pierwszy raz coś takiego widziała.

– Przepraszam – powiedziała. – Dokąd jedziecie?

– Na lotnisko – odpowiedział jeden z mężczyzn.

– A w którą to stronę?

Wskazał zachód.

– Mam prośbę – powiedziała – a jednocześnie propozycję.

Mężczyzna, skończywszy ustawianie rusztowania, wyprostował się i zapytał:

– Jaką?

April opuściła plecak na ziemię i wyjęła owinięty plastikiem pakunek, która dała jej Sonia pod koniec rejsu kanałem. Wyrwała w folii niewielką dziurkę i uniosła pakunek. – Proszę powąchać.

Mężczyzna nachylił twarz i głęboko wciągnął powietrze. Oczy aż mu się rozszerzyły.

– Dwa i pół kilograma tytoniu – powiedziała April. – Połowa dla was, jeśli zawieziecie mnie teraz do Michigan.

– A dokąd w Michigan?

– Do Ann Arbor.

Mężczyzna się zamyślił.

– Nie mam tyle paliwa, żeby dojechać tam i z powrotem. Ale pojedę do Toledo.

– Umowa stoi – odparła April. Wspięła się na naczepę i umościła przy beczkach z olejem. Poklepała torebkę z tytoniem i zapytała:

– Możemy już jechać?

Rozdział 30

IKE

Gdy Ike po raz kolejny zgłosił się do Modliszki, czekała go spora niespodzianka. Był wtedy w olbrzymim sklepie ze sprzętem turystycznym i biwakowym w Dundee w stanie Michigan.

– Mamy dla ciebie ważną aktualizację, Strażniku: April Kelleher była w Cleveland dwanaście godzin temu.

– Tak? – Dwanaście godzin temu Ike wjechał na olbrzymi parking przed sklepem. Potem miał mały problem z miejscowymi, którym nie spodobało się, że wchodzi do środka, ale bez problemu sobie z nimi poradził. Następnie spędził noc w nowiutkim śpiworze z działu biwakowego, a rano poczuł, że jest gotowy zawojować cały świat.

– Agent Division sprawdzał ją, bo miała wyposażenie SHD – oznajmiła Modliszka. – Puścił ją, bo wyjaśniła, skąd je wzięła, ale zgłosił spotkanie i zapisano je w rejestrach operacyjnych SHD.

„Miała szczęście” – pomyślał Ike. On pewnie pozbawiłby ją przytomności i zabrał na niezbyt łagodne przesłuchanie. Wielu agentów tak by postąpiło. Ale nie znając wszystkich okoliczności, nie miał zamiaru nikogo osądzać. Działanie Division opierało się na tym, że agenci mieli swobodę w ocenie sytuacji. Agent w Cleveland był tak samo wyszkolony jak Ike; Ike być może zrobiłby to samo, choć instynkt podpowiadałby mu raczej, że ta kobieta jest wrogiem.

– Skoro była w Cleveland dwanaście godzin temu... – Ike zaczął liczyć. Na piechotę powinna już dotrzeć w pobliże Toledo.

– Agent nadzorujący zgłosił, że potwierdziła swój cel jako Ann Arbor. Udaj się tam natychmiast, Strażniku.

– Chyba lepiej będzie, jeśli przejmę ją, zanim tam dotrze – odpowiedział Ike. – Miałbym wtedy więcej czasu na zdobycie jej zaufania, Modliszko.

– Zastanawialiśmy się nad tym, Strażniku. Ale naszym zdaniem nie warto ryzykować, że dotrze do celu, zanim się z nią skontaktujesz. Najważniejsze, żebyś zdążył nawiązać z nią kontakt, zanim to nastąpi.

– Zrozumiałem, Modliszko. Łatwiej by było, gdybyś powiedziała mi, co wiesz na temat jej celu.

Modliszka zawahała się. Ike zdawał sobie sprawę, że to jest ten moment, w którym muszą zdecydować, na ile mu ufają. A w oparciu o ich decyzję on będzie wiedział, na ile może zaufać im.

– Według naszej oceny jej celem jest najprawdopodobniej Północny Kampus Uniwersytetu Michigan – odpowiedziała Modliszka.

– Przydatna informacja – powiedział Ike. – A jeszcze bardziej przydatne byłoby, gdyby...

– W tym momencie tyle mogę ci zdradzić, Strażniku. Udaj się do Ann Arbor. Nawiąż kontakt z April Kelleher i wspieraj ją, gdy będzie dążyć do swojego celu. Takie masz rozkazy. Zrozumiano?

– Tak jest.

Modliszka się rozłączyła.

Ike byłby w stanie dojechać do Ann Arbor na rowerze w dziewięćdziesiąt minut, gdyby utrzymał szybkie tempo. Wyrzwał na zewnątrz. Pogoda była ładna, ale na zachodzie zbierały się chmury. Przez chwilę buszował po złupionym sklepie, mając nadzieję, że natknie się na coś użytecznego, ale ludzie z Dundee wszystko przejrżeli. Poza nowymi skarpetkami i bielizną niczego nie znalazł.

Zawsze coś. Przebrał się i wyprowadził rower na zewnątrz. W głowie wyznaczał możliwe trasy April Kelleher. Jeśli przemieszczała się pieszo, musiałyby przejść przez Toledo, a potem rozsądek nakazałby jej skorzystanie z drogi numer 23, która biegła z Toledo prosto na północ do wschodniej

części Ann Arbor. Ike widział ją z parkingu sklepu, gdy sprawdzał opony.

Niewiadomą stanowiło jezioro Erie. Ike raczej unikał zbędnego kontaktu z ludźmi podczas przemierzania stanu Ohio, ale będąc w Toledo, widział sporo łodzi na rzece oraz statki wypływające na jezioro. Zanim pojawiły się samochody, łodzie były o wiele szybszym sposobem przemieszczania się niż transport lądowy. Teraz było bardzo podobnie, poza takimi, którzy potrafili pokonać sto mil dziennie na rowerze. Ale Ike tak długo nie pociągnie. Jadł za dwóch, by mieć energię, ale nie miał dostępu do odpowiednio kalorycznej żywności, by zapewnić sobie siłę niezbędną do tak intensywnej jazdy. Gdy dotrze do Ann Arbor, odstawi rower na dłuższy czas.

Czuł, że jeśli powiedzie mu się z tą misją, to nie będzie go już potrzebował. Grupa Modliszki miała dostęp do mnóstwa sprzętu, także do pojazdów. Dowiedział się o tym podczas rekrutacji i w to uwierzył, bo to współgrało z ich dostępem do zaawansowanych technologii – jak środki zaradcze w ISAK-u, które wciąż pomagały mu zachować pomarańczowy kolor, a jego nazwisko nadal nie pojawiło się w rejestrze zbuntowanych agentów.

Ike czuł, że jest blisko. Blisko zrozumienia, kim są ludzie Modliszki i blisko stania się częścią ich projektu.

Musiał tylko dotrzeć do Ann Arbor przed April Kelleher, a potem zadbać o to, by nie przegapić jej przybycia do miasta.

Ta myśl sprawiła, że znów przypomniał sobie o jeziorze. Jeśli skorzystała z łodzi, to prawdopodobnie popłynęła do Detroit, więc przybędzie do Ann Arbor od wschodu międzystanową numer 94. Ta autostrada krzyżowała się z dwudziestką trójką na samym skraju Ann Arbor. Ike użył ISAK-a, by przyjrzeć się dokładniejszej mapie Ann Arbor. Północny Kampus Uniwersytetu Michigan też był przy dwudziestej trzeciej, ale dalej na północ niż skrzyżowanie z międzystanową. Jeśli Kelleher знаła do niego drogę i nadeszłaby od wschodu, mogłaby wejść do Ann Arbor dalej na północ.

To była prawdziwa zagadka. Kelleher mogła być w tym momencie

w odległości kilku mil od niego, mogła zbliżyć się do Toledo, a mogła też płynąć łodzią po jeziorze Erie.

Jeszcze raz rozważył wszystkie możliwości i postanowił, że bez względu na to, czy Kelleher przemieszcza się lądem czy wodą, na pewno pojawi się w Ann Arbor od wschodu. Więc przede wszystkim tam powinien się znaleźć. I wtedy pomyśli o kolejnych krokach.

Dotarł do skrzyżowania z międzystanową numer 94 około dziewiątej i rozejrzał się. Niewiele tu było do zobaczenia, jedynie mile pustej autostrady i kilka opuszczonych budynków na porośniętym chwastami wielkim parkingu. Kino i coś, co wyglądało jak magazyn do przechowywania rzeczy, z szeregiem metalowych boksów. A na południu głównie zieleń.

Dalej na północ Ike natknął się na kolejne skrzyżowanie, gdzie Washtenaw Avenue przechodziła pod autostradą. Po zachodniej stronie ciągnęło się wielkie centrum handlowe, na którego parkingu mieściła się baza polowa JTF. Zjechał po estakadzie w tamtym kierunku. Jeśli April Kelleher już tu dotarła, to mogła zajrzeć do JTF, żeby o coś wypytać. A może nie. Problem polegał między innymi na tym, że Ike nie miał pojęcia, ile ona wie. Możliwe, że ruszy jak po sznurku do jakiegoś konkretnego miejsca, wiedząc dokładnie, dokąd zmierza. Możliwe też, że jest w podobnej sytuacji jak on – do czegoś dąży, ale jej ostatnie kroki do celu otacza mnóstwo niewiadomych...

Wartownicy w bazie JTF przywitali go, a on skinął im, gdy zsiadł z roweru i podprowadził go do punktu kontrolnego.

– Skąd jedziesz? – zapytał jeden z wartowników, żeby nawiązać rozmowę. Wyglądali na wypoczętych i rozluźnionych. Mieli nawet świeżo ostrzyżone włosy.

– Jestem w drodze od jakiegoś czasu – odpowiedział Ike. – Szukam pewnej osoby i zastanawiam się, czy tu do was nie zajrzała.

– Przechodzący tędy cywile zwykle tego nie robią – odparł drugi wartownik. – Chyba że mają jakiś problem. A w tej okolicy problemy raczej

nie występują. Większość ludności pozostałej w Ann Arbor skupia się przy stadionie futbolowym. Tam jest główna baza JTF. To w południowej części miasta, w tamtym kierunku. – Wskazał na południe.

Ike ucieszył się z tej wiadomości. Jeśli JTF stacjonowało na południu miasta, a jego teren działań znajdował się na północy, to bardzo dobrze. Mniejsze ryzyko problemów, gdy dowie się, czego Kelleher szuka, i przyjdzie pora na działanie.

– Macie tu interfejs ISAK-a?

Pierwszy wartownik wskazał głową na mobilną jednostkę dowodzenia.

– Pewnie. Ale większość sprzętu SHD znajduje się w Detroit i Lansing. Jeśli was tu, chłopaki, w okolicy widzimy, to zwykle kiedy ochraniać coś na kampusie.

– To znaczy na Północnym Kampusie – dodał drugi.

– A gdzie to jest?

Pierwszy wartownik wskazał na zachód.

– Najszybciej można się tam stąd dostać Huron Parkway. To mniej więcej mila od Washtenaw. Kieruj się na północ, a jak przejdiesz rzekę, to zobaczysz Fuller Road. Jeśli skręcisz w lewo, zauważysz znaki. W sumie to ze cztery, pięć mil.

– Dzięki – powiedział Ike. – A co jeśli osoba, której szukam, zjawi się od strony Detroit? Którędy by się kierowała, żeby się tam dostać?

– Prawdopodobnie tą samą drogą, bo przyszłyby dziewięćdziesiątką czwórką – odparł drugi wartownik. – Ale jeśli dotarłaby tu czternastką...

– A czemu tamtędy?

– Jeśli źle skręciła i znalazła się...

– Nie słuchaj go – przerwał pierwszy wartownik. – Jeśli idzie od Detroit, to dotrze tu dziewięćdziesiątką czwórką albo Michigan Avenue. Obie przechodzą przez Ypsi. To znaczy Ypsilanti, sąsiednie miasteczko od wschodu. I wtedy albo wylądować tutaj, na Washtenaw, albo pójdzie dwudziestką trójką, tak jak zrobiłeś to ty, i dotrze do rzeki. A potem w lewo, tak jak mówiłem, Fuller Road.

Ike'a uderzyło, jak zwyczajna była ta rozmowa. Dwóch gości kłócących się o drogę. Rozmarzył się na chwilę, wyobrażając sobie Stany Zjednoczone, w których ludzie kłócący się o drogę nie nosiliby M16 ani nie usiłowali z trudem utrzymać jako takiego porządku społecznego.

Bo przecież właśnie dlatego robił to, co robił.

– Posłuchajcie – powiedział. – Muszę was poprosić o przysługę. Ta kobieta, której szukam. Metr siedemdziesiąt, biała, rude włosy, prawdopodobnie ma plecak Division. I nazywa się April Kelleher.

Zdradzenie im jej nazwiska było dość ryzykowne, ale Ike uznał, że ona i tak musi już być na radarach JTF i SHD ze względu na kontakt z agentem w Cleveland. Więc prawdopodobnie nie zdradzał im niczego, czego nie powinien.

A podana informacja osiągnęła zamierzony przez niego cel, czyli sprawiła, że wartownicy JTF się zainteresowali. Wielu z nich widziało w agentach Division superbohaterów, a jeśli ta odrobina uwielbienia przyniesie mu to, czego potrzebuje, Ike nie miał nic przeciwko temu.

– To jedna z was? – zapytał drugi wartownik.

– Nie – odparł Ike. – I między innymi dlatego muszę z nią porozmawiać. – To nie do końca była prawda, ale sugestia, że April Kelleher może być jakąś groźną uciekinierką też powinna przykuć uwagę wartowników JTF. – Jeśli ją zobaczycie, traktujcie ją łagodnie. I powiadomcie mnie przez ISAK-a. Nazywam się Ike Ronson.

– Zrobi się, agencie Ronson – powiedzieli jednym głosem.

– Dzięki, chłopaki. – Ike uniósł dłoń i popedałował dalej, przekonany, że wartownicy przekażą wiadomość innym jednostkom JTF w okolicy. Jeśli Kelleher nadejdzie od wschodu, ktoś powiadomi o tym Ike'a.

A to oznaczało, że może się skupić na drodze od południa. Jadąc z powrotem dwudziestką trójką, Ike zatrzymał się przy moście kolejowym w miasteczku Milan. Po północnej stronie znajdowało się niewielkie więzienie, na południu opuszczona fabryka części samochodowych. Obecność zakładu karnego sprawiła, że w umyśle Ike'a zadzwonił dzwonek

alarmowy. Wdał się kiedyś w konflikt z gangiem powstałym ze zbiegłych więźniów z Rikers Island, a nie było powodu, żeby zakładać, że banda wściekłych facetów bez żadnych perspektyw i więzi rodzinnych będzie się tutaj zachowywać inaczej. Jeśli Kelleher miała wpaść w kłopoty na tej drodze, to najprawdopodobniej tutaj. „Nawiąż kontakt i wspieraj” – pomyślał.

Słońce zachodziło, a w miasteczku zapalały się światła. Skupiały się głównie w niewielkim śródmieściu nieco na zachodzie, ale Ike dostrzegł ludzi również na terenie fabryki. Ślady ludzkiej obecności widać też było w skupisku różnych hal i warsztatów samochodowych po drugiej stronie autostrady, naprzeciwko fabryki.

Jeśli Kelleher przemieszcza się na piechotę, jest co najmniej dzień drogi stąd. Ale najwyraźniej pomiędzy Nowym Jorkiem a Cleveland znalazła jakiś szybszy sposób przemieszczania się, więc Ike wołał pozostać w gotowości. Poczekaj tutaj, wypatrując jej, aż dojdzie w swoich obliczeniach do wniosku, że minęłaby go, gdyby szła na piechotę. Jeśli do tego momentu jej nie zobaczy, wróci do Ann Arbor i wprowadzi w życie plan B... Jakikolwiek by on nie był.

Miał trzydzieści sześć godzin do złożenia raportu Modliszce. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie już wtedy po akcji.

Rozdział 32

VIOLET

Następnego dnia po tamtej kolacji na Zamku wrzało jak w ulu. Wszyscy gdzieś się śpieszyli, dzielili na grupy, żeby wykonać jakieś zadania, nieustannie zdaniem Violet wchodząc sobie w paradę. Większość zagłosowała, żeby zaufać JTF, więc robili to, co zasugerowało JTF: fortyfikowali Zamek.

Junie i Mike postanowili, że trzeba wznieść barierę wokół całego kompleksu Zamku, czyli samego Zamku oraz dwóch muzeów otaczających jego ogrody od południa. Jedna drużyna wyprawiała się więc na sąsiednie ulice, włamywała do samochodów i przepychała je, żeby ustawić w linię rozciągającą się od Dwunastej, obok Galerii Sacklera, aż po narożnik Arts and Industries Building. Inna grupa wznosiła mury z płyt pilśniowych, niepotrzebnego drewna i rusztowań ściągniętych z placów budowy, które miały zabezpieczyć teren pomiędzy Zamkiem a dwoma budynkami na flankach. Te mury powstały dość szybko, jeszcze przed lunchem, a wczesnym przedpołudniem wzdłuż Independence Avenue stał już rząd samochodów z przerwą pośrodku, żeby można było wchodzić i wychodzić.

– Będziemy wystawiać warty przy wejściu – powiedział Mike, pomagając ustawić ostatni samochód w rzędzie. – Jeśli zdążymy, wzniesiemy jeszcze mur z rusztowań za tymi samochodami.

„Jeśli zdążymy” – pomyślała Violet. Wyjrzała zza linii aut. Czy czeka ich atak? Wszędzie wokół słyszała stukot młotków, bo dorośli zabijali płytami wiórowymi okna parteru Zamku i dwóch pozostałych muzeów.

Violet zupełnie nie podobało się to, że w środku będzie teraz ciemno, ale musiała zaufać dorosłym, że wiedzą, co robią.

Inne drużyny barykadowały drzwi na parterze wszystkich trzech budynków, żeby jedynym wejściem do Zamku pozostało to od południa. Pracowali cały dzień, a w nocy dzieci były tak zdenerwowane, że żadne nie mogło zasnąć. Junie do nich nie przysłała, a zwykle to robiła, gdy wiedziała, że są przestraszone. To jeszcze pogorszyło sytuację. Pewnie była zajęta różnymi sprawami, ale Violet chciała, by jej również poświęcała uwagę. Przez większość dnia ich kontakty z dorosłymi ograniczały się do biegania po coś na ich polecenie albo wysłuchiwanie uwag, żeby nie zawadzali.

Tego wieczoru przy kolacji Mike i Junie poinformowali wszystkich o postępach prac. Parter Zamku był w miarę zabezpieczony, podobnie jak przestrzeń między Zamkiem a dwoma pozostałymi budynkami. Rano dokończą zabijanie okien na parterze pozostałych dwóch budynków – Mike określał to ich „wzmacnianiem”.

Wszystkie dzieci widziały strzelaniny po wybuchu epidemii. Teraz siedząc w swojej sali po ciemku, zastanawiały się, czy przeżyją tę kolejną.

– Wiecie, kto nam pomoże? – powiedział Ivan. – Division.

– Właśnie – poparła go Amelia. – Zawsze to robią.

„Na pewno pomogli nam nad stawem” – pomyślała Violet. „Ale ledwo co zdążyli. Chociaż wszystko dobrze się skończyło. Gdyby tylko istniał numer telefonu, pod który można by zadzwonić, żeby agenci na pewno przybyli”.

Oczywiście najpierw telefony musiałyby w ogóle działać. A wyglądało na to, że już tylko JTF i agenci Division mają jakiegokolwiek środki łączności.

– JTF widzi nas z Białego Domu – oznajmił Noah. – Jak będzie źle, to zaraz się tu zjawią. Wszystko będzie dobrze.

– Ale dokąd pójdziemy, jeśli jednak nie? Powinniśmy mieć jakiś plan – zaoponowała Shelby.

Jak na małą dziewczynkę – zdaniem Violet dopiero co skończyła dziewięć lat – Shelby bardzo lubiła planować. Może dzięki temu czuła się

bezpieczniej. Natomiast Violet najbezpieczniej czuła się wtedy, gdy wiedziała, że nikt jej nie okłamuje. Czasami tworzenie planu było niczym okłamywanie samych siebie, jeśli nie miało się żadnej możliwości, by taki plan zrealizować.

– Powinniśmy spróbować zasnąć – powiedział Wiley. – Jestem zmęczony. Postrzelili mnie, pamiętacie?

– Hej, uwaga wszyscy, Wiley’ego postrzelili! – ogłosił Saeed.

– To pewnie przez to jesteś taki zmęczony – zażartowała Amelia.

Niektórzy się roześmiali. Inni byli tak zdenerwowani, że wcale nie było im do śmiechu. Violet żałowała, że nie może zasnąć i obudzić się w świecie, który byłby taki, jak ten przed Czarnym Piątkiem.

Następnego dnia skoro świt wrócili do pracy. Dorośli ciągle kazali im coś robić, więc właściwie nie mieli czasu się martwić. Junie zadbała o to, by każdy dostał dodatkową porcję jedzenia, jeśli będzie miał ochotę, napoczynając zapasy puszkowanych skarbów, jak sałatka owocowa czy spaghetti z klopsikami.

I wtedy, w środku popołudnia wrócił Sebastian.

Tym razem był sam. Violet i reszta dzieci nosiły materiały dla dorosłych wzmacniających barykadę stworzoną z samochodów. Nawet Wiley czuł się na tyle dobrze, żeby nosić niepotrzebne drewno albo wyciągać gwoździe z desek, żeby drużyna od muru mogła ich znowu użyć. Violet zauważyła, że Sebastian zbliża się do wejścia na teren Zamku, które znajdowało się pomiędzy wielkim czarnym SUV-em z jednej strony a starszym białym SUV-em z drugiej. Poklepał maskę czarnego auta.

– Halo! Jest tu gdzieś Mike albo Junie?

Spostrzegł Violet i powiedział:

– Chyba pamiętam cię z karuzeli.

Kosztowało ją to sporo odwagi, ale odpowiedziała:

– Cześć.

– Czy mogłabyś przyprowadzić Mike’a albo Junie? Poczekał tutaj. –

Oparł się wygodnie o zderzak SUV-a, a Violet pobiegła do Zamku.

Znalazła Mike'a, który pomagał przesunąć regał z biblioteki do okna po drugiej stronie budynku.

– Tamten mężczyzna z przedwczoraj, ten z tatuażem z flagami – powiedziała. – Sebastian. On tu jest.

Mike skinął głową. Miał ponurą minę.

– Okej, Violet. Dzięki. Ktoś z nim jest?

– Nie, jest sam. – Violet wyszła z Mikiem przez drzwi.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Idź poszukać innych dzieci, dobrze? I trzymajcie się z daleka, na wypadek jakichś kłopotów.

– On jest przecież sam – przypomniała Mike'owi Violet.

– Może tak, a może nie – odparł Mike. – Może mieć tuzin ludzi za rogiem. Zrób, co powiedziałem, okej?

Violet ruszyła tam, gdzie Wiley i Amelia wyciągali gwoździe z drewna, obok Galerii Sacklera.

– Ten Sebastian spod karuzeli wrócił – oznajmiła.

We troje przekradli się wzdłuż rzędu samochodów, aż znaleźli się na tyle blisko, by widzieć i słyszeć, co się dzieje, ale jednocześnie na tyle daleko, że Mike nie przerwał rozmowy i nie kazał im odejść.

– To nie jest odpowiedź, na jaką liczyłem po naszej ostatniej rozmowie, Mike – usłyszeli słowa Sebastiana, gdy dotarli wystarczająco blisko.

– W tym mieście jest wiele zagrożeń, Sebastianie – odpowiedział Mike. – Jedno z naszych dzieci omal nie zostało zabite przez kręcących się nieopodal zbirów zaledwie dwa tygodnie temu. Teraz dochodzą nas słuchy, że na Roosevelt Island grasuje kolejna grupa, która wyznaje jakiś kult i chce znowu rozprzestrzeniać wirusa. Wolimy trzymać się od tego z daleka. Od tego wszystkiego. Będziemy uprawiać ogród i dbać o swoje bezpieczeństwo, mając nadzieję, że powróci normalność.

– Fajny pomysł – powiedział Sebastian. – Tylko trochę niewykonalny w obecnej sytuacji. Prędzej czy później każdy będzie musiał opowiedzieć się

po którejś ze stron. Rząd stoi jedną nogą w grobie, a drugą na skórcie od banana. JTF jest przeciążona i nie potrafi utrzymać porządku nawet w odległości pół mili od Białego Domu. Nikt z zewnątrz nie przybędzie z pomocą. Jeśli liczycie na to, że któraś z tych instytucji wam pomoże, to naprawdę macie pecha.

Nadal opierał się o SUV-a, a Violet zauważyła, że robi coś palcem na masce samochodu.

Wyglądało to tak, jakby rysował jakiś obrazek, ale może się jej tylko zdawało.

– Niezła gadka – stwierdził Mike.

Sebastian wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

– Takie są fakty, Mike. Tylko my jesteśmy w stanie utrzymać porządek w Waszyngtonie. A bez porządku w Waszyngtonie nie będzie porządku w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Bez porządku w Stanach Zjednoczonych Ameryki skończy się jedność państwa. Jeśli nie utrzymamy wszystkiego razem, wszelkimi dostępnymi środkami, to amerykański eksperyment się zakończy. To proste. I nie wiem, jak ty, ale ja się na to nie zgadzam.

– Jasne – odparł Mike. – Ja też tego nie chcę.

– W takim razie musicie sobie przemyśleć pewne decyzje. – Sebastian nasunął z powrotem okulary przeciwsłoneczne na nos. – Ja wam nie odmawiam prawa do samoobrony, Mike. Ani tobie, ani ludziom pod twoją opieką. Ale powinniście się zastanowić, i to bardzo dobrze się zastanowić, przed kim chcecie się bronić. Bo w chwili, gdy postanowicie się przed kimś bronić, ten ktoś nie będzie miał wyboru i będzie was musiał uznać za swojego wroga.

Potał opuszki palców, a potem zastukał kostkami pięści w maskę samochodu.

– Przydługa mi wyszła ta przemowa. W każdym razie przemyślcie to sobie przez parę dni. Zajrzę tu znowu i pogadamy, jak nie będziesz taki zajęty.

Sebastian odszedł Independence Avenue. Mike obserwował go. A potem odwrócił się i zobaczył, że wszyscy pracujący przy rzędzie samochodów patrzą na niego.

– Lepiej bierzcie się do roboty – powiedział. – Nie wiadomo, ile mamy czasu.

Wszyscy wrócili do pracy. Wiley i Amelia znów zajęli się stosem drewna. Violet, zanim do nich podeszła, musiała sprawdzić, co Sebastian narysował. Weszła pomiędzy dwa SUV-y i stanęła na palcach, żeby mieć lepszy widok.

Na kurzu na masce czarnego SUV-a widniał zarys amerykańskiej flagi.

AURELIO

Aurelio miał zamiar wstać rano i wyruszyć dalej, po tym, jak Frank opatrzył go i znalazł mu miejsce do spania w Sandusky, ale jego ciało miało inne plany. Zasnął i obudził się dopiero po blisko szesnastu godzinach. Był już wczesny wieczór, za późno, by wybierać się w drogę, więc stracił cały dzień. Rybak, który zaoferował mu miejsce do spania, wypłynął na jezioro. Jego córka i druga kobieta, którą Aurelio uznał za przyjaciółkę rodziny, jadły kolację, gdy wyszedł z tylnego pomieszczenia w centrum badawczym rybołówstwa, które zamieszkiwali. Parę innych osób zajmowało pozostałe części budynku w małym porcie Sandusky, z przystaniami po jednej stronie i nabrzeżem promowym przecnicę dalej na zachód.

Aurelio przypomniał sobie imię tej kobiety – Jackie – ale nie pamiętał, jak nazywa się dziewczynka.

– Głodny? – zapytała Jackie. – Na pewno, sądząc po tym, ile spałeś.

Na stole stał wielki półmisek ze smażoną rybą. Aurelio usiadł i podziękował. Jedząc, zaczął się zastanawiać, jak daleko dotarł Ike w czasie, gdy odpoczywał. Wciąż bolała go głowa, a oko miał opuchnięte, ale raczej nie miał problemów z myśleniem. Jeśli doznał wstrząśnienia mózgu, to niewielkiego. Chyba że nie zaczął jeszcze odczuwać symptomów.

– Riley powinien niedługo wrócić – powiedziała Jackie. – Ja i Maddie idziemy teraz naprawiać sieci. Będziemy niedaleko na zewnątrz. A ty odpoczywaj.

Aurelio pokiwał głową. Dokończył jedzenie i sprawdził swój ekwipunek

oraz broń. Jackie nie wyglądała na złodziejkę, ale lepiej być ostrożnym, a poza tym możliwe, że zgubił coś podczas walki pod estakadą. Lepiej wiedzieć to od razu niż w chwili, gdy będzie czegoś potrzebować i tego nie znajdzie.

Wyglądało na to, że wszystko jest. Spakował się i postawił plecak przy drzwiach, obok G36. Przy sobie miał pistolet. Gdy wyszedł na zewnątrz i poczuł rześką bryzę od jeziora, wyświetlacz HUD zasygnalizował połączenie.

– Agencie Diaz.

– Porucznik Hendricks – odpowiedział zaskoczony.

– Przez jakiś czas był pan poza zasięgiem – powiedziała. – ISAK został uszkodzony. Nie wiemy jak, ale przypuszczamy, że został zniszczony jeden z masztów wzmacniających sygnał. W najbliższej przyszłości może pan liczyć na pewną łączność tylko na obszarach, gdzie jest silna obecność JTF, a sygnały się nakładają.

– Zrozumiałem – odparł Aurelio. Tu, w Sandusky, znajdował się prawdopodobnie w zasięgu baz JTF w Cleveland, Detroit, a może też w Toledo i Ann Arbor. – Miło panią słyszeć.

– Przystanie być miło, jak usłyszysz pan, co mam do powiedzenia – odpowiedziała. – Pokróćce: Ike Ronson szuka kobiety, która nazywa się April Kelleher. Zmierza ona do Ann Arbor i była w Cleveland dwadzieścia cztery godziny temu.

Aurelio policzył. Jeśli przemieszczała się na piechotę i szybkim tempem, to prawdopodobnie właśnie przechodziła gdzieś niedaleko Sandusky. Ale jeśli przedostała się z Nowego Jorku do Cleveland w ciągu dziesięciu dni, to najwyraźniej umiała znaleźć sobie szybsze środki transportu.

Musiał założyć, że go wyprzedziła.

– Okej – powiedział. – April Kelleher. Wiemy coś o niej? Na przykład po co zmierza do Ann Arbor?

– Wiemy o niej więcej niż o przeciętnym cywilu – odpowiedziała Hendricks. – Ale nie mamy pojęcia, dlaczego zmierza do Ann Arbor. Oto co

wiemy. Przechwyciliśmy kolejną rozmowę Ike'a Ronsona i jego zleceniodawców, udało nam się ją częściowo rozszyfrować. Stąd znamy jej nazwisko i miejsce, do którego zmierza. Mniej więcej w tym samym czasie otrzymaliśmy raport od pewnego agenta w Cleveland, który zgłosił kontakt z cywilem używającym wyposażenia Division. Biorąc pod uwagę to, jak opisał tę osobę, oraz jego oświadczenie, że tak się właśnie przedstawiła i podała swój cel jako Ann Arbor, uważamy za wysoce prawdopodobne, że to ona.

„Wysoce prawdopodobne” – pomyślał Aurelio. Oficerowie wywiadu nigdy nie mówią wprost i nigdy nie są niczego pewni. Był teraz na nabrzeżu i obserwował, jak Jackie i dziewczynka naprawiają sieci. Zachodzące słońce oblewało Zatokę Sandusky pomarańczowozłotym blaskiem.

– Moim zdaniem słusznie – powiedział.

– I tu musimy zadziałać. Wprowadziłam nazwisko April Kelleher do naszych systemów i okazało się, że mamy zapisane jej kontakty z naukowcem o nazwisku Roger Koopman, który wykonywał jakieś usługi doradcze i badawcze dla naukowego skrzydła JTF.

To nazwisko coś mu mówiło.

– Koopman. To ten, co ma kryjówkę w Strefie Mroku, tak?

– Tak, to ten.

– A niech to... – rzucił Aurelio. – To biała kobieta, rudowłosa i z plecakiem SHD?

– Tak opisał ją agent z Cleveland.

– Widziałem ją w Strefie Mroku trzy albo cztery dni przed tym, jak Ronson zwiął po akcji przy ratuszu.

– Więc prawdopodobnie widziałeś ją akurat wtedy, gdy ostatni raz rozmawiała z Koopmanem. To, co jej wtedy powiedział, skłoniło ją do wyprawy do Michigan. – Hendricks zawahała się, a Aurelio usłyszał szelest, jakby przekładała jakieś papiery. – Mąż Kelleher, Bill, był naukowcem od biotechnologii i pracował dla firmy SBGx. Został zamordowany tuż po Czarnym Piątku, prawdopodobnie dlatego, że jego prace dotyczyły syntezy

leków znanych jako antywirusy o szerokim spektrum działania. Koopman ma dostęp do tych informacji i był też informowany na bieżąco o naszych badaniach nad szczepionką lub lekarstwem na wirusa Amhersta. Naszemu zespołowi, pod przewodnictwem doktor Jessiki Kandel, udało się stworzyć model potencjalnego leku, ale nie byli w stanie go zsyntetyzować. Przekazali natomiast modele instytutowi w Ann Arbor. Czy to się panu składa, agencie Diaz?

Owszem.

– Czyli ktoś uważa, że Kelleher wie o ewentualnej szczepionce, i ten ktoś posłał za nią Ike'a Ronsona.

– Tak to wygląda z naszej strony. – Porucznik Hendricks znów się zawahała i zaszeleściła papierami. – Nie mamy pewności, ale uważamy, że to wystarczająca ilość dowodów, by zalecić panu pewne działania, pamiętając oczywiście o tym, że zgodnie z Dyrektywą 51 może pan robić, co uzna za stosowne.

– A co to za zalecenia?

– Bez względu na to, co zamierza Ike Ronson i co wie April Kelleher, według naszej oceny nie wolno dopuścić do tego, by Ronson przekazał wiedzę April swoim zleceniodawcom – powiedziała Hendricks.

– Jestem tego samego zdania, porucznik Hendricks – zgodził się Aurelio.

– Gdzie pan teraz jest? Widzę Sandusky w Ohio, ale jak wspomniałam, ISAK kiepsko działa na większe odległości przez ostatnie dni.

– ISAK się nie myli. Jestem w Sandusky, ale tak czy siak jutro będę w Ann Arbor – odpowiedział Aurelio. – Ma pani lokalizację Ike'a Ronsona? Nie mogę go namierzyć.

– ISAK ostatnio lokalizował go w Toledo, ale teraz też go nie widzimy.

Aurelio sprawdził ISAK-a z takim samym efektem.

– Przyjrzałam się uważnie tamtym rozszyfrowanym połączeniom – kontynuowała porucznik Hendricks – i wygląda na to, że dysponuje jakimiś środkami zakłócającymi ISAK-a.

– To musi być sprzęt wysokiej klasy – stwierdził Aurelio.

– W rzeczy samej – potwierdziła. – Jego zleceniodawcy mają dostęp do najnowszej technologii, a nie realizują celów SHD czy JTF. Ta misja nabrała znaczenia, agencie Diaz.

„Nie dla mnie” – pomyślał Aurelio. „Dla mnie była ważna od samego początku”.

– Rozumiem, pani porucznik. Na mnie już czas.

– To prawda. Powodzenia, agencie Diaz.

Aurelio rozłączył się i poświęcił chwilę na przemyślenie tego, czego się właśnie dowiedział. Przede wszystkim, prawdopodobnie istniała szczepionka na Zieloną Truciznę. To samo w sobie było zdumiewające. Jego działaniom jako agenta Division zawsze towarzyszyła myśl, że wirus może zmutować i powrócić. Ale prawdziwa szczepionka wyeliminowałaby to zagrożenie. A to oznaczałoby, że można rozpocząć realną i stabilną odbudowę Ameryki.

A ta April Kelleher, kimkolwiek jest, właśnie prowadzi do niej skorumpowanego agenta Division.

Dotarł do końca nabrzeża. Był ponad sto mil od Ann Arbor. Dwa długie dni na piechotę. Musiał dotrzeć tam szybciej.

– Jackie! – zawołał.

Przerwała zawiązywanie supła. Dziewczynka też na niego spojrzała. Aurelio był nieco zakłopotany, że znów zapomniał jej imienia, ale miał pilniejsze sprawy na głowie.

Wskazał na przystań promową.

– Ten prom. Dokąd on pływał?

– Do Pelee Island po kanadyjskiej stronie jeziora – odpowiedziała. – Ale promu nie ma już od zimy i nikt już dostanie się do Kanady. Cała granica, na ziemi i na lądzie, jest zamknięta.

– Okej – powiedział Aurelio. – A są inne promy? Na jeziorze na pewno jest jakiś ruch, prawda? Skoro nie ma już prawie samochodów.

Jackie wstała i przeciągnęła się, a potem zaczęła rozcierać dłonie.

– Pewnie, że jest. W Cedar Point jest parę promów, które płyną wzdłuż brzegu.

Wskazała na drugą stronę zatoki, a Aurelio dostrzegł dwie wielkie kolejki i inne urządzenia parku rozrywki, lśniąca w popołudniowym słońcu. Wesole miasteczko znajdowało się na przybrzeżnej wyspie. Aurelio przesunął wzrok po ciemnej linii wyspy na tle wody w stronę wschodu, gdzie grobla łączyła ją z lądową częścią Sandusky, mniej więcej milę od miejsca, w którym stał.

– Wiem, że pływają stamtąd do Cleveland i do Toledo. Może nawet do Detroit, przy ładnej pogodzie – dodała Jackie.

Aurelio pożegnał się z Jackie i przeszedł groblą do Cedar Point, zanim całkiem się ściemniło. Krajobraz z wysokimi i nieruchomymi stalowymi konstrukcjami, które opadały stromo i znów się wznosiły, był smutny i niepokojący. Przypominał czasy, gdy ludzie żyli tak bezpiecznie i dostatnio, że mogli robić takie rzeczy, jak wyprawy z dziećmi do parków rozrywki. „I znowu tak będzie” – pomyślał Aurelio. Zamierzał się do tego przyczynić.

Przemierzał wesole miasteczko, szukając brzegu. Po stronie wyspy od otwartego jeziora znajdowała się długa, pusta plaża z kilkoma osiadłymi na mieliźnie łodziami. Na nic mu się nie zdadzą.

Z drugiej strony – od zatoki – natrafił na dużą przystań. Stały tam tuziny łodzi zatopionych przez zimowe sztormy, ale na końcach dłuższych pomostów cumowało kilka większych jednostek. Aurelio minął hangar i restaurację, z której dochodził zapach smażonych ryb. W środku jacyś ludzie jedli i rozmawiali. Dostrzegł inne postaci na łodziach i postanowił podejść tam najpierw. Będą mieć informacje, których potrzebował.

– Dzień dobry! – zawołał, gdy zbliżył się do krańca pomostu. Przycumowane do niego były bokiem trzy łodzie, skierowane dziobami w lewo, z tej strony między dwoma ramionami falochronu widać było kanał prowadzący do zatoki.

Pomocnik na jednej z łodzi przestał zwijać linę. Był po trzydziestce i miał na sobie jedynie płócienne szorty. Kręcone włosy w kolorze piasku

opadały na spalone słońcem ramiona, a ręce miał całe pokryte tatuażami. Przechylił się przez burzę i zapytał:

– O co chodzi?

– Słyszałem, że pływają stąd promy – powiedział Aurelio. – Muszę szybko dostać się do Michigan, na wczoraj. Nie wiesz, kogo mógłbym zapytać?

– Dzisiaj nikt już cię nie zabierze – odparł żeglarz. – Ja płynę jutro do Toledo, jeśli ci to odpowiada.

– Muszę się dostać do Ann Arbor. Nie chciałbym dramatyzować, ale to sprawa życia i śmierci.

– Już miałem takich pasażerów – odparł żeglarz. – To raczej nie był przyjemny rejs. Posłuchaj, ja płynę jutro do Toledo, ale tamta łódka należy do pewnej kobiety, Bryn. Jest w restauracji. Jeśli masz coś, co jej się spodoba, od razu zabierze cię do Detroit.

– Bryn – powtórzył Aurelio. – Jasne. Dzięki.

– Pomyślnych wiatrów – rzucił żeglarz. Wrócił do zwijania liny, a Aurelio wszedł do restauracji.

W grupie skupionej wokół długiego stołu zastawionego butelkami whisky i talerzami pełnymi ości były jedynie cztery kobiety. Wszyscy spojrzeli na Aurelia, gdy wszedł. Zauważyli jego pistolet oraz wyposażenie i od razu ucichli.

– Szukam Bryn – powiedział.

Przysadzista kobieta z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami przerwała popijanie whisky.

– No to ją znalazłeś – odparła.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zapytał Aurelio.

Wypiła whisky do końca, naląła sobie kolejną porcję i odpowiedziała:

– Pewnie.

Bryan była skłonna mu pomóc, ale musiała też zadbać o siebie, więc by nie przedłużać negocjacji, Aurelio złożył jej ofertę, której raczej nie mogła

odrzucić.

– Zabierzesz mnie rano do Detroit – oznajmił. – A ja dam ci to.

Wyciągnął z plecaka glocka 19. Zrobił to wolno, by widziała, że trzyma go za lufę. Wyjął magazynek i przeładował, żeby usunąć nabój z komory.

– Właściwie nowy – powiedział. – To mój zapasowy, ale będzie twój, razem z dwoma pełnymi magazynkami, jeśli wyruszymy przed wschodem słońca.

– Umowa stoi – stwierdziła i następnego ranka, kiedy na wschodzie ledwo zaczynało świtać, Bryn wypłynęła z Aureliem stojącym na rufie. Jej łódź miała czterdzieści stóp i była piękną, starą drewnianą łajbą z wstawionym staroświeckim silnikiem opalonym węglem.

– Nie wiem, czy widziałeś doki węglowe w porcie – powiedziała. – Gdy wybuchła zaraza, wszystko zamknięto, a ten węgiel tam po prostu leżał. Zebrałiśmy się z grupą przyjaciół i część zimy spędziliśmy, pracując na Marcowym Zającu. Mam się z czego utrzymać, dopóki starczy węgla.

– Przy odrobinie szczęścia sytuacja się poprawi – stwierdził Aurelio. Zastanawiał się, dlaczego nazwała swoją łódź Marcowym Zającem, ale nie dopytywał.

– Mam przeczucie, że wcale nie będzie lepiej – odparła Bryn. Czarny dym unosił się z prowizorycznych kominów wyciętych w rufie. Aurelio odsunął się od nich. Wypłynęli na jezioro i Bryn przyśpieszyła.

– Będziemy w Detroit za sześć godzin, chyba że zmieni się pogoda – oświadczyła.

Czyli o jedenastej. Z nabrzeża Detroit do Ann Arbor zostanie mu jeszcze do pokonania pięćdziesiąt mil. Aureliowi nie podobał się ten plan, ale nie widział innej możliwości. Musiał mieć nadzieję, że April Kelleher porusza się pieszo, a Ike Ronson jeszcze jej nie znalazł. ISAK nie podawał mu o nim żadnych informacji poza ostatnią znaną lokalizacją: południowe Michigan, na północ od Toledo, ale na południe od Ann Arbor. Aurelia zastanawiało też, co się stało z ISAK-iem. Coś było zdecydowanie nie tak. Nie działało śledzenie w czasie rzeczywistym, zniknął też bojowy tryb wyświetlacza

HUD. Aureliowi zostały przynajmniej mapy i dostęp do stałych baz danych.

Bryn zmierzała prosto na północny zachód i wkrótce stracili ląd z oczu. Płynęli po lekko wzburzonym jeziorze, ale nie było tak źle, a im wyżej wschodziło słońce, tym wiatr był spokojniejszy. „To piękny dzień na rejs łodzią” – pomyślał Aurelio, żałując, że nie może się nim cieszyć. Jednak waga jego misji – a poza tym stale obecne pragnienie, by wrócić do Waszyngtonu i być bliżej Ivana i Amelii – utrudniały myślenie o czymkolwiek innym. Bryn podtrzymywała rozmowę, która przeszła od ryb poprzez sytuację polityczną Sandusky aż do zasłyszanych teorii spiskowych dotyczących konwojów wojskowych. Miały przejeżdżać przez Ohio na wschód. Aurelio nadstawił ucha, ale gdy o nie zapytał, okazało się, że Bryn nie zna szczegółów.

– Po prostu ciągle o nich słyszę – powiedziała. – To pewnie wasi.

„Możliwe” – pomyślał Aurelio. Odpuścił temat i zapatrzył się na jezioro.

Po mniej więcej trzech godzinach zobaczyli Michigan.

– Niezły mamy czas – stwierdziła Bryn. – Może dotrzemy do Detroit w pięć godzin zamiast sześciu.

Tak lepiej, ale Aurelio i tak znalazłby się w Ann Arbor dopiero po północy, na dodatek wykończony pięćdziesięciomilowym intensywnym marszem. Nie najlepszy sposób na wejście w potencjalnie groźną sytuację z innym wyszkolonym agentem Division, jeśli do tego to wszystko zmierzało.

Gdy zbliżyli się do brzegu, zauważył ujście rzeki, z polem golfowym po jednej stronie i błotnistym, otwartym terenem po drugiej. Bryn skierowała łódź bardziej na północ, w kierunku szerokiego ujścia rzeki Detroit.

– Teraz trochę zwolnię, bo musimy powalczyć z prądem – poinformowała Aurelia. Łódź głośniejsz zaterkotała.

Aurelio dostrzegł rampę do spuszczenia łodzi i pomost przy polu golfowym.

– Bryn – powiedział. – Mogłabyś mnie wysadzić tam?

– Zależy od wody – odparła. – Nie sądzę, by ktoś pogłębiał ten kanał.

Lepiej podpłynąć do Detroit.

Zegarek Aurelia wyświetlił mapę okolicy. Gdyby wysiadł tutaj, miałby do Ann Arbor trzydzieści siedem mil. Czyli dwie, trzy godziny marszu mniej oraz godzinę krócej na łodzi.

– Sprawdź, proszę – powiedział. – Życie wielu ludzi zależy od tego, czy szybko dotrę do Ann Arbor.

Nie wyglądała na przekonaną, ale zwolniła i podpłynęła jeszcze bliżej brzegu.

– Marne szanse – powiedziała. – Nie zaryzykuję, że osiadzie na mieliźnie.

Płynąc znów na północ, minęli grupę domów wzdłuż rzeki. I wtedy Aurelio dostrzegł inną przystań.

– Hej, spójrz tam – powiedział. – Tam jest kanał.

Bryn zwolniła.

– Jest ciasny, ale okej. Podpłynę do samego ujścia kanału. Ale nie wpłynę do niego. Nie wiadomo, czy inne łodzie w nim nie zatoneły, a zanim się zorientujemy, będzie za późno.

– W porządku – odparł Aurelio. – Bylebym mógł wyskoczyć.

Zwolniła łódź do prędkości spacerowej, podpływając jak najbliżej ujścia kanału przystani, gdzie otwarty teren piknikowy graniczył z gęstym lasem. Silnik zawył, gdy trafiła dziobem w kanał, sprawiając, że łódź natychmiast uwolniła się z prądu płynącego z rzeki Detroit prosto na północ.

W chwili, gdy łódź była najbliżej krawędzi kanału, Aurelio wyskoczył. Podeszwy jego butów zachręściły na żwirze. Odwrócił się do Bryn.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział. – Nadal płyniesz do Detroit?

– Skoro już tu jestem – odpowiedziała. – Wolę sprawdzić, czy ten rejs nie mógłby się sam opłacić. Poza tym w górze Rouge nadal są hałdy węgla. Trzymaj się, agencie Diaz.

– Ty też, Bryn.

Wycofała łódź z wejścia do kanału i popłynęła z terkotem na północ w kierunku głównego nurtu rzeki Detroit.

Było tuż przed dziewiątą rano, a Aurelio był trzydzieści siedem mil od Ann Arbor.

Rozdział 33

APRIL

Noc spędziła w Sylvanii, przedmieściu na północ od Toledo, tuż za granicą stanu Michigan. Kierowca ciężarówki nie chciał zostawić jej w mieście.

– Nad rzeką jest trochę niespokojnie – powiedział. – Wiem, że masz broń i tak dalej, ale mimo wszystko. A w Sylvanii będziesz miała spokój. Potem idź dwudziestką trójką prosto do Ann Arbor.

Posłuchała jego rady i zasyłała się w lesie pomiędzy polem golfowym a szosą. Nie spała dobrze, ale trochę się zdrzemnęła, obudziła się razem z ptakami i ruszyła w drogę. Miała dość jedzenia i wody, by dotrzeć do celu, i utrzymywała szybkie tempo. Będąc już tak blisko Ann Arbor, czuła, że zbliża się do zrozumienia prawdy o Billu. I może – czy to realne? – dowie się też, czy istnieje szczepionka o szerokim spektrum.

Maj to piękny miesiąc. April nie mogła nie pomyśleć, że jest jeszcze piękniejszy bez dymiących kominów i spalin tłumiących zapach wszystkiego, co rośnie. Dziwnie było tak o tym myśleć, dostrzegać pozytywne strony epidemii, która zabiła miliony ludzi w samych Stanach. Żałowała, że nie wie, jak wygląda sytuacja w innych krajach, ale przez ostatnie miesiące zajmowała się przede wszystkim własnym przetrwaniem. Może teraz, gdy robi się trochę lepiej – przynajmniej w niektórych miejscach – będzie miała na tyle wolną głowę, by pomyśleć o czymś więcej niż kolejny posiłek i miejsce do przenocowania.

Widziała, jak grupki ludzi po obu stronach szosy sieją ręcznie albo orzą przy pomocy koni. Życie toczyło się dalej. Jeśli antywirus istnieje

i Dolarową Grypę można wyeliminować, to będzie toczyć się dalej. Ci, którzy ocalili z pandemii, mają drugą szansę. Niczym nowy początek.

O ile istnieje jakiś rząd, który powstrzyma społeczeństwo przed rozpadem na tysiące frakcji walczących o terytorium i zasoby. To pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi. W każdym mieście, które mijiała, widziała ludzi zajmujących się swoimi sprawami. Niektórzy z nich ją zauważali, ale nikt jej nie zaczepiał. Może odstraszała ich superdziewięćdziesiątka, a może wcale nie mieli złych zamiarów. W każdym razie wczesnym popołudniem, z niezłym czasem, znalazła się w miasteczku Milan. Na skraju drogi stał ostrzegawczy znak:

TEREN WIĘZIENIA

UNIKAJ AUTOSTOPOWICZÓW

„Słuszna rada” – pomyślała April. Z tym że sama była autostopowiczką. Mimo wszystko zaczęła uważniej obserwować otoczenie i wzięła strzelbę do rąk, zamiast nieść ją przewieszoną przez ramię. Widziała, co Rikersi wyczyniali w Nowym Jorku, więc jeśli miałyby wpaść w tarapaty, to wołała być gotowa.

Znajdowała się pomiędzy wytwórnią napojów gazowanych po lewej a fabryką części samochodowych po prawej, gdy usłyszała ostry gwizd dochodzący od strony fabryki. Nie przypadkowy gwizd, tylko wyraźny sygnał. Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła trzech mężczyzn stojących na dachu fabryki i pokazujących na nią.

Wtedy spojrzała w drugą stronę i dostrzegła kolejnych ludzi wychodzących z wytwórni napojów. Zmierzali przez zarośnięty pas między parkingiem a szosą w jej kierunku. April szła dalej, nie chcąc znaleźć się pomiędzy tymi dwiema grupami, gdy się zbliżą. Mężczyźni od strony wytwórni zaczęli biec. Dzieliło ich od niej około pięćdziesięciu metrów.

Gdy znaleźli się na szosie, April odwróciła się do nich i wymierzyła ze strzelby.

– Chwila moment, kochanie – powiedział jeden z nich. Dwóch rozeszło się na boki, jakby chcieli ją otoczyć.

– Strzelam za takie odzywki – powiedziała April. – Cofnąć się.

Przesunął wzrok na coś za jej ramieniem. Z mrozącą krew w żyłach pewnością domyśliła się, że nawiązał kontakt wzrokowy z kimś za jej plecami.

Nacisnęła spust, przygotowując się na odrzut superdziewięćdziesiątki. Z odległości mniejszej niż dwadzieścia metrów gruby śrut podziurawił go od obojczyka po pępek. Pozostali dwaj uskoczyli na boki, a April pobiegła na północ, patrząc na prawo, kto nadchodzi od strony fabryki.

Niedobrze. Było ich co najmniej sześciu. I na dodatek za daleko, by superdziewięćdziesiątka coś zdziałała. Ustawiała się i strzeliła trzy razy do najbliższego napastnika od strony wytwórni napojów. Upadł, ale drugi przebiegał już przez drogę, żeby dołączyć do tych z fabryki. Musiała dobrze liczyć... Zostały jej tylko cztery naboje.

Nie było szans, żeby ich wszystkich zneutralizowała, zanim ją dopadną.

Odwróciła się i znów ruszyła biegiem. Biegła całkiem szybko, ale nie była w stanie uciec grupie mężczyzn obciążona bronią i plecakiem. Chciała skupić ich w jednej grupie. Po dziesięciu krokach odwróciła się i wystrzeliła cztery ostatnie naboje w stronę napastników. Zobaczyła rozbryzgi krwi, ale nie zatrzymała się, by policzyć ciała. Rzuciła strzelbę i pobiegła.

Najgorsze było to, co zauważyła w ułamku sekundy przed odwróceniem się i ruszeniem biegiem. Jeden z napastników miał AR-15. Gdyby chcieli ją zabić, już by to zrobili.

A to znaczyło, że mieli inne zamiary.

„Zostaniesz mężatką” – powiedział żeglarz w Buffalo, gdy wspomniał o Aryjczykach z Jamestown.

„Niedoczekanie” – pomyślała April. Miała przy sobie nóż. Gdy przebiegała pod wiaduktem, rozpięła pokrowiec i wyciągnęła go.

Sto metrów przed nią znajdował się most kolejowy, a obok po prawej jakiś dom. Był opuszczony. Nikogo nie było widać.

Zaraz. Spostrzegła kogoś, kto poruszał się przy moście, zbiegając nasypem na drogę. Dostrzegła broń.

Zanim zdołała się przyjrzeć, ktoś chwycił ją od tyłu. To był perfekcyjny futbolowy chwyt, obiema rękami za uda. Uderzyła mocno o asfalt, ale zanim mężczyzna zdołał przydusić ją swoim ciężarem, April wykręciła się i wbiła nóż pod jego żebra. Z jego ust wydobył się ni to charkot, ni to jęk i puścił ją. April odepchnęła się od niego. Trzech kolejnych mężczyzn już przy niej było, w tym ten z AR-15. Wymierzył w nią lufę karabinu.

– Starczy tej bieżaniny – wydyszał.

Wtedy rozległ się wystrzał i ugięły się pod nim kolana. Opadł na asfalt i przewrócił się do przodu. Inny mężczyzna chwycił jego karabin, ale nie miał pojęcia, skąd do nich strzelano.

Kątem oka April zauważyła jakiś ruch. Odsunęła się na bok i nagle zobaczyła mężczyznę. Spostrzegła pomarańczowe kółko i kostkę ISAK-a na jego plecaku.

Agent Division.

Schylał się, bo strzelono mu nad głowę, a lufa AR-15 podskoczyła. Stosując jakiś chwyt dzudo, przewrócił napastnika i przygniótł go twarzą do ziemi. Jednocześnie wyciągnął broń.

– Chwila – powiedziała April, ale zanim to słowo wydobyło się z jej ust, strzelił napastnikowi w tył głowy dwa razy.

Drugi, ostatni z napastników, wycofywał się, gdy agent szedł do niego z wymierzoną bronią.

– Poczekaj, stary, my przecież...

Agent strzelił mu w pierś, a potem jeszcze w głowę, gdy się przewrócił.

Następnie spojrzął na drogę. April zobaczyła leżące ciała, ale też kilku poruszających się napastników. Jeden zdołał wstać i kuśtykał z powrotem do fabryki.

– Niezła robota – stwierdził agent, odwracając się do April. – Wygląda na to, że załatwiłaś na miejscu trzech, a czterech czy pięciu raniłaś, zanim się zjawiłem.

Podszedł do martwego napastnika z nożem April tkwiącym pod lewą pachą. Wyciągnął nóż i wytarł go o plecy mężczyzny. A potem podszedł do April, obrócił nóż, by trzymać go za ostrze, i podał jej.

– Można by pomyśleć, że jesteś jedną z nas. Ale nie masz zegarka i nie widzę też soczewek. Więc może wyjaśnisz mi, skąd masz ten plecak i benelli?

Gdy chwyciła rękojeść, on puścił nóż. Wytarła go, zanim schowała. A potem minęła agenta, by podnieść z ziemi swoją broń.

– Nazywał się Doug Sutton – powiedziała, mijając go. – Zginął, ratując mi życie.

Podniosła superdziewięćdziesiątkę i obróciła się. Wciąż tam był. Wysoki, ciemnowłosy, z jasną cerą i krótką brodą, szczupły niczym biegacz długodystansowy, ale mocno umięśniony.

– Zawsze uważałam, że jesteście jak superbohaterowie – powiedziała, gdy załadowała broń. Zostało jej jedynie dwanaście nabojów. – Ale ty zabiłeś ich, choć byli już unieszkodliwieni.

– Nie ma tu w okolicy żadnego więzienia – odparł agent. – Ach, nieprawda. Jest nawet przy tej szosie. Ale chodzi mi o to, że nie ma żadnego zakładu karnego, do którego mógłbym bezpiecznie odstawić kryminalistę. Więc sama rozumiesz. – Wzruszył ramionami. – Poza tym oni by cię zabili. Prędzej czy później.

Wyciągnął rękę.

– Jestem Ike. Ike Ronson.

Uścisnęła jego dłoń.

– April Kelleher.

I wtedy zauważyła, że jej prawa ręka jest cała w krwi martwego napastnika.

– Dokąd zmierzasz, April? – zapytał Ike, gdy April wycierała dłoń o porastające poboczne chwasty, a potem o swoje spodnie.

– Do Ann Arbor.

– Hm... – Ronson przyjrzał się jej. Nie jakby oceniał jej urodę, tylko

przydatność do jakiegoś zadania. – A po co?

Pomyślała o wszystkich kłamstwach, jakie mogła mu powiedzieć, a potem postanowiła powiedzieć prawdę, przynajmniej częściowo.

– Głównie po to, żeby dowiedzieć się, kto zabił mojego męża.

– Hm... – powtórzył. – A jesteś z...?

– Z Nowego Jorku.

– Czyli choć telefony nie działają od grudnia, dowiedziałas się, że twój mąż zginął w Ann Arbor, i teraz chcesz się dowiedzieć dlaczego.

– Nie, zabili go w Nowym Jorku. Na moich oczach. Od tamtej pory szukam jego zabójców i myślę, że odpowiedź znajdę w Ann Arbor. – Zaczęła odczuwać dyskomfort mijania się z prawdą. A gdyby opowiedziała mu o antywirusie? W końcu jest agentem Division. Oni mają pomagać. I przecież właśnie uratował jej życie.

Pamiętała jednak jedną z pierwszych wskazówek, jakie odkryła w książce Rogera Koopmana: *Division jest podzielone*.

– Mogę z tobą pójść, jeśli chcesz – powiedział Ike. – Wygląda na to, że nie powinnaś podróżować sama.

– Dotarłam aż tutaj – odparła obronnym tonem. Może nie była agentką Division, ani komandosem, ani nikim takim, ale przetrwała Dolarową Grype i przebyła na własną rękę prawie sześćset mil z Nowego Jorku.

– To prawda – zgodził się agent. – Jednak, bez urazy, nie wydaje mi się, żebyś zdołała dotrzeć dalej.

To była prawda, choć nie miała ochoty tego przyznać.

Ike obserwował ją, jakby potrafił czytać jej w myślach.

– Jeśli chcesz ze mną pójść – powiedziała April – to ucieszę się z towarzystwa. Jesteś pewien, że nie masz jakiejś innej misji czy zadania?

– I tak mam coś do załatwienia w Ann Arbor – odparł Ike z uśmiechem. – Pójdziemy razem. Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rozdział 34

VIOLET

Następnego dnia po wizycie Sebastiana Junie zebrała wszystkie dzieci i powiedziała, że idą na wycieczkę.

– Dokąd? – zapytała Amelia.

– Spotkamy się z pewnymi ludźmi – odpowiedziała Junie. – Niektórzy z nich opuścili ten sam hotel, co wy, gdy nadeszła powódź, ale teraz mieszkają w miejscu bardziej oddalonym od ludzi z Kapitolu. Więc sprawdzimy, jak wygląda ich sytuacja.

Na początku to faktycznie było jak wycieczka, z Junie jako opiekunem grupy. Zaprowadziła ich na stację metra Smithsonian. Odprowadzało ich czterech mężczyzn z bronią. Zeszli z nimi na stację, żeby upewnić się, że nie napotkają problemów.

– Coraz trudniej jest przemieszczać się po powierzchni, więc skorzystamy z metra. Tylko na nowy sposób, bez pociągu.

Wody zalewowe ustępowały, ale tory na stacji metra Smithsonian nadal były zalane. Junie upewniła się, czy wszystkie dzieci zabrały latarki. A potem powiedziała:

– Okej. Idziemy gęsiego. Trzymajcie się tej strony, gdzie grunt jest trochę wyżej. W ten sposób przejdziemy suchą stopą.

Doszli do końca peronu, a potem zeskoczyli na tory. Violet szła między Shelby i Ivanem. Oboje chcieli trzymać ją za rękę, więc schowała latarkę i korzystała z ich światełek. Idealnie prosty tunel ciągnął się przed nimi i nikał w ciemności.

Junie szła pierwsza.

– Chodźcie – powiedziała. – Przejdziemy tylko dwa przystanki. To zajmie nam piętnaście, dwadzieścia minut, nawet jeśli będziemy szli wolno.

Na ścianach tunelu Violet widziała ślady po powodzi. W najwyższym miejscu sięgały powyżej jej głowy. Teraz woda i szlam pokrywały tylko tory. Jeśli będą szli samym skrajem, nawet nie zamoczą butów. Doszli do stacji Federal Triangle, a po kilku minutach do Metro Center. Tu krzyżowało się kilka linii, więc to była większa stacja, z peronami, antresolami i nieczynnymi ruchomymi schodami. Junie cały czas szła naprzód, a dzieci za nią. W tunelach ani na stacjach nikogo nie spotkali. Violet zastanawiała się dlaczego. Wyglądało na to, że to dobre miejsce, by schować się przed złą pogodą albo jeśli ktoś się przestraszy jakichś ludzi na ulicy. Ale może miało to związek z czymś, o czym nie wiedziała.

Nie miała okazji spytać o to Junie. Wspięli się po schodach, a potem wyszli na ulicę naprzeciwko sklepu Macy's. Minęli rząd opustoszałych sklepów i restauracji, już nie gęsiego, tylko całą grupą. Gdy dotarli do Dziesiątej, skręcili obok wielkiej katedry i przeszli dwie przecznice aż do Ford's Theatre. Violet знаła ten teatr, jak każdy uczeń z Waszyngtonu. Była tutaj na szkolnej wycieczce. Po drugiej stronie ulicy był dom, w którym Abraham Lincoln zmarł po tym, jak...

– Saeed – powiedziała. – Kto zastrzelił Lincolna?

– John Wilkes Booth – odpowiedział od razu. A potem twarz mu się rozjaśniła, gdy rozpoznał, gdzie są. – Och, tu obok jest muzeum szpiegostwa – powiedział. – Możemy zajrzeć?

– Może innym razem – odpowiedziała Junie.

Poprowadziła ich przez prowizoryczną bramę ustawioną między teatrem a większym budynkiem z eleganckim barem na dole i apartamentami, który mieścił się na końcu przecznicy. Stali przy niej dwaj wielcy faceci ze strzelbami. Junie skinęła im głową. Odpowiedzieli tym samym.

– Thomas – powiedziała Junie do jednego z nich. – To te dzieci.

Violet usłyszała jakiś hałas w górze i podążyła wzrokiem za odgłosem.

Pod takim kątem niewiele widziała, ale wydawało jej się, że na dachu apartamentowca obok Ford's Theatre jest mnóstwo ludzi, a jeszcze więcej na dachu samego teatru.

– Okej – odparł Thomas. – JTF uprzedzało, że możecie przyjść. Ale myślałem, że pogadamy o tym, zanim pojawisz się z całą gromadką.

– Nie mamy czasu, Thomas – odpowiedziała Junie. – Gdybyśmy nie przyszli dzisiaj, nie wiem, czy w ogóle by nam się udało.

Thomas jakby nie chciał spojrzeć Junie w oczy, a Violet miała wrażenie, że unika patrzenia zarówno na nią, jak i na towarzyszące jej dzieci.

– Cóż – powiedział. – Właściwie nie zdążyliśmy tego obgadać.

– Ustaliliśmy to z JTF – powiedziała Junie. – Powiedzieli, że się zgadzacie.

– Nie wiem, co wam powiedzieli, a czego nie. – Thomas w końcu zebrał się na odwagę, by spojrzeć jej w oczy. – Ale my tutaj o tym nie rozmawialiśmy.

– Tutaj? My tutaj jesteśmy, Thomas. Przyprowadziłam tu dzieci. Co mam teraz zrobić?

– Zrozum, gdy JTF nam to pierwszy raz zasugerowało, pomysł wydawał się niezły, ale... To się nie sprawdzi. Za wiele gąb do wyżywienia, za mało miejsca. A jeśli zaczniemy przyjmować kolejnych... – Pokręcił głową. – Poza tym słyszeliśmy, że odwiedził was Sebastian i tamci ludzie. Wiesz, kto z nim trzyma? Oni nie boją się zabijać, żeby postawić na swoim. Jeśli stanęliście po niewłaściwej stronie, a my przyjmujemy część waszych, to jak to będzie wyglądało?

– Mówimy o dzieciach – przypomniała mu Junie.

Violet uświadomiła sobie, że to wcale nie jest wycieczka. Junie nie przyprowadziła ich tutaj na jakieś spotkanie.

Szukała dla nich nowego miejsca do zamieszkania, a... Thomas jej właśnie odmówił.

– Nie, Junie, nie – powiedziała nagle Shelby. Jej oczy wypełniły się łzami. Amelia i Violet przysunęły się do niej.

– Wszystko w porządku – powiedziała Amelia. – Będziemy trzymać się razem. Wszystko będzie dobrze.

Junie przykucnęła przed nimi. Skupili się wokół niej, każde pragnęło jej dotknąć. Wiedzieli, że są sierotami. Wiedzieli, że nie mają już prawdziwych rodziców – poza Ivanem i Amelią, ale ich tata był nie wiadomo gdzie. Więc dla nich wszystkich Junie była kimś najbliższym rodzicowi. Dlaczego miałyby ich odesłać?

– Posłuchajcie – powiedziała. – To tylko tymczasowo, dopóki nie wyjaśni się sprawa między JTF a tymi ludźmi z wytatuowaną flagą.

– A co, jeśli... – Wszyscy spojrzeli na Noah, ale on nie był w stanie dokończyć pytania. Violet wiedziała, o co chciał zapytać: „A co, jeśli was pozabijają? Co, jeśli nigdy nie będziemy mogli wrócić?”

Ona też zadawała sobie te pytania.

– Junie – powiedział Thomas. – Posłuchaj. Wracajcie do domu i coś wymyślimy. Ale nie możemy w tej chwili przyjąć siedmiorga dzieci. Po prostu nie możemy.

– To nie rozmawialiście o tym, czy jednak rozmawialiście i postanowiliście odmówić, a teraz tylko nie masz odwagi powiedzieć mi tego prosto w twarz? – Junie wyprostowała się, otoczona dziećmi, rzucając Thomasowi wyzwanie, by ich odprawił wprost. Violet wiedziała, jak to się rozegra. Dorośli myśleli, że dzieci wielu rzeczy nie zauważają, ale prawda była taka, że dzieci potrafiły przejrzeć szarady, w które bawili się dorośli. Obserwowała, jak tych dwoje ze sobą rozmawia, i wiedziała dwie rzeczy.

Po pierwsze, Junie była przekonana, że musi zabrać dzieci z Zamku, bo miało się stać coś złego.

Po drugie, Thomas nie chciał do tego dopuścić. Ani dzisiaj, ani kiedykolwiek.

– Posłuchaj, Junie – powiedział Thomas. – Staramy się tylko jakoś przetrwać, póki to się nie skończy.

– My też – odparła Junie. – Tylko że my już jesteśmy na celowniku. – Nie zdarzało jej się wspominać o czymś takim w obecności dzieci. Violet

dostrzegła w tym momencie inną Junie, przestraszoną i starającą się zrobić, co w jej mocy, by jak najlepiej poradzić sobie z kiepską sytuacją.

„Bądź gotowa” – upomniała samą siebie Violet. „Jeśli nie będą w stanie nas chronić, będziemy musieli chronić się sami”. Jak to zrobią i co to miałyby oznaczać – tego nie wiedziała. Ale wywnioskowała z tej rozmowy, że nadchodził czas, gdy ona i pozostałe osierocone dzieci z grupy mogli zostać sami. Powinni zdawać sobie z tego sprawę i być przygotowani.

– Wytrzymajcie jeszcze z tydzień – powiedział Thomas. – Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja. I wtedy porozmawiamy.

Niewiele było tu do dodania. Junie i dzieci wiedzieli już, że nie otrzymają pomocy w Ford’s Theatre.

– Jeszcze tydzień – powtórzyła Junie głosem pełnym pogardy. – Równie dobrze mógłbyś powiedzieć jeszcze rok.

Odwróciła się, ignorując Thomasa, i poprowadziła dzieci z powrotem do stacji Metro Center.

W drodze powrotnej tunelami metra dzieci były dość ciche, aż do samego końca, gdy przeciskały się brzegiem zalanych torów już przy stacji Smithsonian.

– Chciałaś się nas pozbyć – powiedział nagle Ivan.

Junie zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Nie – odpowiedziała. – Wcale nie. Chcę być z wami. Do diabła, chcę, żeby każde z was było ze swoimi rodzicami. Każde z was. Tak jak pragnę, by moje dzieci były ze mną. Ale tak nie jest. I wy nie będziecie ze swoimi rodzicami. A za tydzień może nas już wszystkich w ogóle nie być. Zobaczymy. Staram się zapewnić wam bezpieczeństwo. Do wczoraj myślałam, że najlepszym sposobem będzie trzymanie was na Zamku. Ale nie jestem już tego pewna. Tylko że teraz to już nie ma znaczenia. Będziemy na Zamku i damy sobie radę ze wszystkim, co ma nastąpić. Razem.

Ruszyła do schodów prowadzących na ulicę, a Violet przypomniało się, jak myślała, że idą na wycieczkę, gdy wyruszali. Jednak ta wyprawa w niczym wycieczki nie przypominała.

Wyszli na słońce na Independence Avenue.

– Zostaniemy tu, gdzie jesteśmy. I już – powiedziała Junie, gdy doszli do następnej przecznicy i ukazał im się Zamek. Wydawała się przygnębiona i to zaniepokoiło Violet o wiele bardziej niż cokolwiek, co widziała po śmierci rodziców. – I nie ma o czym mówić.

Junie tak powiedziała, więc w to uwierzyli i nikt z nich nie odezwał się słowem w drodze na Zamek. Lecz Violet wiedziała, że jest sporo do omówienia. Czowała, że coś złego nadchodzi i że dorośli czują się wobec tego bezradni.

A to oznaczało, że dzieci będą musiały radzić sobie same.

Rozdział 35

APRIL

April przeszła tego dnia ponad czterdzieści mil, by dotrzeć do Ann Arbor. Po południowym gwałtownym przypływie i odpływie adrenaliny była wykończona. Ale przynajmniej wiedziała, dokąd konkretnie ma iść.

Jak w każdym większym mieście uniwersyteckim, w Ann Arbor pełno było znaków wskazujących studentom i gościom drogę do różnych miejsc na kampusie. Skorzystała też z klasycznej metody, czyli spojrzała na mapę. Północny Kampus, w którym mieściła się większość uniwersyteckich laboratoriów naukowych, znajdował się po drugiej stronie rzeki Huron od śródmieścia. Zanim się zorientowali, byli już na skraju głównego kampusu. Przyszli ulicą, którą wskazał Ike. April nie zapamiętała jej nazwy. Na pewno mijali małą bazę JTF, długi ciąg opustoszałych sklepów, a następnie eleganckie stare domy przerobione na siedziby bractw studenckich. Przed nimi wznosił się olbrzymi szpital Uniwersytetu Michigan, który był niemal miastem samym w sobie. W niektórych oknach paliło się światło, poza tym na drodze o nazwie Washtenaw, która opasywała szpital, widzieli patrole i punkty kontrolne JTF.

Ann Arbor wyglądało jak miasto po przejściach. Wiele siedzib bractw studenckich spłonęło, a ciąg barów i restauracji wzdłuż południowego krańca głównego kampusu straszyl dziurami po kulach i wybitymi szybami. Skręcili z Washtenaw i przeszli przez kampus.

– Główna baza JTF jest tam, przy stadionie futbolowym – powiedział Ike. – W południowej części miasta.

Bill był wielkim fanem uniwersyteckich drużyn futbolowych i April przypomniała sobie, że widziała ten stadion na zdjęciach, z wielkim żółtym M pośrodku, na linii pięćdziesięciu jardów. Kaski graczy były ozdobione trzema paskami, a Bill mówił, że miały symbolizować pazury rosomaka. Zabawne, że takie drobne detale przychodzą do głowy, gdy człowiek właściwie nie ma nawet siły utrzymać się na nogach.

Przystanek autobusu kampusowego pozwolił im zawęzić obszar poszukiwań.

– Ha – powiedziała April, odczytując informacje przy pomocy latarki.– Budynek laboratorium biomedycznego znajduje się na skraju Północnego Kampusu.

Jakieś dwie, trzy mile od miejsca, w którym się znajdowali.

– Jesteś inżynierem biomedycznym? – zapytał Ike.

– Nie, ale mój mąż zajmował się inżynierią genetyczną i pracował przy projektach medycznych – odpowiedziała April. – Osoba, której szukam, prawdopodobnie pracuje w tym budynku. Albo pracowała. W każdym razie tam warto rozpocząć poszukiwania.

– Brzmi sensownie – odparł Ike. – Chcesz pójść tam teraz?

Chciała, ale ledwo trzymała się na nogach. Po tylu miesiącach i będąc tak blisko odkrycia prawdy o Billu, April paradoksalnie wahała się przed zrobieniem ostatniego kroku. A co, jeśli Koopman się mylił i nikt tutaj nie będzie nic wiedział o Billu? Albo o antywirusie? Nie była pewna własnych odczuć. W głowie aż pisało jej od zmęczenia. Zabiła tego dnia trzech ludzi i omal sama nie umarła. Poza tym maszerowała przez trzynaście godzin. Nawet gdyby znalazła kogoś, kto znał Billa, byłaby zbyt zmęczona, by zadać sensowne pytania.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem padnięta, Ike. To był męczący dzień.

– Z całą pewnością. – Rozejrzał się, przesuwając wzrok od elektrycznej poświaty punktów kontrolnych JTF przy szpitalu aż po cichy mrok czworokąta kampusu. April znów przypomniał się jakiś przypadkowy drobiazg. Nazywano go Diag, czyli Przekątną. – Lepiej nie kręcić się tutaj po

ciemku. O tej porze ludzie robią się podejrzliwi.

– Prawda – potwierdziła.

– Zaszujmy się gdzieś na noc. Widziałem niezłe miejsce przy przecznicy.

Miejsce, które wybrał, to była wychodząca na dach nad małymi delikatesami kawiarnia. Schody skrzypiały pod ich stopami, na pierwszym piętrze minęli bar z fajkami wodnymi. Szklana lada z różnymi rodzajami tytoniu została rozbita i spustoszona. Podobnie przeszklone chłodziarki na ścianach. Na podłodze poniewierały się puste butelki, ale żadnych śladów, że ktoś tu pomieszkuje.

– Trochę tu cuchnie – stwierdziła April.

Ike pokiwał głową i odparł:

– Można spać na zewnątrz. Jest piękna noc.

Tak było. Wyszli na dach. April zauważyła zewnętrzne schody prowadzące na alejkę na tyłach ciągu budynków. Dostrzegła też dziury po kulach w ścianach i łuski po nabojach w szczelinach podłogi. Ale jakakolwiek bitwa się tutaj odbyła, to było dawno temu. Na całej ulicy panowała cisza.

– O, palenisko – zauważył Ike. Odlane z żelaza, do urządzania ognisk na podwórku albo na takim jak ten tarasie. Połamał dwie drewniane ławki stojące przy zewnętrznych schodach i wsunął pod spód podpałkę. Następnie nałożył jeszcze jakieś deski i wyjął jednorazową zapalniczkę.

April na dnie plecaka miała takich z dziesięć. Resztę oddała stopniowo za jedzenie podczas zimy. Możliwość rozpalenia ognia w razie potrzeby mogła uratować życie. April nigdy by się ich wszystkich nie pozbyła.

Ogień zapłonął wesoło. April przysunęła bliżej wiklinową sofę i wyciągnęła nogi. Ike siedział na krześle po drugiej stronie.

– No i... – powiedział – jesteśmy.

– Tak. Ale ty nie musisz. Przyprowadziłeś mnie tutaj. Nie masz jakichś innych pilnych misji?

– Dyrektywa pięćdziesiąt jeden – odparł Ike. – Doprowadzę cię do celu, a potem rozejrzę się, czy ktoś mnie tutaj potrzebuje.

Coś w jego słowach przykuło uwagę April. Czy nie mówił, że ma jakiś inny powód, by iść do Ann Arbor?

– Tutaj? A zwykle działasz gdzie indziej?

Ike zachichotał.

– W całym Ohio, Michigan, Pensylwanii... Ruszam tam, gdzie mnie potrzebują.

– Cóż, cieszę się, że byłeś tam, gdzie ja ciebie potrzebowałam. – April ogarniała senność. – Tak przy okazji, dlaczego w ogóle tam byłeś?

– W miastach, gdzie przed epidemią były więzienia, często pojawiają się problemy – odpowiedział Ike. – Wolę wiedzieć, gdzie takie miejsca są i mieć je na oku. A ty akurat tamtędy przechodziłaś.

– Co za traf – powiedziała April i ziewnęła. – Przydałoby się trochę szczęścia jutro.

– A na czym by polegało? – Ike miał poważny wyraz twarzy. April go lubiła. Nie tylko dlatego, że uratował jej życie. Przyjemnie się z nim rozmawiało.

– A na tym, że... Weszłabym jutro do budynku inżynierii biomedycznej i znalazłabym kogoś, kto znał Billa. Zapytałabym tę osobę, dlaczego go zamordowano, i uzyskałabym odpowiedź. I wtedy...

Zawahała się. Już miała powiedzieć coś o tym, że dowiedziałaby się, czy praca Billa pomogła stworzyć szczepionkę, która raz na zawsze wyeliminowałaby ryzyko powrotu Dolarowej Grypy. Ale do tej pory, wiedzona instynktem, opowiadała tylko część swojej historii, od Nowego Jorku przez Albany aż tutaj. Uświadomiła sobie teraz, że już nie musi tego robić. Ike'owi mogła powiedzieć. Był agentem Division i choć wiedziała, że niektórzy z nich dezercerują, to wiedziała też, że wtedy ich zegarki świecą na czerwono. Mieli jakiś system sztucznej inteligencji, który ich śledził. A zegarek Ike'a Ronsona był pomarańczowy.

Poza tym uratował jej życie. April Kelleher nie była damą, którą trzeba ratować z opresji. Podczas kilku miesięcy po Czarnym Piątku wykaraskała się z kilku trudnych sytuacji. Ale te dwa razy, gdy wpadła po uszy, na

miejscu był agent Division. Najpierw Doug Sutton, a teraz Ike Ronson.

– Jest też inny powód – powiedziała. Już czuła ulgę, że wreszcie może komuś o tym powiedzieć. – Mówiłam ci, że jestem z Nowego Jorku?

Ike uniósł brew.

– Mówiłaś, że tam zabito twojego męża. Byłaś na Manhattanie?

April pokiwała głową.

– Tak.

– Jak się wydostałaś z kwarantanny? Przecież nadal jest tam blokada.

– Znajomy poprosił kogoś o przysługę – odpowiedziała April. – Właściwie to spodziewałam się, że będzie trudniej, ale okazuje się, że są miejsca, gdzie można sobie tak po prostu wyjść, jeśli tylko wiesz, kiedy pojawiają się tam patrole. Przeszłam mostem kolejowym nad rzeką Harlem.

– Nie ma tam żadnych czujników? To kiepska ta blokada.

– Są. Ale przewodnik pokazał mi, jak wspinać się po kratownicach mostu, żeby ich nie włączyć. A potem załapałam się na podwózkę łodzią do Albany. Kolejna część wyprawy wydaje mi się jakaś nierzeczywista. Przyplłynęłam barką kanałem Erie aż do Buffalo, jakby to była połowa dziewiętnastego wieku.

– Nie tylko ty masz takie wrażenie – skomentował Ike.

– To prawda. – April poczuła wiatr w żaglach, gdy zaczęła opowiadać o swojej podróży, więc pozwoliła sobie uzupełnić całą opowieść. – Człowiek, który powiedział mi, jak się wydostać z Nowego Jorku, to naukowiec. On... cóż, nie jestem pewna, czy znał Billa, ale znał jego pracę, bo zajmowali się podobnymi dziedzinami. Znalazłam go, bo myślałam, że może mi pomóc zrozumieć, dlaczego Billa zabito. I pomógł, w pewnym sensie, tylko że jego wyjaśnienia przyniosły jeszcze więcej... nie tyle pytań, co... – Straciła wątek i zdawała sobie z tego sprawę. Poprawiła się na sofie, bardziej wyprostowała i podparła na łokciu, cały czas mając wyciągnięte nogi. – Ujmę to tak. To, czego się dowiedziałam, sprawiło, że musiałam wyruszyć na poszukiwania.

W tym momencie zawahała się, bo przyszło jej do głowy, że mówiąc

Ike'owi o antywirusie o szerokim spektrum, zabrzmiał jak wariatka.

– Poszukiwania czego? – zapytał Ike.

Oboje zamarli, słysząc kroki na tarasie. Ike opuścił dłoń na pistolet, a April zsunęła stopy na podłogę. Jej strzelba była oparta o ramię sofy. Instynktownie po nią sięgnęła.

Zamarła, gdy w kręgu ognia pojawił się kolejny agent Division. Miał kręłą budowę ciała i bardzo sprężysty krok. W świetle rzucanym przez płomień wyglądał jak Majowie: ostro zarysowany nos, szerokie kości policzkowe, pod daszkiem bejsbolówki oczy o smutnym spojrzeniu i opadających powiekach. Przesunął wzrok z April na Ike'a, jakby zupełnie nie przejmował się tym, że oboje trzymają ręce na broni. A potem uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Hej, przepraszam, nie chciałem nikogo wystraszyć. Jesteś Ike Ronson, zgadza się?

AURELIO

Gdy wczesnym wieczorem Aurelio dotarł do Ann Arbor, Ike według ISAK-a nadal znajdował się gdzieś na południe od miasta. Ale gdy zajrzał do bazy JTF na parkingu przed centrum handlowym pod nieco staroświecką i dziwaczną nazwą „Arborland” – dowiedział się, że widzieli kobietę odpowiadającą opisowi April Kelleher. Mijała ich tego popołudnia, zmierzając na zachód ulicą Washtenaw. Aurelio ruszył tą samą drogą i po kilku godzinach przeszukiwania miasteczka uniwersyteckiego zauważył ognisko na dachu w południowej części kampusu.

Obszedł kwartał i wszedł w tylną alejkę, a potem powoli wspiał się po zewnętrznych schodach. Gdy widział już Ronsona i Kelleher, obserwował ich przez kwadrans. Zanim się ujawnił, chciał się zorientować, czy Ike traktuje kobietę jak zakładniczkę, współpracowniczkę czy zwykłego cywila. Bardzo szybko zauważył, że ona nie czuje się zakładniczką, a ponieważ mówiła więcej od niego, nie wyglądało też na to, by oboje wspólnie konspirowali. Wywnioskował z tego, że Ronson nie wie, czego ona szuka, a Kelleher nie wie, że Ronson został skorumpowany.

Uznał, że najlepsze będzie najprostsze rozwiązanie. Ronson nie mógł zaatakować jego, bo wtedy zrujnowałby zaufanie, jakie wzbudził w Kelleher, a jej też nie mógł załatwić, bo nadal nie wiedział, czego szuka.

Wkraczając na taras, Aurelio zakładał, że Ronson będzie w kropce i będzie się musiał dostosować do gry... Okazało się, że miał rację.

– Tak – odpowiedział Ronson. – Jestem Ike. A ty?

Aurelio się przedstawił.

– Miałem parę zgłoszeń o cywilu ze wyposażeniem SHD, więc rozglądałem się po okolicy. I znalazłem – zwrócił się do April. – Skąd masz ten ekwipunek?

– Od agenta, który uratował mi w lutym życie – odpowiedziała. – On zginął, a mnie się ten sprzęt przydał.

„Ja też uratowałem ci życie” – pomyślał Aurelio. „Szakale z kościoła przy Piątej Alei zamieniliby cię w eksponat”.

– W porządku – powiedział. – Ike, a ty masz wolne?

Ronson spojrzał mu w oczy. Jego twarz nic nie zdradzała. Prawdopodobnie nie wiedział, że to Aurelio był agentem, który odpowiedział na jego fałszywy sygnał SOS na Manhattanie, ale był zapewne podejrzliwy wobec przypadkowej obecności innego agenta zaraz po tym, jak on sam odnalazł Kelleher. Poza tym, jeśli miał dostęp do ISAK-a, mógł w każdej chwili sprawdzić ostatnie lokalizacje działań Aurelia.

– Wpadłem na April na drodze na południe od miasta, gdy natknęła się na lokalną wersję Rikersów. Nieźle sobie radziła, ale wolałem pomóc.

„Nic dziwnego, że czuła się przy nim tak swobodnie” – pomyślał Aurelio. „Zrobił tak dobre pierwsze wrażenie, jak to tylko możliwe”.

– A teraz opowiada mi swoją historię – kontynuował Ike. – Właśnie doszła do punktu kulminacyjnego.

– Zgadza się – potwierdziła. – Skoro już tu jesteś, to też możesz posłuchać. A potem idę spać.

Aurelio przyciągnął sobie krzesło bliżej ognia i usiadł, tworząc wokół paleniska równoboczny trójkąt z Kelleher i Ronsonem.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

– Przejdę od razu do sedna. – April siedziała teraz wyprostowana, z dłońmi na kolanach. Mówiąc, patrzyła w ogień. – Dowiedziałam się w Nowym Jorku, że mój mąż Bill mógł być zaangażowany w prace nad nowym typem antywirusów, które mogą leczyć wirusa z Czarnego Piątku. Dowiedziałam się też, że zespół pracujący w Ann Arbor być może stworzył

próbkę takiego antywirusa. To tak zwany antywirus o szerokim spektrum, ale przygotowany na to, jak Dolarowa Grypa może mutować. Jeśli taka szczepionka istnieje i jeśli Bill był w to zaangażowany... – Potrzebowała chwili, by mówić dalej. – Widziałam, jak go zastrzelili na ulicy, i gdybym się dowiedziała, że jakaś część jego pracy przetrwała i pomoże sprawić, by to się już nigdy nie powtórzyło... Taka świadomość bardzo by mi pomogła.

Otarła oczy rękawem i umilkła. Umysł Aurelia działał na najwyższych obrotach, by dopasować jakoś tę nowinę do tego, co już wiedział. Kelleher dowiedziała się o antywirusie. Ktoś wysłał za nią Ike'a Ronsona. A więc ten ktoś też o nim wiedział, a Ronson uważał, że ten ktoś bardziej zasługuje na lojalność niż Division.

W świecie, w którym przestały obowiązywać zasady odpowiedzialności i przejrzystości, ktoś kto kontrolowałby produkcję i dystrybucję antywirusa, zdobyłby gigantyczną władzę. Gdyby wirus zmutował i epidemia by powróciła, ten ktoś byłby bezpieczny. Mógłby wykorzystać szczepionkę jako ostateczny szantaż wobec każdego. Aurelio nie patrzył na Ronsona. Wiedział, że w jego umyśle odbywa się podobna analiza. Aurelio nie miał pojęcia, czy Ronson wiedział już wcześniej o antywirusie, i tylko czekał na potwierdzenie od Kelleher. Podejrzewał, że Ike jest tak samo zaskoczony jak on. To była szokująca nowina.

Pytanie, co z nią zrobią.

Aurelio wiedział, jaki ma obowiązek. Jeśli antywirus istnieje, jego nadrzędnym zadaniem jest dopilnowanie, by trafił w ręce tych, którzy uczynią dzięki niemu najwięcej dobrego. Jego zdaniem był to rząd, pomimo swoich niedoskonałości i słabości. Przedstawiciele władzy wykonawczej i ustawodawczej starali się utrzymać Stany Zjednoczone Ameryki przy życiu. Aurelio też się do tego zobowiązał, a zdalny do wykorzystania lek na wirusa Amhersta byłby kamieniem milowym stabilnej odbudowy.

Zleceniodawcy Ike'a Ronsona prawdopodobnie mieli inny pomysł, skoro przekupili go, by zdradził Division.

Zgodnie z Dyrektywą 51 Aurelio miał wszelkie prawo władować

Ronsonowi kulkę w łeb. Problem polegał na tym, że Ronson był wyszkolonym agentem Division, tak samo jak Aurelio, i z pewnością obserwował go kątem oka, tak samo jak Aurelio obserwował jego. Wynik starcia był nie do przewidzenia, a poza tym trzeba było też rozważyć bezpieczeństwo Kelleher. Ronson posiadał już kluczową informację, której albo nie miał wcześniej, albo musiał ją potwierdzić. Nie potrzebował już April Kelleher, a to znaczyło, że Aurelio musi uratować jej życie, gdy Ronson postanowi po sobie posprzątać i wykonać decydujący ruch.

Pomimo impulsu, by załatwić Ronsona, Aurelio zachował spokój.

– To ci dopiero nowina – powiedział. – Jesteś pewna, że ten lek istnieje?

– Pytasz, na ile był tego pewny człowiek, który mi o tym powiedział? – April wyprostowała się i potarła dłońmi twarz. – Uważał, że to prawda, ale nie miał bezpośredniego potwierdzenia ani nie mógł skontaktować się z tutejszym laboratorium, żeby to sprawdzić. Najwyraźniej współpracują z naukowym skrzydłem JTF, ale nie są częścią JTF.

– W takim razie sprawdźmy – oznajmił Ike. Aurelio natychmiast na niego spojrział. W jego wzroku dostrzegł rodzaj wyzwania, ale też coś innego. Jakby w wyrazie jego twarzy kryło się jakieś odwołanie. Do czego? Do łączących ich związków z Division? Ronson zerwał je ostatecznie przy Duane Street.

Opowiedzenie swej historii pozbawiło April resztek sił. Wyciągnęła się na wiklinowej sofie i powiedziała:

– Sprawdzimy jutro. – Zamknęła oczy i zasnęła w ciągu minuty.

Upłynęła długa chwila milczenia, zanim odezwał się Ronson.

– Twarda z niej sztuka. Sama dotarła tutaj aż z Nowego Jorku.

Aurelio pokiwał głową.

– Tak, to szmat drogi. Dużo się może przydarzyć. Ale sam wiesz.

Ronson nic nie odpowiedział. Dołożył dwa kawałki drewna do ognia. A potem odsunął krzesło, położył się na podłodze tarasu i z dłońmi pod głową wbił wzrok w niebo.

– Powiem dwie rzeczy – oznajmił. – Po pierwsze nie wiesz o mnie

wszystkiego.

– Okej – odparł Aurelio. – A po drugie?

– Idę spać – powiedział Ronson. Zamknął oczy. – Jak chcesz mnie skasować, to proszę bardzo. Jeśli nie, to obudź mnie za cztery godziny i ja przejmę wartę.

IKE

Gdy Ike się obudził, już świtało. Usiadł, spodziewając się, że Diaza i Kelleher może już nie być, ale April nadal spała na sofie, a Diaz opierał się o balustradę tarasu i patrzył na wschód, gdzie blask wstającego słońca rozświetlał drzewa otaczające kampus.

Ike wstał i przeciągnął się.

– Mówiłem serio, żebyś mnie obudził.

– Trzy dni temu oberwałem w głowę. Od tamtej pory i tak nie mogę spać.

Diaz nie patrzył na niego. Ike czuł potrzebę, żeby się przed nim wytłumaczyć. Nie chciał, żeby tamci ludzie z Duane Park zginęli. Po prostu akcja źle się potoczyła. Ale nie byłby w stanie przekonać o tym Diaza. Nie było też sposobu, żeby go przekonać, że robi słusznie, prowadząc Modliszkę do antywirusa.

Decyzję podjął od razu. Rząd ledwo funkcjonował, JTF z trudem się utrzymywało. Przekazanie czegoś, co może uratować świat, ludziom, którzy nic nie potrafiliby z tym zrobić, byłoby równoznaczne z wyrzuceniem tego w błoto.

Zerkając na April, Ike znów się zdumiał, ile w niej odwagi i ufności. Dla marzenia o prawdzie pokonała sześćset mil, to było imponujące. W pewien sposób był dumny z tego, że jej pomógł. Cokolwiek się ostatecznie stanie, ona przeżyła, by uzyskać swoje odpowiedzi, dlatego że on pojawił się w miasteczku Milan w odpowiednim momencie. Przez krótki czas obawiał

się, że April nie zechce powiedzieć mu, czego szuka w Ann Arbor. Nie chciał tego z niej wymuszać. Właściwie nie był pewny, czy potrafiłby to zrobić. Ale ostatecznie nie musiał. Skłonił ją do mówienia, i się stało. Ike nigdy nie szkolił się w prowadzeniu przesłuchań, ale wiedział, że najlepszy sposób uzyskania od kogoś informacji to nie wymuszanie, tylko podtrzymywanie rozmowy i utrzymywanie rozmówcy w przekonaniu, że się słucha i jest się zainteresowanym. Stworzenie dobrej relacji. I to zadziałało. A fakt, że była zmęczona i przepełniona poczuciem wdzięczności, na pewno nie zaszkodził.

Było tuż po szóstej.

– Idę się odlać – powiedział Ike. Diaz nie zareagował.

Ike zszedł zewnętrznymi schodami i ruszył tylną alejką na skraj budowy. Wyglądało na to, że cała ta część miasta była w trakcie przebudowy. Dwu- i trzypiętrowe budynki przerabiano na wysokie betonowe wieże. To już nie był college z dawnych czasów.

Gdy tylko znalazł się w bezpiecznej odległości, skontaktował się z Modliszką. Zgodnie z harmonogramem: po czterdziestu ośmiu godzinach od poprzedniej rozmowy. Lecz tym razem to nie on będzie miał pytania.

– Modliszko, tu Strażnik.

Odpowiedziała od razu:

– Tu Modliszka.

– Będę się streszczać. – Ike obejrzał się w tym momencie na schody i ściszył głos. Nie widział Diaza, a Kelleher najpewniej pospałaby aż do południa. – Nawiązałem kontakt z April Kelleher. Dowiedziałem się, jaki ma cel. Kieruje się pogłoską, że ktoś w Ann Arbor stworzył szczepionkę, która zwalcza wirusa Amhersta. JTF uważa tę pogłoskę za wiarygodną. Udamy się dzisiaj do miejsca, gdzie ten antywirus prawdopodobnie jest wytwarzany.

– Doskonała robota, Strażniku. Poślemy ekipę, żeby przejąć próbki i wyciągnąć cię stamtąd.

„To może wszystko skomplikować” – pomyślał Ike. Musiał zorganizować to tak, żeby zobaczyć ten lek, zanim pojawią się komandosi

Modliszki. W przeciwnym razie mógłby nie dotrzymać obietnicy, a drugiej szansy nikt mu nie da.

Poza tym nie chciał, żeby Kelleher – i owszem, nawet Diaz – byli na miejscu, gdy zacznie się strzelanina. Ike może i zdradził Division, ale miał ku temu swoje powody, i wcale nie pragnął śmierci agentów.

– Czas przybycia? – zapytał.

– Ekipa natychmiast wyruszy do bazy operacyjnej pod Ann Arbor i wkroczy, gdy tylko potwierdzisz obecność próbek. Wymów jedno słowo: popłoch.

„To rozwiązuje problem” – pomyślał Ike.

– Potwierdzam sygnał: popłoch.

– Bez odbioru.

A więc ruszyło. Pozostało tylko znaleźć laboratorium i przekonać się, czy cudowny lek rzeczywiście istnieje.

Kiedy wrócił na taras, April właśnie się przebudzała. Diaz stał tam, gdzie wcześniej. April usiadła i powiedziała:

– Śniła mi się kawa.

Diaz się roześmiał.

– Ja śnię o kawie chyba co noc. Miałem wujka, która pracował na planacji kawy w Gwatemali. Mama prażyła ziarna w domu. Kawę mam we krwi.

– To stamtąd pochodzisz, z Gwatemali? – zapytał Ike. Nigdy nie przepadał za kawą.

– Nie. Urodziłem się w Waszyngtonie. Ale moi rodzice pochodzili z Gwatemali. Z doliny Acatenango, na zboczu wulkanu. Przyjechali do Stanów, gdy wulkan wybuchł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.

– Ciekawsza historia niż moja – stwierdził Ike. – Jestem z New Jersey.

Wyjęli jedzenie i zjedli śniadanie. Gdy skończyli, Ike wylał wodę na palenisko i pomieszał z popiołem. Kiedyś był skautem. Dawno temu.

– Dziś wielki dzień – powiedział Diaz. – Dokąd idziemy?

– Północny Kampus – odpowiedziała April. – Nie pamiętam nazwy budynku, ale jeśli znajdziemy ulicę Fuller Road, to ona nas do niego doprowadzi.

Znaleźli Fuller Road, gdy ominęli róg kampusu i ruszyli w dół obok szpitala. Ulica skręcała na wschód. Po lewej minęli zarośnięte boiska piłkarskie i basen. Po prawej na wzgórzu wznosił się szpital. Tuż za boiskami przeszli przez rzekę i zauważyli znaki prowadzące do szpitala dla weteranów i do Północnego Kampusu.

Parę minut później zobaczyli kampus. Kilka budynków zostało otoczonych betonowymi barierkami i drutem żylkowym, a na umieszczonych wokół w regularnych odstępach stanowiskach ogniowych dostrzegli żołnierzy JTF.

– Cóż – powiedział Diaz. – Wygląda na to, że znaleźliśmy miejsce, które ktoś uważa za cenne.

Poprowadził ich przez parking do najbliższego punktu kontrolnego. Wskazując na April i Ike'a, powiedział:

– Agent Ronson i ja mamy tu cywila z istotnymi informacjami. Musimy skontaktować się z którymś z waszych badaczy.

Jak zwykle wyposażenie Division otwarło przed nimi drzwi.

– Zwróćcie się do doktor Chandrasekhar. – Wartownik przy bramie wskazał najbliższy z pięciu budynków otoczonych barierą ochronną. Frontowa ściana składała się głównie ze szkła z trapezoidalnym daszkiem nad głównym wejściem. Wewnątrz budynku Ike dostrzegł światła i poruszających się ludzi. – Z tego, co wiem, to ona nadzoruje wszystkie projekty – dodał wartownik.

Weszli do środka i zaczęli pytać. Trzecia zagadnięta osoba zaprowadziła ich do biura wewnątrz budynku, z dala od fikuśnego szklanego wejścia. Tu korytarze i drzwi miały bardziej użytkowy charakter, a okna były mniejsze. Wąskie prostokąty szyb ukazywały laboratoria i pomieszczenia ze sprzętem.

Kavita Chandrasekhar miała mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu

i spięte praktyczną klamerką siwe włosy. Jedną parę okularów przesunęła na czoło, a drugą miała na nosie. Znajdowała się w niewielkim biurze ze schematami skomplikowanych chemicznych cząsteczek na ścianach i otwartym laptopem na biurku zasłanym czasopismami naukowymi. Jedyne okno, na wpół otwarte, by wpuścić wiosenny wietrzyk, wychodziło na wschód, bezpośrednio na Bibliotekę Prezydenta Geralda Forda. Gdy Ike, Diaz i April pojawili się w drzwiach, zmieniła okulary i zapytała:

– W czym mogę pomóc?

– Przepraszamy, że przeszkadzamy, pani profesor – odezwał się Diaz. – Ale chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Wskazując April, dodał:

– Tak właściwie to ona.

April wyciągnęła rękę.

– April Kelleher – przedstawiła się.

– Och – powiedziała naukowczyni, ściskając jej dłoń. – Do niedawna pracowałam nad pewnym projektem z zespołem z Nowego Jorku, a jeden z jego członków nazywał się Kelleher. Czy to popularne nazwisko?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparła April. – Ale przypuszczam, że ten konkretny Kelleher to był mój mąż.

Rozdział 38

APRIL

Im więcej mówiła, tym łatwiej jej szło.

Tak było wczoraj wieczorem, gdy otworzyła się najpierw przed Ikiem, a potem też przed Aureliem. I tak samo dziś rano, gdy profesor Chandrasekhar powiedziała:

– Naprawdę? William Gibson Kelleher? Był pani mężem?

April nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś wymówił pełne imię i nazwisko jej męża, bo używał go tylko do podpisywania artykułów naukowych. Ludzie często myśleli, że jego dwa imiona to fanowski hołd złożony pisarzowi Williamowi Gibsonowi, ale Bill twierdził, że to był pomysł jego ojca, który całe życie kibicował Los Angeles Dodgers i chciał oddać cześć bohaterowi World Series z 1988 roku Kirkowi Gibsonowi.

– Tak – odpowiedziała. A potem po raz piąty czy szósty, odkąd opuściła Nowy Jork, opowiedziała swoją historię.

Kiedy skończyła, profesor Chandrasekhar spojrzała na Ike'a i Aurelia.

– Mogę jej powiedzieć?

Ike milczał. Aurelio stwierdził:

– Dla mnie okej.

– A więc... – powiedziała profesor Chandrasekhar. – Gdy wirus zaczął się rozprzestrzeniać i wiedzieliśmy już, że mamy do czynienia z pandemią, władze podjęły działania, by ochronić to laboratorium i kilka innych w pobliżu. JTF zajęło się tym, gdy zostało uformowane. Mieliśmy też do pomocy agentów Division. Wszystko po to, byśmy nadal mieli prąd

i urzędzenia do prowadzenia prac. Oczywiście oryginalne próbki wirusa najłatwiej było uzyskać w Nowym Jorku. Zanim zaczął się rozprzestrzeniać tutaj i w innych regionach kraju, zdążył już zmutować. Obserwowaliśmy więc prace doktor Kandel i innych w Nowym Jorku i dzieliliśmy się jednocześnie naszymi wynikami. Kilka razy podczas naszych eksperymentów skorzystaliśmy z badań Billa Kellehera. Oraz wielu innych naukowców. Tuż po Czarnym Piątku zaczęła szwankować komunikacja i nie miałam pojęcia, że Bill Kelleher został zamordowany. Bardzo mi przykro to słyszeć. Nigdy ze sobą nie korespondowaliśmy, ani się nie spotkaliśmy, ale mam wrażenie, że trochę go poznałam, czytając jego prace.

„Koopman miał rację” – pomyślała April. „A ja miałam rację, że chciałam tu dotrzeć. Może to było szalone, że wyruszyłam w drogę sama, ale tak należało postąpić”. Przez dłuższą chwilę milczała, ogarnięta mieszaniną uczuć: smutku, żalu, satysfakcji i dumy zarówno z Billa, jak i z samej siebie.

– Dobrze wiedzieć, że jakoś pomógł – powiedziała. – Ale chciałabym się dowiedzieć więcej o tym, dlaczego go zabito.

Po drugiej stronie pokoju Ike powiedział:

– Popłoch.

Profesor Chandrasekhar spojrzała na niego:

– Słucham?

– Ludzie wpadną w popłoch, gdy się dowiedzą o szczepionce i o tym, gdzie jest wytwarzana – stwierdził Ike. – Proszę posłuchać, jeśli jest już jakaś próbka, to powinniśmy zabrać ją w bezpieczne miejsce. Tak bezpieczne jak fort Knox.

– Och, próbka jest – odparła profesor Chandrasekhar. – Kompletna partia, dwadzieścia cztery dawki. Całe sekwencjonowanie i splicing zrobiliśmy tutaj, w laboratorium kilkaset metrów stąd i wysłaliśmy ją tydzień temu do Waszyngtonu. Doradca do spraw nauki prezydenta Ellisa powinien już mieć tę próbkę. Mniej więcej za rok szczepionka będzie powszechnie dostępna. – Profesor aż się uśmiechnęła na tę myśl.

– Chwila – powiedział Ike. – Nie ma jej tutaj?

To był pierwszy raz, gdy April zauważyła u niego wzburzenie. Jej wystarczyła świadomość, że antywirus istnieje i że Bill przyczynił się do jego stworzenia. Wykonał dobrą robotę i za to umarł. A ona też dobrze wykonała swoje zadanie.

– Nie – odpowiedziała profesor Chandrasekhar. – Doradca prezydenta Ellisa wyraźnie poprosił, żebyśmy przesłali całe zsyntetyzowane serum antywirusa do niego, by mogło zostać bezpiecznie przetworzone w Waszyngtonie. My nadal będziemy prowadzić tutaj badania i tworzyć inne wariacje, ale pierwsza seria antywirusa o szerokim spektrum zwalczającego wirusa Amhersta jest gotowa i... cóż, powinna już być w rękach urzędników w Waszyngtonie. – Zauważyła zdenerwowanie Ike'a i dodała:

– Powinniśmy się martwić, że coś poszło nie tak?

– Jak pani wspomniała, ostatnio trudno polegać na łączności – powiedział Aurelio. – A żadne z nas od dawna nie było w Waszyngtonie. Pochodzę stamtąd, ale nie byłem tam od lutego.

– W takim razie powinnam to skonsultować z urzędnikami, z którymi rozmawiałam. – Profesor Chandrasekhar zapisała coś w notatniku przy laptopie. – Jak zapewne mówiłam, mamy sporo pracy. Czy mogę wam jeszcze w czymś pomóc?

– Tylko jedno pytanie – powiedziała April. – Człowiek o nazwisku Koopman. Nie wiem, czy go pani zna. On też jest z Nowego Jorku. – Chandrasekhar pokręciła głową. – Okej. Powiedział mi, że tuż po Czarnym Piątku, gdy wypuszczono wirusa, zabito wielu naukowców zajmujących się tą dziedziną. Przypuszczał, że to dlatego, że Amherst musiał wypuścić wirusa wcześniej, niż planował, bo być może obawiał się zdemaskowania. Nie miał więc czasu, żeby dopracować wirusa do perfekcji, a szczególnie jego odporności na leki antywirusowe.

– Rozumiem, do czego pani zmierza – odpowiedziała Chandrasekhar. – Amherst zamordował ludzi, którzy zajmowali się tą dziedziną, żeby opóźnić badania, które w końcu umożliwiłyby zwalczanie jego wirusa.

– Albo Amherst, albo ludzie, którzy dowiedzieli się o jego planach

i chcieli je wykorzystać do swoich celów – odparła April. – Koopman dorzucił taką drobną uwagę.

– Nie chcę nawet myśleć, że są tacy ludzie – stwierdziła Chandrasekhar. – Ale niestety wiem, że istnieją.

April zauważyła, że Ike i Aurelio milczą. Spojrzała ponownie na Aurelia i zobaczyła, że jego zegarek się rozświetlił. Aurelio zerknął na niego i wyszedł na korytarz.

– Posłuchajcie, jeśli szczepionki tu nie ma, to nic tu po nas – oznajmił Ike. – Ja i Aurelio mamy swoje zadania. April, czy zamierzasz tu zostać, skoro zadałaś sobie tyle trudu, by tu dotrzeć? Co zamierzasz robić?

– Chwileczkę – odparła. To była jej jedyna szansa, by wyrobić sobie pełny obraz tych, którzy doprowadzili do tego, że mężczyźni w czarnych garniturach zastrzelili jej męża. Nie miała zamiaru jej zmarnować. – Pani profesor, skąd pani wie, że są inni ludzie, którzy próbują wykorzystać wirus?

– Ośrodki takie jak ten to teraz prawdziwa rzadkość – odpowiedziała naukowczyni. – Wiele zniszczono i splądrowano, inne zostały porzucone. Mieliśmy trochę czasu, by uchronić to laboratorium, ale sprzyjało nam też szczęście. Więc od czasu do czasu zgłaszają się do nas różne grupy, które chcą, żeby coś dla nich zsyntetyzować. Oczywiście odmawiamy. Czasem JTF, a czasem Division muszą mocno podkreślić naszą odmowę, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

To pasowało do tego, co mówił Koopman, przynajmniej w ogólnym zarysie. Jeśli takie grupy były aktywne już wtedy, gdy wypuszczano wirusa, o czym to świadczy? Czy wiedzieli wcześniej o szalonym projekcie Amhersta i sami zaczęli planować, jak go dla siebie wykorzystać? Jacy szaleńcy zrobiliby coś takiego?

Tacy, którzy cenią władzę, brzmiała odpowiedź. Każdy miałby jakieś uzasadnienie, ale w rzeczywistości każde z nich było jedynie wymówką dla żądzy władzy. Tacy ludzie nie mieli żadnego problemu z zabijaniem dla swojej wizji.

„A więc tacy ludzie zamordowali Billa” – pomyślała. „Bo dzięki swojej

pracy, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiał, pomagał stworzyć przyszłość, w której żaden szaleniec nie będzie mógł zabić milionów ludzi, a skrzywdzić jeszcze więcej. Oni nie chcieli takiej przyszłości. Chcieli takiej, w której sami będą decydować o tym, kto przeżyje, a kto umrze”.

Może to brzmiało melodramatycznie, ale pasowało do faktów. A wiedza, że praca Billa żyje po jego śmierci i pomogła stworzyć lek, który przyniesie nową przyszłość tym, którzy przetrwali, niosła April pociechę. Była wręcz zaskoczona, że to dla niej takie ważne. Bo przecież Billa jej to nie przywróci.

Jednak po tym, jak widziała tyle bezsensownej śmierci, tylu ludzi cierpiących i wydających ostatnie tchnienie pośród obojętności i braku czyjejkolwiek uwagi... Wiara w to, że śmierć Billa miała znaczenie, przyniosła April nadzieję. Domknął się pewien krąg, wyznaczona została granica między jej przeszłością a przyszłością. Nie odzyska go, ale to tylko czyniło ją jedną z milionów ludzi, którzy utracili kogoś, kogo kochali.

I wszyscy musieli żyć dla jutra.

Ta myśl przyszła jej do głowy akurat w momencie, gdy zobaczyła, że Aurelio wchodzi z powrotem do gabinetu profesor Chandrasekhar.

AURELIO

Aurelia irytowało, że zaczął w myślach podważać swoją pierwotną ocenę Ike'a Ronsona. Może jednak warto poświęcić czternaście osób, by świat mógł się dowiedzieć o nadchodzącej pomocy? O tym, że wirus z Czarnego Piątku, Dolarowa Grypa, Zielona Trucizna już wkrótce będzie tylko złym wspomnieniem, przesłoniętym realizującą się wizją przyszłości nowej Ameryki? Aurelio nie potrafiłby o tym zdecydować. I nie wydawało mu się, by mógł o tym decydować Ike. Ale na tym polegał problem. Na Manhattanie był tego pewien. Był tego pewien przez całą drogę przez Pensylwanię, Ohio, jezioro Erie i Michigan. Był tego pewien jeszcze zeszłego wieczoru.

A teraz, rankiem, już nie.

Może źle ocenił Ike'a. Przecież ochronił April i umożliwił jej dotarcie tutaj.

Martwiło go jedynie to, z kim Ike rozmawia. Czy to jakaś zbuntowana grupa w ramach SHD? A może jakaś inna agenda rządowa, która nie ufa SHD? A może ktoś z zewnątrz – a jeśli tak, to do czego dąży?

Nie znając odpowiedzi na te pytania, Aurelio mógł się opierać jedynie na swoich oczach, uszach i instynkcie, a te mówiły mu, że Ike Ronson jest szczerzy.

Tyle że szczerzość Ike'a nie zmieniała faktu, że tamte czternaście osób w atrium z windą przy Duane Park nie żyje. Aurelio nie miał pełnej wiedzy, brakowało mu istotnej informacji, bez której nie mógł działać z czystym sumieniem.

Dostarczyła mu ją porucznik Hendricks. Wywołała go, gdy April rozmawiała z naukowczynią. Wyszedł na korytarz.

– Tu Diaz.

– Agencie Diaz, proszę potraktować to jako ostrzeżenie najwyższego stopnia i natychmiast się ewakuować, jeśli znajduje się pan w pobliżu Ike’a Ronsona.

– Niezłe powitanie, pani porucznik.

– Właśnie rozpracowuję zaszyfrowane rozmowy Ronsona. Przydaje się każde kolejne nagranie, a dziś rano około szóstej skontaktował się ze swoim zleceniodawcą, kryptonim Modliszka. Niech pan posłucha uważnie, agencie Diaz, bo nie będzie miał pan czasu, żeby potem dopytywać. Wystawił jej Kelleher, szczepionkę i lokalizację. Modliszka wysłała tam ekipę i teraz cytuję: „żeby przejąć próbki i wyciągnąć cię stamtąd”. „Cię” – czyli Ronsona.

„Powiniennem był od razu zastrzelić tego sukinsyna” – pomyślał Aurelio.

– Proszę mówić dalej – powiedział.

– To wszystko – odparła porucznik Hendricks. – Poza dwoma ostatnimi i prawdopodobnie zbędnymi radami. Po pierwsze proszę się przygotować na to, że w pańskiej obecnej lokalizacji zaraz zrobi się bardzo gorąco. A po drugie sugerujemy natychmiastowe zneutralizowanie Ike’a Ronsona.

Zakończyła transmisję, a Aurelio odliczył do dziesięciu, uspokajając oddech i zapanowując nad gniewem.

A potem, starając się nie dać nic po sobie poznać, wszedł do gabinetu. April nadal rozmawiała z profesorem. Ike opierał się o ścianę tuż przy drzwiach, po prawej ręce Aurelia. Podchwycił spojrzenie Diaza i skinął głową. Aurelio odwzajemnił się tym samym.

A potem obrócił się i znokautował Ronsona lewym sierpowym z całym impetem swojej złości za to, co Ronson już zrobił, i za to, co jego działania miały spowodować. Głowa Ronsona uderzyła o framugę i bez słowa osunął się na ziemię.

– Mój Boże, Aurelio – wykrztusiła April. Profesor zerwała się od biurka

z szeroko otwartymi oczami i dłonią przyłożoną do ust.

– Zorganizujcie coś, żeby go związać – rzucił Aurelio. – Potem wam wyjaśnię.

Ike zaczął się ruszać po dwóch czy trzech minutach, ale do tego czasu Aurelio znalazł w szafce w gabinecie Chandrasekhar trzy kable i wykorzystał je, żeby związać ręce Ike'a za oparciem fotela. Profesor wycofała się, nie chcąc się wtrącać, natomiast April ostro zaprotestowała:

– Co ty wyprawiasz?! Przecież gdyby nie on, nigdy bym tu nie dotarła!

– Wierzę ci – odparł Aurelio. – Ale pomyśl, dlaczego agent z Manhattanu był akurat na miejscu, by pomóc ci przebyć ostatnie dwadzieścia mil do Ann Arbor?

Widział, że do April dociera sens jego słów.

– Chwileczkę – powiedziała. – On mi powiedział, że działa w Ohio i Pensylwanii.

– W tamtym momencie tak było. Ale wyruszył z Manhattanu trzy dni po tobie, z rozkazem, żeby cię znaleźć.

– Rozkazem od kogo?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć, gdy się ocknie – odparł Aurelio. – Powinnaś też wiedzieć, że gdy dostał rozkaz, żeby cię znaleźć, a dokładniej „nawiązać kontakt i wspierać”, zdezerterował w środku strzelaniny, wysyłając fałszywy sygnał SOS. Skąd o tym wiem? Bo to ja na ten sygnał odpowiedziałem. To ja dokończyłem robotę, którą porzucił, i policzyłem ciała cywilów, którzy zginęli przez jego ucieczkę.

Widząc szok na twarzy April, Aurelio zrozumiał, że musi złagodzić przekaz.

– Posłuchaj – powiedział spokojniejszym tonem. – Wiem, że to sporo informacji naraz. Ike rzeczywiście uratował ci życie. Po drodze zrobił też inne dobre rzeczy. Ale jest jednocześnie podwójnym agentem i według informacji, które właśnie otrzymałem od wywiadu JTF, wezwał tutaj oddział

szturmowy.

To zwróciło uwagę profesor Chandrasekhar.

– Co zrobił?

– Musi pani ewakuować swoich ludzi, pani profesor – odpowiedział Aurelio. – I zabierzcie ze sobą, co możecie. Moim zdaniem wieczorem tego budynku już nie będzie.

Profesor natychmiast przystąpiła do działania. Gdy tylko wyszła na korytarz, wykrzyczała polecenia, które odbiły się echem od szklanej fasady budynku.

– Masz rację – powiedział Ike.

Aurelio cofnął się o krok, gdy Ike uniósł głowę i dodał:

– Nieźle mnie walnąłeś, Aurelio. Szkoda że tak bez uprzedzenia.

– Jak się traktuje innych jak głupków, to się obrywa bez uprzedzenia – odparł Aurelio. – Kim jest Modliszka?

Ike się uśmiechnął. Aurelio widział, że grymas sprawia mu ból.

– Nie wiem – odpowiedział Ike. – I zanim zapytasz, nie wiem też, jak się nazywa grupa, dla której ona pracuje. Miałem się tego dzisiaj dowiedzieć, gdy to... – Przesunął głową, jakby chciał objąć wzrokiem całe pomieszczenie, cały budynek, całą ich misję i wszystko. Aurelio zauważył, że mówi niewyraźnie, jego szczęka nie doszła jeszcze do siebie po ciosie. – Gdy to się skończy – dokończył Ike.

– Jak cię skaptowali? – zapytał Aurelio. – Jak sprawili, że porzuciłeś tamte dzieciaki w Nowym Jorku?

– To nie tak miało być – odpowiedział Ike. – Przyciągnąłem DPF, licząc na to, że ich wkurzę i zaczną strzelać. Chciałem to wykorzystać jako przykrywkę do zniknięcia z miasta. Kiedy zorientowałem się, że w tym budynku są ludzie, było już za późno. To... moja wina. Koszmarny błąd.

– Ale mimo to uciekłeś.

– Tak, uciekłem. Bo była tylko jedna szansa, żeby w to wejść, jedna jedyna. Jeśli ci ludzie potrafią uratować miliony, a tamci musieli umrzeć, żeby to się stało... Posłuchaj, Aurelio. Chcesz we mnie widzieć zdrajcę

i łajdaka. W porządku. Jak mówiłem zeszłego wieczoru, możesz mnie skasować. Decyzja należy do ciebie.

Aurelio wyczuł, że April zmieniła pozycję, i kątem oka zauważył, że na niego patrzy. Nie wiedziała o tej ich rozmowie i w tym momencie zapewne domyśliła się, że tak jak Ike nie przypadkiem przechodził przez Milan w odpowiedniej chwili, tak samo on nie przypadkiem pojawił się w Ann Arbor akurat teraz.

– Obaj mnie szukaliście? – zapytała. – I żaden nie mógł mi o tym powiedzieć? Co ja jestem, jakiś pionek w szachach?

– Wszyscy jesteśmy pionkami – odparł Ike. – Tylko niektórzy mają większą świadomość, po której stronie grają. Ja wiem, że zanim będzie lepiej, musi być gorzej. Widziałeś Waszyngton, Aurelio. Nikt tam nad niczym nie panuje. Jak myślisz, do kogo zwrócą się ludzie, gdy będą się zastanawiać, co robić? Kto w tej chwili przewodzi temu krajowi? Nikt. A ktoś musi. Ostatecznie i ty, i ja, i ty też, April, i prawdopodobnie także pani profesor, mamy taką samą wizję. Chcemy, żeby wszystko było po staremu, a może nawet trochę lepiej. Próbowałem do tego dążyć z Division. Ale to się nie sprawdza. Więc teraz próbuję inaczej.

– Widzę, że miałeś dużo czasu, żeby przygotować sobie wymówki, dlaczego mnie śledziłeś – stwierdziła April. Rozprostowywała palce dłoni jak robią to ludzie, gdy są tak rozgniewani, że pierwotna część umysłu zaczyna przejmować nad nimi kontrolę. Aurelio przysunął się bliżej, żeby móc ją powstrzymać, gdyby zaatakowała Ike'a. Może i na to zasłużył, ale Aurelio nie zamierzał beczynnie przypatrywać się biciu kogoś, kto jest związany.

– Może to i wymówki – odpowiedział Ike. – Ale mogłem wycisnąć z ciebie informacje wczoraj w Milanie albo w nocy na tamtym tarasie. Nie zrobiłem tego. A JTF też nie działa w białych rękawiczkach. Słyszałeś, co się stało z kwarantanną w Waszyngtonie, Aurelio? Ilu ludzi przez to umarło? W innych miejscach też do tego doszło. Wcale nie mamy czystych rąk.

– Nie – powiedział Aurelio. – Wszyscy mamy krew na rękach. Ale

wybieramy, czyją krew.

– Owszem. Jak wspomniałeś, w Nowym Jorku zginęli przeze mnie ludzie. To straszne. Ale... – Ike powiercił się na fotelu, żeby przywrócić obieg krwi w ciele. – Posłuchaj, albo mnie zastrzel, albo daj mi spokój. Mam dość tłumaczenia się, a ty i tak mnie nie słuchasz.

Aurelio obszedł fotel. Widział, że Ike się spina, ale nie zamierzał zrobić mu krzywdy. Przykucnął i odpiął Ike'owi zegarek. Nadal świecił na pomarańczowo.

– To nie będzie ci potrzebne – powiedział. – Ani to – dodał, wypinając granat z paska Ike'a.

– Zaraz – powiedziała April. – Chyba go nie zastrzelisz...

– Nie, nie zastrzelę go. – Aurelio cały czas patrzył na Ike'a, choć jego słowa były skierowane do April. – Zostawię go tutaj, a my pomożemy tym wszystkim pigularzom się ewakuować. A potem wyślemy alarmowy sygnał SOS do Detroit i mam nadzieję, że dożyjemy przyjazdu kawalerii.

– Lepiej się pośpieszcie – odezwał się Ike. – To ludzie Modliszki. Za kilka tygodni przejmą zapasy paliwa wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Wszystko mają zaplanowane. South Portland, New London... Nie pamiętam szczegółów. A parę tygodni potem... Cóż, będę szczery. Nic więcej mi nie powiedzieli. Ale wtedy naprawdę sporo się zmieni.

Przejęcie zapasów paliwa oznaczało jedno: ludzie Modliszki mieli dużą liczbę pojazdów. A to z kolei znaczyło, że są o wiele lepiej zorganizowani niż typowe milicje rozproszone po całym kraju. A jeśli przejmą paliwo, to tego paliwa zabraknie JTF.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – Ike znowu się uśmiechnął pomimo obolałej zuchwy. – Owszem, wiesz. Wojny wygrywa się mobilnością. Ta wojna już została wygrana, czy ją zobaczę, czy nie. – Odpiął na chwilę wzrokiem, ale potem zamrugnął i skupił spojrzenie. – Nieźle mnie walnąłeś. Mówiłem ci to już?

„Nic dziwnego, że tyle gada” – pomyślał Aurelio. „Ma wstrząśnienie mózgu i się nie kontroluje. Dlatego też tak niewyraźnie mówi”.

Wycisnąłby więcej informacji z Ike'a, ale dźwięk dobiegający przez otwarte okno przykuł jego uwagę. I sprawił, że ścisnęło go w żołądku. Z daleka, ale coraz bliżej słychać było charakterystyczny głuchy terkot helikopterów.

Rozdział 40

APRIL

Aurelio wyprowadził April na zewnątrz. Chłodna atmosfera budynku ulotniła się po alarmie profesor Chandrasekhar – podobnie rozprysnąć się miała piękna szklana fasada, gdy tylko zacznie się strzelanina. Aurelio zrobiło się żal każdego, kto będzie wtedy w tej części budynku.

– Tak po prostu go tu zostawimy? – April słyszała wyznanie Ike’a, ale nadal nie potrafiła pogodzić jego słów z tym, jakim go poznała.

– Na moje oko uwolni się w ciągu dwudziestu minut – odparł Aurelio. – Jest w stanie użyć dłoni i może znaleźć coś ostrego.

April wyobraziła sobie, jak Ike wlecze za sobą fotel po całym gabinecie, aż znajduje... co? Parę nożyczek?

– A jeśli nie? Albo jeśli to zbyt mało czasu?

– To już jego problem – odparł Aurelio. – I tak mu odpuściłem. Wciąż żyje.

Na zewnątrz garnizon JTF szykował się do obrony. Oni też słyszeli śmigła helikopterów, a jeden z żołnierzy wskazywał północny wschód.

– Jeśli ludzie Modliszki mają śmigłowce i pilotów, a na dodatek paliwo, to naprawdę będzie problem – stwierdził Aurelio.

– Nie rozumiem, dlaczego atakują, choć próbek tu nie ma. – Znajdowali się już przy barierze otaczającej laboratorium. Aurelio obserwował niebo.

– Nie wiedzą o tym – odparł. – A zanim się dowiedzą, my powinniśmy się znaleźć jak najdalej stąd.

Widziała, że dręczy go konflikt powinności. Pomóc ludziom tutaj

w walce, którą najprawdopodobniej przegrają, czy wydostać się stąd i upewnić, że wiadomość o antywirusie dotrze do właściwych osób. Kimkolwiek były.

Strzały z broni palnej z południa trafiły w barierę i odbiły się rykoszetem od betonowych bloków. April odwróciła się, przykucając, i zobaczyła ubranych na czarno wojskowych, którzy przemykali pomiędzy samochodami na parkingu od strony Fuller Road. JTF odpowiedziało ogniem.

Ponad drzewami na wschodzie pojawiły się trzy helikoptery.

– Blackhawki – stwierdził Aurelio. – Ale nie widzę wyrzutni pocisków. Czyli transportują ludzi. Razem z tymi na parkingu będziemy mieć do czynienia z mniej więcej pięćdziesięcioma wrogami ze wsparciem lotniczym na niskim pułapie.

Spojrząwszy na helikoptery, April poprosiła:

– Przetłumacz to na ludzki język.

– Mamy przerąbane – odpowiedział Aurelio.

Dotknął zegarka na nadgarstku, a potem ucha.

– Tu agent Division Aurelio Diaz, obecna lokalizacja: Ann Arbor przy skrzyżowaniu Fuller Road z Beal Avenue. Pozycję JTF atakuje właśnie oddział paramilitarny w sile plutonu ze wsparciem śmigłowców. Proszę o natychmiastowe wsparcie ogniowe, pomoc wszystkich agentów i innych jednostek.

Słuchał przez kilka sekund.

– Tak, powiedziałem, że mają wsparcie śmigłowców! – podniósł głos, bo zagłuszał go dźwięk helikopterów i nasilająca się wymiana ognia od strony parkingu. – Nie, nie żartuję. Chyba je słyszycie?

Kolejna chwila ciszy.

– Cóż, lepiej się pośpieszcie. Bo w takim tempie to nikogo z nas już tu wtedy nie będzie.

Szkło roztrzaskało się za nimi, gdy przypadkowe kule zaczęły trafiać we frontową ścianę laboratorium. Aurelio wysunął się znad ogrodzenia i puścił dwie szybkie serie.

– Zobaczmy, co da się zrobić – powiedział raczej do siebie.

April czuła się bezużyteczna. Jej strzelba nie była zbyt przydatna w takiej walce, a jeśli tych pięćdziesięciu ludzi się przedrze, to podejrzewała, że też raczej niewiele pomoże.

Dwa blackhawki zakręciły na południe. Trzeci został, utrzymując pozycję w odległości kilkuset metrów.

– Spróbuję skontaktować się z tutejszym dowódcą – oznajmił Aurelio. – Może ma tu jakieś granatniki.

Pobiegł ze skuloną głową, trzymał się blisko muru. Gdy przykucnął za krótszym murem z worków z piaskiem, April straciła go z oczu. Widziała, jak niektórzy ze zbliżających się żołnierzy przeskakują między samochodami na parkingu. Strzelali, a potem chowali się, gdy JTF odpowiadało ogniem. Równie sfrustrowana, co przestraszona April tkwiła w kącie bariery ze spuszczoną głową i zastanawiała się, dokąd poszedł Aurelio. Nie trafiłaby w żadnego z żołnierzy atakujących bramę ani stanowiska ogniowe JTF od strony Beal Avenue. Nie mogła się też stąd wydostać. Mogła tylko tkwić w miejscu i czekać na jakąś szansę, żeby podjąć walkę bądź ucieczkę.

Jeden z nadlatujących śmigłowców dotarł na odległość stu metrów na południe od wejścia do budynku i zawisł tam trzydzieści metrów nad ziemią. Ciężki karabin maszynowy otworzył ogień przez boczne drzwi, przebijając drewniane ścianki stanowisk JTF. Drugi helikopter ustawił się tuż za nim, obniżając się, aż znalazł się zaledwie metr nad ziemią, mniej więcej w połowie drogi między zakątkiem April a głównym wejściem. Zobaczyła żołnierzy ściśniętych w drzwiach śmigłowca, ze stopami zwisającymi na zewnątrz i kolejnych stojących za nimi.

Wreszcie miała okazję coś zrobić. Oparła lufę superdziewięćdziesiątki na betonowej barierze i przygotowała się. Gdy płozy śmigłowca dotknęły gruntu, April wystrzeliła cały magazynek, osiem ładunków śrutu, w jego otwarte drzwi. Helikopter był pięćdziesiąt metrów od niej, więc sporo śrutu poszło na boki, ale widziała, że niektórzy z ubranych na czarno żołnierzy spadli na ziemię. Inni cofnęli się od drzwi, gdy na kadłubie helikoptera

rozbłyskiwały iskry.

Niestety jej strzały zwróciły uwagę drugiego śmigłowca. Karabin maszynowy przesunął się w jej kierunku. April przycisnęła się do betonowej bariery i skuliła najbliżej ziemi. Kule rozłupywały beton, czuła jego ostre odłamki, ale helikopter nie mógł przyjąć odpowiedniego kąta. „Tyle że to długo nie potrwa” – pomyślała. Musiała się przemieścić.

Gdy ogień maszynowy przesunął się na inny cel, April poderwała się, pobiegła wokół zachodniej strony budynku i przypadła do ściany tuż za rogiem, skąd nadal widziała, co się dzieje. Z dachu tuż nad swoją głową usłyszała strzały z karabinu. Na szybie najbliższego śmigłowca niczym gwiazdy rozchodziły się pęknięcia po uderzeniach kul. Inni żołnierze JTF skupili ogień na tym samym śmigłowcu, który w końcu odleciał i zajął pozycję dalej na południowym wschodzie. Teraz ostrzeliwał z karabinu maszynowego front budynku, zamieniając wysokie na dwa piętra okna w wodospad szklanych odłamków.

Strzelanina przy bramie przybrała na sile i coś wybuchło pod jedną z platform strzeleckich JTF. Zaraz potem czterech umundurowanych na czarno żołnierzy przedarło się przez bramę. Obrońcy z JTF powstrzymali ich ogniem, ale wtedy skupiły się na nich karabiny maszynowe helikopterów. Kilka sekund później przez bramę przedarła się kolejna grupka czarnych. Tym razem dotarli aż do wejścia do budynku, zanim Aurelio zjawił się z boku jednej z bramek bezpieczeństwa i zastrzelił trzech z nich. Ostatni odpowiedział ogniem, ale Aurelio już biegł, klucząc między generatorami i stosami palet. Wykorzystał nawet wielką metalową rzeźbę, żeby schować się na chwilę i zmienić magazynek. Wybiegł zza niej, strzelając w biegu, i zniknął z pola widzenia April.

Gdyby któryś z żołnierzy ją teraz zobaczył, byłaby martwa. Miała nóż i to było wszystko. Uświadomiła sobie, że mogła liczyć jedynie na to, że znajdzie ją Ike Ronson, ale to była wątpliwa nadzieja, bo nawet gdyby ją znalazł, April miała zamiar go tym nożem dźgnąć. A po tym raczej nie zostałby jej sojusznikiem.

Przez chwilę nie widziała trzeciego helikoptera, ale teraz pojawił się tuż nad nią i nadleciał nad budynek laboratorium. Poczowała intensywny podmuch wirników, gdy żołnierze wyskakowali na dach.

Aurelio nadbiegł zza odległego narożnika, trzymając się tuż przy ścianie. W połowie drogi do April zatrzymał się i uniósł karabin. Instyktownie padła na ziemię, a Aurelio strzelił ponad nią. Przetoczyła się na bok, wstała i zobaczyła, że jeden z ubranych na czarno żołnierzy przewraca się twarzą prosto w trawę.

Aurelio dotarł do niej, przysunął się blisko i oznajmił:

– Mają ludzi na dachu. To koniec. Musimy się stąd wydostać. – Dotknął swojego ucha. – Tu agent SHD Diaz – powiedział, przekrzykując huk wirników helikoptera, który nadal unosił się nad ich głowami. – Pozycja opanowana przez wroga. Pilnie potrzebne wsparcie taktyczne. Wychodzę z cennym zasobem ludzkim.

Skrzywił się, gdy głośny szum, który usłyszała nawet April, zatrzeszczał mu w słuchawce.

– Cholera – powiedział. – I po ISAK-u.

– ISAK-u?

– Naszej sieci łączności. Od paru dni nie działał stabilnie, ale teraz już całkiem padł. Nadal mam dostęp do bazy danych i komend głosowych, ale wszystko inne stracone. Nieważne. Musimy się stąd wydostać.

– Dlaczego uważasz mnie za cenny zasób? – zapytała April.

– Powiem ci, jak wydostaniemy się spod ognia.

Aurelio rozejrzał się wokół, a potem popatrzył do góry. Trzeci helikopter poleciał dalej i zniknął z widoku.

– Są już w budynku. JTF zostało pokonane. Możemy tylko oddalić się możliwie najdalej, zanim Ike powie im, kogo powinni szukać.

Po zachodniej stronie stało kilka mniejszych budynków i duża farma solarna. Za nią rozciągały się kolejne budynki kampusu. Na północy to samo. Wschód był wykluczony, podobnie jak południe. Przynajmniej tak się wydawało April, ale Aurelio powiedział:

– Okej. Ruszamy na północny zachód. – Wskazał kierunek. – Ruszamy biegiem. Gdy tylko miniemy tamte pierwsze budynki, skręcamy na wschód. Po drugiej stronie szpitala dla weteranów jest las. Jeśli tylko uda nam się do niego dotrzeć, wszystko będzie dobrze. W porządku?

– W miarę – odparła April.

– Och, jeszcze jedno. – Aurelio pochylił się nad zwłokami zastrzelonego żołnierza i zabrał jego broń. Wręczył ją April. – Może ci się później przydać.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że zostawiła swoją strzelbę, gdy uciekała przed helikopterem. Ale nie mogła po nią wrócić. Ruszyła za Aureliem wzdłuż ściany budynku w stronę jego północno-zachodniego narożnika. Zaraz potem Aurelio powiedział:

– Na trzy. Jeden... dwa...

Pobiegli.

AURELIO

Minęli panele słoneczne i bez żadnego problemu przedostali się przez bagnisty odcinek między dwoma stawami. Atakujący całkowicie skupili się na budynku laboratorium.

– Na razie jest dobrze – stwierdził Aurelio. Ukryli się w zaroślach po południowej stronie jednego ze stawów, żeby odsapnąć, zanim przystąpią do kolejnego etapu ucieczki. Tuż za Fuller Road wznosił się szpital dla weteranów. Oddział JTF, w sile niewystarczającej, by odwrócić losy toczącej się bitwy, przecinał ją właśnie w kierunku strefy walki. Niektórzy z atakujących laboratorium zajmowali już pozycje na parkingu, by przygotować się na ich przyjęcie.

– Teraz jest dobry moment – oznajmił Aurelio.

Wypadł z zarośli i ruszył na drugą stronę ulicy. April pobiegła za nim. Obejrzała się przez ramię, gdy dotarli na parking przed szpitalem.

Sześciu ludzi w czarnych mundurach porzuciło przygotowania do starcia ze zbliżającymi się siłami JTF.

– Idą za nami – wydyszała April.

Aurelio obejrzał się.

– Czyli jeszcze nie wyszliśmy na prostą – stwierdził. Nawet w tak trudnej sytuacji April przewróciła oczami na ten słaby żart.

– Tatuśkowe dowcipasy przetrwały zarazę, co? – wytknęła delikatnie, gdy schowali się za autobusem porzuconym na parkingu.

– Jak się zostaje ojcem, to jakby odzywał się ukryty gen – stwierdził

Aurelio. April była zaskoczona. Nie miała pojęcia, że Aurelio ma dzieci.

Wyjrzał zza autobusu, ściągając na siebie ogień. Ścigający zwolnili i podzielili się na dwa trzyosobowe zespoły. Jedna z grup skręciła pomiędzy nich a wejście do szpitala, natomiast druga kierowała się prosto na autobus.

– Przetrzyмай ich przez chwilę – powiedział Aurelio, wskazując na wejście szpitala. – I stój stopami tuż przy przednim kole.

April zrobiła, jak kazał. Poczekwała, aż trzej napastnicy pojawią się na podjeździe przed wejściem do szpitala, i posłała serię w ich kierunku, a oni się rozproszyli.

„Idealnie” – pomyślał Aurelio. Odpiął od pasa granat.

– Dzięki, Ike – powiedział. Wyciągnął zawleczkę i rzucił granat pod autobusem, jakby puszczał kaczkę po wodzie. A potem schował się za tylnymi kołami pojazdu.

Eksplozja zniszczyła niemal wszystkie szyby w autobusie. Aurelio usłyszał głuchy odgłos przy swoich stopach – to musiał być odłamek, który uderzył w oponę. Spojrzał na April i zobaczył, że ona też patrzy w dół. A potem obszedł autobus od tyłu. Granat powalił dwóch z trzech napastników. Trzeci właśnie wyłaniał się zza filara podziemnego parkingu przy szpitalu. Aurelio położył go. Usłyszał, że April strzela, i zobaczył, jak jeden z grupy na szpitalnym podjeździe się chwieje, bo wszyscy trzej się odsłonili, próbując strzelić w niego. Po chwili usłyszał suche kliknięcie. April skończyła się amunicja.

Aurelio błyskawicznie wrócił za autobus.

– Teraz mamy szansę. Biegiem! – krzyknął. Pognał drogą dojazdową otaczającą teren szpitala. April biegła tuż za nim. Terkot karabinów maszynowych i wirników helikopterów towarzyszył im aż do lasu.

Biegli prosto na południe, dokoła dużego kompleksu mieszkaniowego. A potem dotarli nad brzeg rzeki, wcześniej, niż Aurelio się spodziewał.

– Niedobrze – stwierdził. Oboje nieśli zbyt dużo, by pływać, a poza tym w rzece byliby łatwym celem, gdyby ktoś ich nadal ścigał. Aurelio wyobraził sobie, jak blackhawk przyłapuje ich pośrodku rzeki.

– Nie, zobacz – powiedziała April.

Spojrzał, co pokazuje. Za ledwie trzydzieści metrów dalej przez rzekę wiodła kładka, niknąc pośród drzew po drugiej stronie.

– Cofam – powiedział Aurelio. – Jest dobrze.

Przeszli kładką i zorientowali się, że są na ścieżce Gallup Park, która wiodła między rzeką a torami kolejowymi. Ponad godzinę przemieszczali się szybkim tempem, najpierw po ścieżce, potem torami. Zatrzymali się przy starej tamie z resztkami młyna do produkcji papieru po drugiej stronie rzeki. Wokół nie było żywego ducha. Wypłoszyli tylko czapłę, która zerwała się z brzegu i poszybowała nad ich głowami na południe.

– Myślę, że tam jest kolejne miasto – powiedział Aurelio. – Ypsilanti. Powinniśmy teraz zjeść coś i ruszyć dalej. Gdy zleceniodawcy Ike’a zorientują się, że próbek nie ma, zaczną nas szukać.

April milczała, gdy Aurelio wręczał jej wojskową rację żywnościową. Jedną z ostatnich. Będą musieli kombinować z jedzeniem w najbliższych dniach, chyba że zdecydują się odwiedzić któryś z garnizonów JTF.

– Powinniśmy byli zostać i walczyć – powiedziała April.

– Wiem – odparł Aurelio. – Ale od momentu, gdy pojawiły się blackhawki, to już nie była żadna walka. Poza tym martwi nie moglibyśmy przekazać dalej informacji, które zdobyliśmy.

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc, że jestem cennym zasobem ludzkim? Bo powiem ci prawdę, Aurelio. Wcale nie czuję się cenna. Czuję tylko, że doprowadziłam Ike’a Ronsona do tych ludzi, a teraz oni nie żyją.

– Posłuchaj, doskonale cię rozumiem – odpowiedział Aurelio. – Gdybym zdjął go zeszłej nocy, nie doszłoby do tego wszystkiego. Więc możemy zrobić jedną z dwóch rzeczy: siedzieć i płakać, że ocaliliśmy, albo uprzedzić innych ludzi, co się będzie działo, żeby zginęło ich jak najmniej.

Milczała przez dłuższą chwilę. A potem powiedziała:

– Twardziel z ciebie, Aurelio.

– To czasy dla twardzieli. Pewni ludzie umarli przez to, co ty zrobiłaś, i jacyś ludzie umarli przez to, co zrobiłem ja. Ale trzeba zrozumieć, kto

ponosi winę. To Ike Ronson wystawił nas oboje. – Aurelio skończył jedzenie, wytarł widelec o spodnie i schował go do plecaka. – Chciałbym mieć czas na współczucie, ale go nie mam.

– Okej – powiedziała April. Głęboko zaczerpnęła powietrza, przytrzymała je w płucach, a potem powoli wypuściła. – To co teraz robimy?

– Plan mam taki – Aurelio wyciągnął rękę. – Podaj mi magazynek z tej M16.

April dopiero po chwili zorientowała się, jak się wyjmuje magazynek z tej broni. Aurelio nie pomagał. Powinna to umieć, na wypadek gdyby się rozdzielili. Gdy znalazła przycisk, podała mu magazynek, a on napełnił go nabojami. „Dobrze, że w G36 i w M16 używa się tej samej amunicji” – pomyślał.

– Teraz ci powiem, dlaczego jesteś cenna. Profesor Chandrasekhar prawdopodobnie nie dożyje końca dnia. Ani nikt z tych, którzy wiedzą, że próbki antywirusa wysłano już do kogoś w Waszyngtonie. A to oznacza, że ty, ja i Ike Ronson jesteśmy jedynymi osobami, które mają tę informację. Ike powie o tym swoim przyjacielom. A my musimy powiedzieć naszym.

– Czyli wracamy do Nowego Jorku – powiedziała April. – Przyznam, że liczyłam na to, że nigdy nie będę musiała tam wrócić.

– Cóż, wcale nie musisz. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale powinnaś dotrzeć do Waszyngtonu. To tam wyruszyły próbki, więc tam musi trafić informacja. ISAK nie działa, więc w tej chwili nie mam łączności dalekiego zasięgu, bo uprzedziłbym, że się wybierasz. – Nadal miał informacje o okolicy oraz dostęp do stałych baz danych, ale to wszystko pochodziło prawdopodobnie z lokalnych sygnałów w Detroit. ISAK nie do końca był ślepy, ale zdecydowanie cierpiał na krótkowzroczność.

– Waszyngton – powiedziała. – Nie znam tam nikogo. To znaczy jedna z moich koleżanek stamtąd pochodziła. Miała na imię Mirabelle. Trzymałyśmy się razem w college’u. Ale wątpię, żeby żyła. A poza tym czy to nie zadanie dla ciebie?

– Ja muszę dostać się do któregoś z miejsc składowania paliwa, które

wymienił Ike. Jeśli szykuje się atak, to JTF powinno się o tym dowiedzieć i wzmocnić obronę. Ruszam więc do New London w Connecticut. Ike o nim wspomniał, a jest o wiele bliżej niż South Portland w Maine.

Aurelio oddał jej z powrotem magazynek, a ona wsunęła go do karabinu. Potem dał jej jeszcze pudełko z nabojami.

– Tyle mogę ci oddać.

– Mam nadzieję, że w ogóle nie będę tego potrzebować – April wydawała się przygnębiona. – Pracowałam jako projektantka, Aurelio. Przygotowywałam szkice i arkusze. A teraz... – Zamknęła oczy. – Nawet nie wiem, ilu już ludzi zabiłam.

„Witamy w klubie” – pomyślał Aurelio. Ale jej było trudniej. Nie była szkolona na taką ewentualność.

– Nie zabiłaś nikogo, kto by na to nie zasłużył – odparł. – Stanęli po niewłaściwej stronie.

– Rozum mówi mi to samo – odpowiedziała April.

– Ale i tak źle się z tym czujesz. To dobrze. Gdybyś nie czuła dyskomfortu z tego powodu, byłabyś emocjonalnym trupem. Życie postawiło cię w niełatwej sytuacji. A ty robisz, co możesz.

Wstał i przeciągnął się, po czym założył plecak i zarzucił karabin przez ramię.

– Nie powinniśmy przebywać zbyt długo w jednym miejscu. Nadal mogą nas szukać.

Tego samego dnia dotarli do Detroit. Dopytując o drogę, doszli do placówki handlowej i portu na Zug Island, gdzie rzeka Rouge wpływa do rzeki Detroit. Patrząc na przeciwległy brzeg, po kanadyjskiej stronie, odległy zaledwie o tysiąc metrów, Aurelio zaczął rozmyślać, jak tam wygląda sytuacja. Może kiedyś się przekona. Następnego dnia rano znaleźli transport do Cleveland, a po uzupełnieniu zapasów w tamtejszej bazie JTF nadeszła pora na rozstanie. Aurelio porozmawiał o April z JTF i zgodzili się pomóc jej dotrzeć przynajmniej do Pittsburgha. Tamtejsi oficerowie będą mieli najlepszą wiedzę, jak ma potem wyruszyć dalej do Waszyngtonu.

– Jak już będziesz w Waszyngtonie – powiedział Aurelio – znajdź jakiegoś agenta Division. I pokaż mu to. – Wręczył jej zegarek Ike’a. – To na pewno zwróci uwagę. A potem opowiedz dokładnie, czego się tu dowiedziałaś. Podaj im moje nazwisko. W Waszyngtonie zna mnie mnóstwo agentów. Pamiętaj, że musimy zakładać, że nikt poza zleceniodawcami Ike’a Ronsona i może jakimiś osobami z zaplecza nie wie, że antywirus istnieje. Przekaż to agentom Division w Waszyngtonie. Powiedz im, że o to właśnie walczą.

Włożyła zegarek do plecaka.

– Wydaje mi się dziwne, że to ja wybieram się do Waszyngtonu, skoro to ty stamtąd jesteś.

– Zgadzam się – odparł Aurelio. – Ale tak czasem bywa. Mogę cię prosić o przysługę?

– Oczywiście.

– Mam dwoje dzieci. Amelię i Ivana. Byli w obozie dla uchodźców w hotelu Mandarin Oriental, ale potem większość mieszkańców przeniesiono do innego obozu w Zamku Smithsonian. Byłaś tam kiedyś?

Pokiwała głową.

– Zwiedzałam zabytki w Waszyngtonie, tak.

– Przeniosłem się do Nowego Jorku, bo tam mnie potrzebowano, ale planowałem wrócić do Waszyngtonu, gdy zakończę sprawę Ronsona. A teraz wybieram się do Connecticut. Więc gdybyś mogła sprawdzić, czy u moich dzieci wszystko w porządku... – Załamał mu się głos. April wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Bardzo chętnie, Aurelio. Amelia i Ivan, tak? – Skinął głową. April poklepała go i dodała: – Zrobię to w pierwszej kolejności.

– Nie, najpierw przekaz informację o antywirusie.

– Zaproponuję ci układ – odparła April. – Jeśli spotkam agenta, zanim dotrę do Zamku Smithsonian, to tak zrobię. Ale jeśli nie, to najpierw sprawdzę, co u twoich dzieci. A potem powiem agentowi, żeby się z tobą skontaktował.

Wciąż miał ściśnięte gardło. Z wdzięcznością kiwnął głową.

– Powiedz im, że u mnie okej.

– Oczywiście.

Rozległ się klakson. April spojrzała na bazę operacyjną na stadionie futbolowym, gdzie miała się spotkać z kierowcą, żeby zabrał ją do Pittsburgha.

– To chyba mój transport.

– Na to wygląda – powiedział Aurelio. – Posłuchaj, jeszcze jedna sprawa.

Odwróciła się w połowie kroku.

– Wiem, że trudno będzie zapomnieć o tych wszystkich złych rzeczach, które wydarzyły się przez ostatnie dni – powiedział Aurelio. – Ale mam nadzieję, że znalazłaś odrobinę spokoju, dowiadując się czegoś o swoim mężu.

April się uśmiechnęła. To był uśmiech pełen melancholii, ale mimo wszystko uśmiech.

– Tak, to prawda – odpowiedziała. – Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś. Mam nadzieję, że zapewnię ci odrobinę spokoju, gdy dotrę do Waszyngtonu.

Uniosła rękę na pożegnanie i ruszyła w kierunku czekającej ciężarówki.

„Ja też” – pomyślał Aurelio. „Ja też”.

Rozdział 42

VIOLET

Atak, który w końcu nastąpił, rozpoczął się o północy. Violet wyrwała ze snu odgłosy strzałów i kul uderzających o ściany Zamku. Zanim zdążyła oprzytomnieć, instynktownie zanurkowała pod łóżko. Leżała tam, ciężko oddychając. Inne dzieci zrobiły to samo – albo położyły się plackiem, albo skuliły w kątach sali. Shelby zaczęła płakać. Saeed był najbliżej. Przytulił ją i trzymał w objęciach, gdy pociski waliły w ściany. Usłyszeli trzask rozbijanego szkła na niższych piętrach i krzyki dorosłych.

Mieszkańcy Zamku zaczęli się bronić.

W poprzednim tygodniu przygotowali mnóstwo zabezpieczeń. Mury wokół terenu Zamku zostały wzniesione i umocnione. Okna zabezpieczone. Na wyższych piętrach Zamku i w obu muzeach Junie i Mike zarządzili utworzenie otoczonych workami piasku stanowisk strzeleckich. Wartownicy trzymali straż dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Mimo wszystko Violet była przerażona. Shelby już się uspokajała, ale Violet i tak gwałtownie oddychała, jakby się dusiła.

Najpierw kule trafiały w niższe piętra, jednak po chwili dotarły wyżej. Dźwięk roztrzaskiwanego szkła rozległ się echem w kamiennych korytarzach. Jednym z ostatnich wybitych okien było to w sali dzieci wychodzące na Mall. Kule, które je potłukły, wbijały się w podwieszany sufit, a jedna z nich odbiła się rykoszetem od kamiennego stropu pod spodem i przeszła drzwi.

Strzały ustały. Ludzie nadal krzyczeli coś na niższych piętrach, ale nikt

od strony Zamku nie strzelał.

Zaraz potem Violet usłyszała głos Sebastiana dudniący w całym Mall. Używał megafonu.

– Witaj, Zamku Smithsonian! – zawołał. – To była pewna wskazówka dla was. Ostrzeżenie, swego rodzaju sygnał. Byliśmy wobec was bardzo cierpliwi, ale ta cierpliwość chyba nic nie wnosi. A więc pora podjąć bardziej zdecydowane działania.

Violet miała ochotę podejść do okna, żeby go zobaczyć. To wydawało jej się mniej straszne niż słuchanie jego głosu dochodzącego nie wiadomo skąd. Ale cała podłoga i sofy pod oknem zasypane były odłamkami szkła, a ona nie miała na sobie butów. Musiała zostać na miejscu i słuchać dalej.

– Wrócimy jutro. Powiem wam nawet, kiedy wrócimy. Powiedzmy... Miałem zaproponować jakąś godzinę wcześniej rano, ale wiem, że przerwałem wam sen. Więc niech będzie południe. Wrócimy w południe i mam wielką nadzieję, dla waszego dobra, że brama od strony Independence Avenue będzie otwarta. Junie? Mike? Liczę, że mnie słyszycie. A wszystkim życzę miłych snów.

Rozległ się trzask, gdy wyłączano megafon. Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem roznoszącym się w sali były oddechy Violet i innych dzieci. Wreszcie odezwała się Amelia.

– I co zrobimy?

Nie zasnęli już tej nocy. Junie przyszła mniej więcej godzinę po przemowie Sebastiana.

– Wiedzieliśmy, że może do tego dojść – oznajmiła. – Będziemy musieli walczyć. Ale naszym zadaniem jest tylko powstrzymanie ich do momentu przybycia JTF. Musicie jedynie nie przeszkadzać i pilnować swojego bezpieczeństwa. Chodźcie.

Zaprowadziła ich na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się pomieszczenie bez okien tuż obok większej sali, której używali jako kuchni.

– Zorganizujcie sobie wszystko, czego możecie potrzebować przez kilka

dni – powiedziała Junie. – I zabierzcie koce, tylko uważajcie na odłamki szkła. Okej? Szybciutko. Czekam tu na was.

Pobiegli na górę, zabrali swój skromny dobytek – ten maskotkę, tamten portfel rodzica ze zdjęciami, ktoś inny jakieś drobiazgi – i po kilku minutach wrócili do nowej sali.

– Okej – powiedziała Junie. – Zostawię drzwi otwarte. Zorientujecie się, gdy zrobi się jasno. Zjemy śniadanie i naradzimy się, co dalej.

Gdy sobie poszła, Violet powiedziała:

– Myślę, że powinniśmy zrealizować nasz plan.

– Jesteś pewna? – zapytała Amelia. – Może Junie ma rację? Musimy tylko wytrzymać, aż dotrze tu JTF.

Saeed kręcił głową.

– Nie dotrze. Sebastian wie, że na nich czekamy. Nie pozwoli im tu dotrzeć.

Violet o tym nie pomyślała. Znów poczuła ucisk w piersi, ale zmusiła się, by spokojnie oddychać.

– Nie wiadomo – odparła Amelia. Ivan energicznie potakiwał, popierając zdanie starszej siostry.

– A co wy byście zrobili? – zapytał Saeed. – To znaczy gdybyście chcieli nas zaatakować. Zrobilibyście to, gdybyście wiedzieli, że JTF przyjdzie nam na pomoc?

Żadne nie potrafiło odpowiedzieć.

– Powinniśmy zrealizować nasz plan – powtórzyła Violet.

Rano nikt nie miał czasu dla dzieci. Junie i Mike nadzorowali dalsze przygotowania do obrony. Wysłali też na dachy dwóch budynków muzealnych przy Zamku ludzi z lornetkami i karabinami. Uprzątnięto większość potłuczonych szyb, a część roztrzaskanych okien zabito deskami. W niektórych powstały szczeliny z wąskim widokiem na zewnątrz, w sam raz na lufę karabinu.

Violet i Noah dostali się do kuchni i zorganizowali coś do jedzenia.

Zjedli lunch, a potem zabrali dodatkowe jedzenie z powrotem do pokoju bez okien. Była jedenasta. Spakowali jedzenie, na wypadek gdyby musieli zrealizować swój plan.

Tydzień wcześniej, gdy odesłano ich z kwitkiem z Ford's Theatre, Violet zebrała wszystkie dzieci i powiedziała, że muszą wymyślić swój własny plan działania, jeśli na Zamku pójdzie coś nie tak. Przez jakiś czas kłócili się o szczegóły, ale ostatecznie plan uzgodnili.

Violet chciała, żeby zabrali rzeczy i uciekli, wszyscy razem, nic nie mówiąc dorosłym. Ale nie była pewna, jak to zrobić, i wtedy wkroczyli Saeed i Ivan.

– To nie wiesz o tunelach? – zapytał Ivan.

– Właśnie – poparł go Saeed. – Z piwnicy wychodzą tunele, takie z rurami grzewczymi.

– A dokąd prowadzą? – zapytała Amelia. – I co wy tam w ogóle robiliście?

– Badaliśmy teren – odparł Ivan. – Nie mogliśmy tego robić na zewnątrz, więc...

– Zwiedzaliśmy wnętrze zamku – dokończyła Shelby z szerokim uśmiechem. Niedawno wypadł jej kolejny ząb.

– Ty też o nich wiedziałaś? – Violet była zaskoczona. Shelby zwykle nie przepadała za przygodami.

– Tak, okropnie się nudziliśmy.

Violet spojrzała na Noah i Wiley'ego.

– My nic nie wiedzieliśmy – powiedział Wiley. – Przynajmniej ja nie wiedziałem.

– Ja też nie. Tkwiałem na górze, pilnując mojego głupiego brata – powiedział Noah.

– Dobra. Czyli są tunele. Dokąd prowadzą?

„Może to jest pomysł” – uznała Violet. „O ile tunele nie są zalane albo coś”.

– Cóż, doszliśmy tylko do końca jednego z krótszych. Dociera do

piwnicy Galerii Sacklera.

Czyli do muzeum w południowo-zachodnim rogu terenu Zamku.

– Ten długi przechodzi przez Mall, ale nie poszliśmy nim zbyt daleko, bo dotarliśmy do rozgałęzienia i baliśmy się, że zabłądzimy.

I już mieli plan. W razie kiepskiej sytuacji będą mogli zejść pod ziemię... O ile mają pewność, że nie utkną wtedy w jakimś beznadziejnym miejscu. Saeed, Ivan i Shelby optowali za długim tunelem, ale Violet bała się, że dotrą do jakiegoś odciętego miejsca i wtedy nie będą mogli wrócić do Zamku. Postanowili więc sprawdzić krótki tunel do Galerii i zobaczyć, czy da się nim wyjść.

Okazało się, że się da... bo Noah, Wiley i Saeed wyłamali zamek w starych drzwiach piwnicy Galerii Sacklera. To był właściwie trzeci poziom piwnicy, bardzo głęboko pod ziemią. Większość muzeum znajdowała się poniżej poziomu gruntu, o czym dzieci przekonały się dopiero, gdy zaczęły badać, dokąd prowadzą tunele.

Na górze ktoś dorosły krzyknął:

– Hej, co się tam, do cholery, dzieje?!

– Nic! – odkrzyknęli wszyscy naraz.

To było kilka dni temu, wtedy jeszcze tlił się w nich optymizm. Teraz, gdy wiedzieli, że ludzie Sebastiana zaatakują, nie mieli już nadziei, ale mieli za to plan.

Strzelanina rozpoczęła się tuż przed dwunastą. Wiedząc, że będą musieli walczyć, obrońcy Zamku postanowili nie czekać na pojawienie się ludzi Sebastiana, tylko zacząć walkę na swoich warunkach. Więc gdy tylko pojawiły się pierwsze oddziały ludzi Sebastiana – maszerujących Independence Avenue, jakby miasto należało do nich – snajperzy z Zamku na dachu Galerii Freera i na dachu samego Zamku zaczęli strzelać. Napastnicy rozbiegli się w popłochu. Inna grupa podeszła od strony Mall, a wtedy ostrzelali ich ludzie z karabinami rozmieszczeni na wieżach i wieżyczkach Zamku. Wiedzieli, że Sebastian by ich nie oszczędził, gdyby otworzyli bramę. Nie mieli więc nic do stracenia.

Mike zatrzymał się przed pozbawionym okien pomieszczeniem.

– Dzieci – powiedział. – Zaczyna się. Nie wiem, co wam powiedzieć, poza tym, żebyście się dobrze schowały i dbały o swoje bezpieczeństwo. Będzie dobrze.

Pobiegł dalej, a Violet spojrzała na resztę dzieciaków.

– Lepiej się przygotujmy – powiedziała. Wszyscy sprawdzili swoje plecaki i upewnili się, że mają dobrze zasznurowane buty. Nikt nie miał ochoty potknąć się o sznurówkę w najmniej odpowiednim momencie.

Zostali w tym pomieszczeniu tak długo, jak się dało. Dźwięki strzałów i krzyków – gniewu, strachu, bólu – odbijały się echem w korytarzach Zamku i wpadały przez wybite okna.

I wtedy Saeed powiedział:

– Muszę to zobaczyć.

Wyszedł z pokoju i skręcił w lewo w korytarz, w kierunku wielkiego holu, którego używali jako jadalni. Reszta popatrzyła po sobie. Nie chcieli zostać z tyłu. Więc też wyszli. Wszyscy skupili się wokół okna, które wychodziło na południe w kierunku bramy, ale było na tyle z boku, że pozostawało poza zasięgiem kul.

To, co ujrzeli, śmiertelnie ich przeraziło. Dziesiątki ludzi Sebastiana strzelało od strony Independence Avenue i budynku po drugiej stronie rzędu porzuconych aut. Niektóre z samochodów płonęły. Na terenie ogrodu też zobaczyli wymieniających ogień ludzi. Kobieta, która pokazała Violet, jak przygotować podpórki dla fasolki, strzeliła do żołnierza przechodzącego przez bramę, a potem obróciła się wokół własnej osi i upadła. Próbowwała się czołgać, ale nie mogła. Krew rozlewała się wokół niej na kamiennej ścieżce pomiędzy rabatami.

Część obrońców Zamku znajdowała się w pawilonie wejściowym Galerii Sacklera i ostrzeliwała stamtąd napastników. Strzelanina przeniosła się też na podziemne poziomy muzeum.

– Tam właśnie zamierzamy pójść, zgadza się? – zapytała Amelia.

– Tak – odpowiedział Saeed. – Ale wyjdziemy w piwnicy o wiele niżej.

Nie sędę, żeby zesli tak głęboko.

– Tylko jeśli będziemy musieli zrealizować plan – powiedział Noah.

– Zgadza się – odparł Saeed. – Tylko jeśli...

Jeden z napastników zatrzymał się i rzucił granat po schodach do środka galerii. Zaraz potem pawilon spowiła chmura dymu, unosząc się wysoko nad ogrodem. Ten sam żołnierz szykował się do użycia kolejnego granatu, lecz trafił go snajper z dachu Zamku. Żołnierz upadł, a po trzech sekundach granat wybuchł na skraju ogrodu. Violet wiedziała, że to głupie, ale była wściekła na takie bezsensowne zniszczenie. Zjedliby te wszystkie warzywa. A teraz ich już nie ma.

Pobiegli na drugą stronę budynku, żeby skontrolować sytuację. Żołnierze Sebastiana podchodzili pod sam Zamek, próbując wybić zasłaniające otwory okienne płyty wiórowe. Jednemu z nich się udało, ale zaraz potem cofnął się cały zakrwawiony. Dzieci poczuły dym i zobaczyły, że kłębi się na głównej klatce schodowej. Dorośli wewnątrz Zamku biegali we wszystkich kierunkach, próbując bronić wejść, podczas gdy kule przebijały zabite deskami okna.

Nadszedł czas.

– Słuchajcie – powiedziała Violet. – Idziemy.

Zaskoczył ją spokojny ton jej własnego głosu.

Zeszli po schodach, starając się nie wdychać dymu. Na parterze dorośli wydawali się spokojniejsi. Violet usłyszała, jak ktoś krzyczy do Darryla:

– Dajemy radę! Jeśli ich tu nie wpuścimy, będzie dobrze! W ogrodzie będzie do nich można strzelać jak do kaczek!

Ktoś inny wykrzykiwał rozkazy dotyczące kolejnych wrogów zbliżających się od wschodu.

Dzieci zeszły do piwnicy i dotarły do metalowych drzwi prowadzących do jednego z tuneli.

– Na pewno nie chcemy pójść tym długim i naprawdę się stąd wydostać? – zapytał Saeed.

– Nie wiemy, dokąd prowadzi – odpowiedziała Violet.

– Zgadza się, ale ten prowadzi do Galerii Sacklera, a tam... – Saeed nie musiał kończyć. Wszyscy słyszeli wybuch. Ale jeśli się nie mylili, znajdą się daleko od walki.

Z nisko pochylonymi głowami weszli do tunelu. Saeed i Violet szli pierwsi, tuż za nimi Amelia z Ivanem, potem Shelby, a na końcu Noah i Wiley. W tunelu było ciemno i gorąco, ale dotarli do drugiego końca bez problemu i wyszli na najniższym poziomie galerii. Zatrzymali się, by posłuchać. Wyglądało na to, że w pobliżu nie toczą się żadne walki.

Wbiegli po schodach na parter. Po południowej stronie znajdowało się duże szklane wejście, ale zostało zabarykadowane. Inne wyjścia wyprowadziłyby ich do ogrodu, gdzie nadal strzelano. Więc poszli w przeciwną stronę, korytarzami wypełnionymi pięknymi dziełami sztuki azjatyckiej i dotarli do zewnętrznych okien zachodniej ściany. Znajdowało się za nimi podwórze, a dalej ulica Dwunasta. Okna zostały zabite, ale oderwali pilśniową płytę łomem, który Saeed zabrał z piwnicy Zamku. Musieli sobie jeszcze poradzić z metalową framugą w oknie. Zajęło im to kilka minut, w końcu jednak wyłamali ją po jednej stronie i wypchnęli do końca kopniakami.

Gdy usunęli resztki szyby, mogli wyjść. Krzyki i strzały dochodziły z drugiej strony, zza prowizorycznych murów, które pomagali wznosić.

– Musimy się stąd wydostać. I powiadomić JTF – powiedział Saeed.

– Mówiłeś, że JTF nic nie robi – przypomniała mu Amelia.

– A kogo innego możemy powiadomić? – odparł Saeed. – Division? Nie wiemy, gdzie można ich spotkać.

Ktoś krzyknął z dołu z rogu Independence. Spojrzeli w tamtym kierunku i zobaczyli grupę ludzi Sebastiana. Jeden wskazywał na nich, a pozostali zaczęli biec.

– Ojoj – powiedział Ivan. – Musimy spadać.

– Ale dokąd?! – zapłakała Shelby.

To było trafne pytanie. Nie daliby rady uciec przed dorosłymi. To nie trwałoby długo. A Violet była pewna, że gdyby ludzie Sebastiana ich złapali,

to by ich zabili. Odrzucili jego propozycję. Może i miała dopiero jedenaście lat, ale wiedziała, że są na świecie ludzie, którzy są gotowi zabić, gdy ktoś im czegoś odmówi.

Noah i Wiley próbowali wyjść przez okno. Wiley jęknął, gdy się na nie wspinał. Czuł się lepiej, ale nadal go bolało przy wysiłku. Violet cały czas obserwowała zbliżających się mężczyzn. Co im powiedzieć? Co oni wtedy zrobią?

Jeden z nich uniósł broń.

– Stać! – wrzasnął.

Zamarli. Amelia powiedziała to, co wszyscy pomyśleli.

– Jesteśmy dziećmi! Pomóżcie nam.

To nie powstrzymało mężczyzn, ale przynajmniej ten, który do nich mierzył, opuścił lufę.

– Nie ruszajcie się stamtąd! – rozkazał. – Ani kroku.

Violet chciała uciekać. Czuła absolutną pewność, że jeśli zostaną, będą tego żałować. Ale za bardzo się bała. Ich plan się nie udał.

Dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Gdy zerknęła w tamtą stronę, mignęła jej rudowłosa kobieta z plecakiem Division. Oparła karabin o niski mur oddzielający teren Galerii Sacklera od chodnika przy Dwunastej. I bez słowa otworzyła ogień.

Pierwszą serią ścięła dwóch żołnierzy. Pozostali dwaj odwrócili się, ale ona dalej strzelała i trafiła jednego. Drugi próbował się ukryć. Kobieta przeskoczyła mur i podbiegła do dzieci.

– Chodźcie ze mną – powiedziała. – Do Mall, na drugą stronę ulicy. Idziemy.

Pobiegli za nią. Zatrzymała się pośrodku Dwunastej, całkiem sama, i posłała długą serię w kolejnych żołnierzy Sebastiana, którzy wysypali się zza rogu Galerii.

– Idźcie dalej! – krzyknęła. Pociski odbijały się rykoszetem od asfaltu wokół niej. Violet zauważyła, że znak drogowy zatrzęsł się, gdy przeszła go kula. Pobiegła razem ze wszystkimi. Kobieta zachwiała się, ale dzieci biegły

dalej.

Coraz więcej ludzi Sebastiana wychodziło zza rogu muzeum, ale obrońcy Zamku z wyższych pięter zorientowali się już, co się dzieje, i zaczęli strzelać. Żołnierze Sebastiana padali na ziemię albo szukali kryjówek. Rudowłosa kobieta rzuciła swój karabin na bok i pobiegła za dziećmi przez Jefferson Avenue i przez otwartą przestrzeń Mall. Zatrzymali się dopiero przy pomniku Waszyngtona. Wyprzedzili ją, bo utykała, biegnąc, ale wszyscy zebrali się razem u stóp pomnika i czekali, aż ich dogoni.

Dotarła do nich, oparła się o białe marmur ściany i powoli osunęła na ziemię. Lewą nogawkę spodni miała we krwi. Zdjęła plecak i skrzywiła się, próbując z powrotem wstać.

Violet obejrzała się na Zamek. Nikt ich nie ścigał. Bitwa nadal trwała, ale oni się wydostali. Wraz z innymi dziećmi przysunęła się bliżej kobiety.

– Jesteś agentką Division? – zapytał ją Saeed.

– Nie – odpowiedziała. – Tylko pomagam.

– Ale wyglądasz jak agentka – stwierdził Ivan.

Spojrzała na niego i podniosła się powoli.

– Nie jestem nią – odparła. – Ale musimy jakiegoś agenta znaleźć. Tylko zanim to zrobimy... – Zawahała się, oddychając ciężko i opierając się o ścianę. – Zanim to zrobimy, proszę, powiedzcie mi, że któreś z was nazywa się Diaz.

APRIL

– Nawet dwoje – odpowiedziała jedna ze starszych dziewczynek. – Amelia i Ivan.

„Bingo” – pomyślała April. Ból w zranionej nodze utrudniał jej myślenie, ale wiedziała, że musi zabrać te dzieci w jakieś bezpieczne miejsce. Spróbowała stanąć na tej nodze. Nie dała rady. Czuła, że kula przeszła po zewnętrznej stronie lewego uda.

„Tyle przeszłam od grudnia, a tak naprawdę dopiero teraz coś mi się stało”.

Gdy stała tak, opierając się o ścianę pomnika Waszyngtona i słuchając terkotu karabinów na Zamku Smithsonian, wszystko zaczęło wydawać się jej nierzeczywiste. Ale to przez szok po postrzale. Miała jeszcze jedną rzecz do zrobienia. A właściwie dwie.

Amelia i Ivan Diaz stali obok siebie w grupce siedmiorga dzieci. Wszystkie oczekiwały od niej decyzji, co robić dalej. April spojrzała na północ, w kierunku Białego Domu. Powinna się tam znajdować główna baza JTF w Waszyngtonie. Tam także toczyła się walka. Z tamtej okolicy nie nadejdzie żadna pomoc. Spojrzała na wschód. Ci, którzy atakowali Zamek, nie ustępowali. Grupki bojowników skupiały się w dobrze osłoniętych miejscach, a nasilenie ognia słabło. April nie miała wojskowego przeszkolenia, ale umiała rozpoznać, kiedy atak przekształca się w oblężenie. A na to właśnie wyglądało.

Bitwa wokół Białego Domu sprawiała lepsze wrażenie. JTF zdawało się

panować nad sytuacją. Ale i tak czuła się bezradna, a ból w nodze tak promieniował, że nie mogła się skupić. „Siedmioro dzieci” – pomyślała. „Dokąd je zabrać?”

„Najważniejsze, by zabrać je gdziekolwiek”.

– Musimy iść dalej – powiedziała. – Chodźcie, pójdziemy na drugą stronę Białego Domu i tam znajdziemy pomoc.

– Czekajcie – powiedziała dziewczynka, która się wcześniej odezwała. Miała dziesięć albo jedenaście lat, ciemne włosy i poważny wyraz twarzy. – Przecież nad stawem w Ogrodach Konstytucji postrzelili Wiley’ego.

– A gdzie to jest? – zapytała April. Dziewczynka wskazała palcem. – Okej – powiedziała April. – Skręcimy bliżej Białego Domu, zanim tam dotrzemy.

Poprowadziła dzieci na północ przez Mall, kierując się ku przeciwnej stronie parku Elipsa przed Białym Domem. Bitwa na obrzeżach Białego Domu wydawała się dobiegać końca. Zerkając do tyłu na południe, zobaczyła, że to samo dotyczy Zamku. Dym unosił się znad jednego z budynków w jego pobliżu, ale nie była w stanie dostrzec, co się tam dokładnie dzieje. W tym momencie myślała tylko o tym, by zabrać dzieci w bezpieczne miejsce. I przekazać wiadomość.

Gdy dotarli na drugą stronę Białego Domu i znaleźli się tuż obok Eisenhower Executive Building, jak zorientowała się po znakach, zatrzymała się.

– Okej – powiedziała. – To które z was nazywają się Diaz?

Nie zwróciła wcześniej uwagi, gdy dziewczynka jej je pokazywała.

Dwoje dzieci podniosło ręce. Pomyślała, że wyglądają jak brat i siostra. Dziewczynka, kilka lat starsza, bardziej przypominała Aurelia.

– Wasz tata chciał, żebym przekazała wam, że u niego wszystko w porządku – powiedziała.

– Rozmawiałś z nim? – zapytał chłopiec. Ivan.

April skinęła głową.

– Byliśmy razem na misji. Chyba tak można to nazwać. U niego

wszystko okej. Zamierza wkrótce wrócić do Waszyngtonu.

Ivan wybuchnął szlochem. Wtulił się w objęcia siostry, a April zrobiło się jej żal. Amelia. Na pewno czuła to samo, co brat, ale musiała odgrywać rolę starszej siostry.

– Amelio – powiedziała April. Dziewczynka oderwała wzrok od brata. Miała łzy w oczach. – Byłaś bardzo dzielna. Opiekowałaś się bratem. Z waszym tatą wszystko w porządku. Wytrzymajcie, a on niedługo wróci. – Wcale tego nie wiedziała, ale co mogła powiedzieć?

Amelia pokiwała głową. Ivan nadal wtulał twarz w jej pierś. April zwróciła się do pozostałych dzieci.

– Przepraszam, że nie mam wiadomości od waszych rodziców – powiedziała.

– My nie mamy rodziców – odpowiedziała dziewczynka, która powiedziała jej, gdzie postrzelono Wiley’ego.

– Jak masz na imię?

– Violet – odpowiedziała. – A ty?

– April. – Rozglądając się wokół, zdecydowała, że musi spróbować zaprowadzić dzieci do bazy JTF. Wyglądało na to, że bitwa, która się tu toczyła, dobiegła końca. – Chodźmy. Porozmawiamy z JTF i zobaczymy, czy znajdą dla was jakieś miejsce.

– Próbowaliśmy przenieść się do Ford’s Theatre – odezwał się jeden z chłopców. Wydawał się starszy od Ivana i bliźniąt, czyli Wiley’ego i jego brata. – Nie wpuścili nas.

– Okej – odparła April. – A jak ty masz na imię?

– Saeed – odpowiedział.

– Okej, Saeed – powiedziała April. – Jeśli Ford’s Theatre odpada, to znajdziemy coś innego.

Doprowadziła ich do ogrodzenia JTF otaczającego Południowy Trawnik Białego Domu.

– Mam tu dzieci, które potrzebują pomocy – powiedziała wartownikom. Spojrzawszy na swoją nogę, dodała: – Ja chyba też jej potrzebuję.

Krew spływała jej po nogawce aż do kostki.

Wartownik wpuścił ich i odpoczęli przez moment wewnątrz ogrodzenia. April rozejrzała się. Nigdy nie była w Białym Domu. Podczas ostatniej wizyty w Waszyngtonie jej przyjaciółka Mirabelle chciała zabrać ją na zwiedzanie, ale okazało się, że wszystkie miejsca już zarezerwowano.

Dostrzegła agentkę Division, która wychodziła ze stanowiska dowodzenia pomiędzy boiskiem do koszykówki przy Białym domu a fontanną pośrodku Południowego Trawnika.

– Hej! – zawołała.

Agentka odwróciła się i zobaczyła April otoczoną wianuszkami dzieci. A potem zauważyła jej plecak i wyraz jej twarzy się zmienił. „Znowu to samo” – pomyślała April. Gdy agentka do nich podeszła, April od razu powiedziała:

– Nie jestem z Division. Mam tylko ten plecak. To długa historia, a mam do przekazania coś, co jest ważniejsze.

Agentka Division nie wyglądała na przekonaną.

– Ważniejsze niż to, skąd masz wyposażenie agenta?

– Tak – odpowiedziała April. – Ale zanim to zrobię, możesz zabrać te dzieci w jakieś bezpieczne miejsce?

– Nie ruszaj się stąd – odparła agentka.

– Mam przestreloną nogę – powiedziała April. – Nigdzie się nie wybieram.

Agentka zaprowadziła dzieci do blaszanego półokrągłego baraku kawałek dalej, tam gdzie droga dojazdowa okrążała Południowy Trawnik. Weszła z nimi do środka i po kilku minutach wyszła sama. April próbowała ignorować ból nogi, ale było ciężko. Gdy agentka się zbliżyła, April powiedziała:

– Natknęłam się na nie, gdy próbowały się wydostać z Zamku Smithsonian. Pomogłam im, ale zostałam postrzelona.

– Zajmiemy się tym – odparła agentka. – Ale najpierw powiedz mi, skąd masz ten sprzęt.

April sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła zegarek Ike'a Ronsona.

– Mam go więcej – powiedziała. – Ten zegarek należał do agenta o nazwisku Ronson. To zdrajca. Wystawił mnie i mojego przyjaciela w Michigan. Mój przyjaciel to agent Division Aurelio Diaz.

Poczekala, aż agentka sprawdzi te informacje.

– Okej – powiedziała po chwili. – Znam Aurelia Diaza, a Ike Ronson jest w bazie SHD. Czy Ronson zginął w akcji?

– Nie wiem – odparła April. – Ostatnim razem, gdy go widziałam, Aurelio przywiązał go do fotela, a my uciekliśmy przed atakiem śmigłowców na laboratorium na Uniwersytecie Michigan. Tak przy okazji, jak się nazywasz?

– A ty?

– April Kelleher.

– Alani Kelso – odpowiedziała agentka.

– Dziwne – powiedziała April. – Mamy takie same inicjały. Opowiedzieć ci pewną historię?

– Jeśli jest krótka – odpowiedziała Kelso.

– Raczej nie – odparła April. – Ale obiecuję, że warto jej wysłuchać.

Zanim skończyła, poczuła, że słabnie przez ranę w nodze. Sanitariusz JTF opatrzył ją, ale April nadal czuła, że w każdej chwili może zasnąć. Dobrze, że ratownik podał jej chociaż jakieś środki przeciwbólowe.

– Pozwól, że podsumuję – powiedziała Kelso. – Istnieje szczepionka na wirusa.

April skinęła głową.

– Ktoś przywiózł ją tutaj z Michigan.

April znów pokiwała.

– Ale nie wiesz, kto ją teraz ma.

– Zgadza się – potwierdziła April.

Kelso się zamyśliła.

– Okej – powiedziała. – Wiesz, że będę to musiała zweryfikować

różnymi kanałami?

– Owszem – powiedziała April. – Skontaktuj się z Aureliem, jeśli mi nie wierzysz.

– Chyba ci wierzę, choć to brzmi jak wariactwo – odpowiedziała Kelso. – Przebyłaś całą drogę z Michigan, żeby mi to opowiedzieć?

– Tak – odparła April. – To znaczy, żeby opowiedzieć komukolwiek. Dokąd poszły dzieci?

– Na razie nic im nie grozi – odpowiedziała Kelso. – Zamek się utrzymał. Powstrzymali atak przy odrobinie pomocy z naszej strony. Ale nie odeślemy tam dzieci, chyba że nie znajdziemy dla nich żadnego innego miejsca. Przez jakiś czas nie będzie tam bezpiecznie.

– Możesz coś dla mnie zrobić? Dwoje z nich to dzieci Aurelia. Możesz przekazać mu wiadomość, że są bezpieczne? – April kręciło się w głowie. Nie potrafiła zebrać myśli, ale starała się skupić na tym, co najważniejsze.

– Pewnie – odpowiedziała Kelso. – A co on robi w Connecticut?

– Chyba sam powinien wyjaśnić – powiedziała April. – Ale jak będziesz z nim rozmawiać, to mogłabyś mu przekazać, że sprawdziłam, co z jego dziećmi, i że wszystko okej?

– Tak zrobię – obiecała agentka Kelso. – Jestem pewna, że się ucieszy.

– I powiedz komuś o szczepionce – dodała April. – Jest tutaj, w Waszyngtonie.

Alani Kelso przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

– Będę z tobą szczerą – powiedziała. – Pokręcona ta twoja historia. Ale jest aż tak pokręcona, że wydaje się prawdziwa. Zadbam o to, by ta informacja trafiła tam, gdzie trzeba.

– Dziękuję – powiedziała April.

Siedziała na ziemi przed namiotem medycznym JTF i myślała o tym wszystkim, co się jej przydarzyło – nie, o tym wszystkim, czego dokonała – w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Prawie sześciu. Uświadomiła sobie, że odpływa, gdy agentka Kelso poklepała ją po ramieniu.

– Znasz kogoś w Waszyngtonie? – zapytała.

– Kiedyś znałam – odpowiedziała April. – Ale nie wiem, czy ktokolwiek z nich żyje. – Myślała o Mirabelle. Mieszkała wtedy niedaleko stąd.

– Cóż, możesz tu zostać przez kilka dni – stwierdziła Kelso. – A jak już staniesz na nogi, to zobaczymy, co dalej.

April też to zastanawiała. Co będzie dalej? Od początku grudnia każdą chwilę poświęciła na odkrywanie tego, co się stało z Billem. A teraz wiedziała. Właśnie przekazała Division ważne informacje o szczepionce na Dolarową Grypę. Znajdowała się trzysta mil od Nowego Jorku i nie musiała tam wracać. Miała ranę postrzałową lewego uda. Wszystko to wprawiało ją w jakiś dziwny stan spokoju. Czuła, jakby miała misję do wypełnienia, ale o jej istnieniu dowiedziała się dopiero, gdy znalazła się w samym jej środku. A teraz ją ukończyła. Wiedziała, co robił Bill. Wiedziała, że bitwa o przyszłość Stanów Zjednoczonych Ameryki jeszcze się nie skończyła, ale ona na razie swoje zadanie wykonała.

– Chyba muszę trochę odpocząć – powiedziała.

– Dobry pomysł – odparła agentka Kelso.

„Świat będzie lepszym miejscem” – pomyślała April. I ona sama się do tego przyczyniła.

Podziękowania

Wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki.

Bardzo dziękuję każdej z nich. Szczególnie podziękowania niech przyjmą: Tom Colgan, Julian Gerighty, Jacob Kroon, John Björling, Richard Dansky, Eric Moutardier, Benoit Cohen, Caroline Lamache, Julien Fabre, Clémence Deleuze, Nicklas Cederstrom oraz pozostali członkowie zespołów narracji transmedialnej Massive i Ubisoft.

Dziękuję też graczom *The Division* oraz czytelnikom *Upadku Nowego Jorku* za tak ciepłe przyjęcie April Kelleher i danie mi szansy na kontynuację jej historii.

1)

Rumspringa – okres, gdy amisz osiągnący wiek szesnastu lat może sprawdzić, jak wygląda życie z dala od rodziny i obowiązujących we wspólnocie reguł. To swego rodzaju próba, która może trwać od kilku miesięcy do kilku lat. Większość decyduje się potem na przyjęcie chrztu i pozostanie we wspólnocie (przyp. tłum.). ↵